



*Maurice Druon*

**Królowie  
przekleci 4**



**Prawo mężczyzn**



**Księgozbiór DiGG**



**2010**

*Trzeba, aby Księżę posiadał umysł  
zdolny chwycić wiatr w żagle... i nie  
oddalała się od dobra, jeśli może, lecz  
umiał wkroczyć w zło, jeśli zajdzie konieczność*

MACHIAVELLI



## Prolog

**O**d elekcji Hugona Kapeta po śmierć Filipa Pięknego, w ciągu trzech i ćwierć wieku, tylko jedenastu królów rządziło Francją; każdy pozostawił syna, dziedzica tronu.

Co za wspaniała dynastia ci Kapetyngowie! Los jak gdyby ich przeznaczył na długie panowanie. Na jedenastu władców jedynie dwóch rządziło krócej niż piętnaście lat.

Owa nadzwyczajna ciągłość władzy wielce przyczyniła się do ukształtowania jedności narodowej i to mimo miernoty niektórych królów.

Więź feudalną, czysto osobistą, wasala z suzerenem, słabszego z silniejszym, powoli zastępowała więź inna, owa niepisana umowa łącząca członków wielkiej wspólnoty ludzkiej, żyjącej pod jarzmem prześladowań wspólnego losu i poddanej temu samemu prawu.

Choć pojęcie - naród - jeszcze nie wystąpiło wyraźnie, jego zasada i symbol już istniały w osobie monarchy, niezmiennym źródle władzy. Kto myślał: „król”, odczuwał: „Francja”.

Filip Piękny, wskrzeszając cele oraz metody Ludwika VI i Filipa Augusta, swych najwybitniejszych poprzedników, starał się przez lat trzydzieści wyciosać, spoić tę rodzącą się jedność, lecz cement był jeszcze świeży.

Ledwie zmarł Król z Żelaza, syn jego Ludwik X zstąpił za nim do grobu. W tych dwóch kolejnych zgonach lud nie omieszkał dostrzec fatalnego znaku losu.

Dwunasty król rządził osiemnaście miesięcy, sześć dni i dziesięć godzin, akurat dostatecznie długo, aby ten nędzny monarcha zdążył w znacznym stopniu podkopać dzieło ojca.

W ciągu swego krótkiego panowania Ludwik X osławił się każąc zamordować swą pierwszą żonę, Małgorzatę Burgundzką, wysyłając na szubienicę Enguerranda de Marigny, pierwszego ministra Filipa Pięknego i skutecznie pogrążając całą armię w błotach Flandrii. Podczas gdy głód dziesiątkował ludność, za poduszczeniem baronów zbuntowały się dwie prowincje. Feudałowie znów zyskiwali przewagę nad królem; reakcja była wszechwładna, a Skarb pusty.

Ludwik X wstąpił na tron, kiedy świat był bez papieża; odszedł, zanim zdołano wybrać zwierzchnika Kościoła.

Teraz Francja była pozbawiona króla.

Ludwik bowiem z pierwszego małżeństwa pozostawił tylko córkę,

pięcioletnią Joannę Nawarry, mocno posądzoną o nieślubne pochodzenie. Owoc zaś drugiego małżeństwa stanowił na razie wątłą nadzieję; królowa Klemencja była w ciąży, lecz miała zlec aż za pięć miesięcy.

Jawnie wreszcie mówiono, że Kłótliwego otruto.

Kto w tych warunkach zostanie władcą trzynastym?

Nic nie przewidziano w sprawie form regencji. W Paryżu hrabia de Valois zabiegał o uznanie go regentem. W Dijon diuk Burgundii, brat zamordowanej królowej i wódz potężnej ligi baronów, nie omieszkął stanąć w obronie praw swej siostrzenicy Joanny Nawarry. W Lyonie pierwszy brat Kłótliwego, hrabia de Poitiers zmagął się z intrygami kardynałów i bezskutecznie usiłował uzyskać decyzję konklawe. Flamandowie tylko czyhali na okazję, by chwycić za broń, a feudałowie z Artois prowadzili nadal wojnę domową.

Czy aż tyle trzeba, by przypomnieć ludowi klątwę, którą przed dwoma laty rzucił ze szczytu stosu wielki mistrz templariuszy? W epoce skorej do przesądów lud Francji, w pierwszym tygodniu czerwca 1316 roku, skłonny był rozważać, czy aby ród Kapetyngów nie został wtedy naprawdę przeklęty.





## CZĘŚĆ PIERWSZA

# Filip Klucznik



### I

## Biała królowa

**K**rólowe noszą żałobę białą.

Biała, z cienkiego płótna podwika owijała szyję, więziła podbródek aż po wargę, ukazując jedynie środek twarzy; biały welon osłaniał czoło i brwi; biała suknia opinająca nadgarstki opadała do stóp. Klemencja Węgierska, wdowa po Ludwiku X, przywdziała ten niemal zakonny strój w dwudziestym trzecim roku życia i zapewne do końca swych dni.

Nikt odtąd nie miał ujrzeć jej wspaniałych złotych włosów ani doskonałego owalu twarzy, ani tego świetnego w swym spokoju blasku, który rozślawił jej urodę. Królowa Klemencja już przybrała wygląd swego przyszedłego sarkofagu.

Pod fałdami sukni formowało się jednak nowe życie i Klemencję dręczyła myśl, że jej małżonek nigdy nie ujrzy dziecka, którego ona oczekuje.

„Gdybyż Ludwik choć dożył, by je zobaczyć, gdy się narodzi! Pięć miesięcy, tylko pięć miesięcy dłużej! Jak by się cieszył, zwłaszcza synem... Ach! czemuż już w noc poślubną nie zaszłam w ciążę!...”

Znużona zwróciła głowę ku hrabiemu Valois, który kroczył po komnacie jak tłusty kogut.

- Ale po cóż, stryju, mieliby go tak podle otruć? - spytała. - Czy nie czynił wszelakiego dobra, jakie tylko mógł? Dlaczego wciąż szukacie ludzkiej przewrotności tam, gdzie na pewno objawiła się wola Boża?

- W tym zdarzeniu jedynie wy przypisujecie Bogu to, co raczej zdaje się przynależeć do sztuk diabelskich - odparł Karol de Valois.

W kapturze z opadającym na ramię ogonem, z mięsistym nosem, pełną i rumianą twarzą, brzuchem wypiętym, odziany w zdobną w ogonki gronostajów i srebrne agrafy czarną, aksamitną szatę, w którą się przystroił przed półtora rokiem na pogrzeb Filipa Pięknego, Dostojny Pan de Valois przybył z opactwa Saint-Denis, gdzie asystował przy złożeniu Ludwika do grobu. Uroczystość ta nie rozpoczęła się zresztą bez kłopotów; po raz pierwszy, odkąd istniał ceremoniał pogrzebów królewskich, dworscy

dostojnicy zakrzyknawszy; „Król umarł”, nie mogli dorzucić: „Niech żyje król”, i nie wiadomo było, przed kim należy wykonać rytuał gestów przewidziany dla nowego króla.

- To jasne, przede mną złamiecie wasze berło - rzekł Valois do wielkiego szambelana Mateusza de Trye. - Jestem najstarszy z rodu, a więc najgodniejszy.

Ale przyrodni jego brat, hrabia d'Evreux sprzeciwił się temu osobliwemu żądaniu.

- Jeśli tak szeroko pojmujecie prawo starszeństwa, to nie wy je posiadacie, Karolu, lecz stryj nasz, Robert de Clermont, syn Ludwika Świętego. Czyście zapomnieli, że jeszcze żyje?

- Dobrze wiecie, że biedak jest obłąkany i w niczym nie można polegać na tej szalonej głowie - odparł ze wzruszeniem ramion Valois.

Ostatecznie, po posiłku podanym w opactwie, wielki szambelan złamał symbol swego urzędu przed pustym krzesłem...

Klemencja podjęła:

- Czyż Ludwik nie rozdawał jałmużny ubogim? Czy nie ułaskawiał więźniów, gdy tylko mógł? Mogę świadczyć o wspaniałomyślnym jego sercu i pobożności. Pokajał się z dawnych grzechów...

Chwila była wyraźnie niestosowna, by wątpić w cnoty, jakimi królowa chciała ozdobić świeżą jeszcze pamięć swego małżonka. Karol de Valois nie mógł jednak powstrzymać się od sarkazmu.

- Wiem, bratanico, wiem, że miałyście wielce pobożny wpływ na Ludwika i że był bardzo wspaniałomyślny... wobec was. Lecz nie rządzi się wyłącznie ojczenaszkami ani obsypywaniem darami swych ukochanych. Sama skrucha nie wystarcza, by rozbroić zasianą nienawiść.

Klemencja pomyślała: „Otóż to... ten, co tak bardzo schlebiał Ludwikowi, już się go zapiera. Niezadługo zaczną mi wypominać prezenty, którymi mnie obdarzał. Już stałam się cudzoziemką...”

Zbyt słaba, zbyt złamana nocną bezsennością i dniami we łzach, by mieć siłę dyskutować, dorzuciła tylko:

- Nie mogę uwierzyć, iż Ludwik był aż tak znienawidzony, by chciano go zabić...

- Więc nie wierzcie, bratanico - zawołał Valois - ale to fakt. Dowodu dostarczył nam pies. Polizal płótna, w które balsamiści złożyli wnętrzności, i w godzinę później zdechł.

Klemencja zacisnęła dłonie na poręczach krzesła, aby nie zachwiać się przed narzuconym obrazem. Jej wąskie i patetyczne oblicze o zamkniętych oczach stało się białe jak otaczające je podwika i welon. Trup, balsamiści, wyszarpane wnętrzności i ten pies, co się wałęsał liżąc okrwawione płótna... Czy to mogło chodzić o Ludwika, o mężczyznę, który spał przy niej przez dziesięć miesięcy?

Dostojny Pan de Valois rozwijał nadal swe makabryczne konkluzje. Kiedyż wreszcie zamilknie ten ruchliwy dostojnik, władczy, pyszałkowaty, strojny to w błękit, to w szkarłat, to w czerń, a który pojawiał się o każdej decydującej lub tragicznej godzinie, odkąd była we Francji, aby napominać, przytłaczać wymową i zmuszać do postępowania wbrew jej woli. I to od dnia ślubu. Klemencja przypominała sobie dzień weselny w

Saint Lye: ujrzała drogę do Troyes, wiejski kościół, pokój w zamczku spiesznie przeobrażony w ślubną komnatę... „Czy potrafiłam należycie docenić me szczęście? Nie, nie rozplączę się przed nim” - nakazała sobie.

- Kto był sprawcą tego ohydneho przestępstwa, jeszcze nie wiemy - mówił dalej Valois - lecz go wykryjemy, bratanico, solennie wam przyrzekam... oczywiście pod warunkiem, że da mi się możliwość. My, królowie...

Valois nigdy nie pomijał okazji, by przypomnieć, że nosił dwie korony wyłącznie nominalnie, ale które wyniosły go do rzędu udzielnych książąt.

- ...my, królowie, mamy wrogów nie tyle osobistych, ile sprawowanej przez nas władzy. Nie brak ludzi, którzy pragnęliby uczynić was wdową. Najpierw templariusze... którym wyrządzono wielką krzywdę znosząc Zakon, małoż o tym mówiłem? ... Zawiązali oni tajną ligę i zaprzysięgli zgubę naszego rodu. Mój brat zmarł, a po nim jego pierworodny. A po drugie rzymscy kardynałowie. Przypomnijcie sobie, że kardynał Gaetani usiłował rzucić urok na Ludwika i waszego szwagra Filipa w jawnym zamiarze wysłania obu na tamten świat. Gaetani mógł próbować w inny sposób ugodzić. Cóż chcecie? Nie zrzuca się papieża z tronu Świętego Piotra, jak to mój brat uczynił, bez zasiania trwałej urazy. Tak czy owak, Ludwik umarł... Nie możemy też wyłączyć z podejrzeń naszych krewniaków burgundzkich, którzy zrobili kwaśną minę wobec uwięzienia Małgorzaty, a jeszcze bardziej cierpką, gdy ją zastąpiłyście. Prześcigali się w oszczerstwach w tej materii...

Klemencja spojrzała mu prosto w oczy. Karol de Valois zmieszał się i lekko zaczerwienił. Pojął, że Klemencja wie. Ale ona nie rzekła słowa. Zawsze będzie unikała tego tematu. Czuła się obarczona grzechem niezawinionym; bo ten małżonek, którego cnotliwą duszę tak chwaliła, kazał jednakże, do spółki z Valois i d'Artois, zadusić swoją pierwszą żonę, by ją poślubić, ją, bratanicę króla Neapolu.

- Wreszcie istnieje hrabina Mahaut, a ta kobieta nie cofa się przed zbrodnią, nawet najgorszą - pospieszył nawiązać Valois.

„W czym różni się od was? - pomyślała Klemencja, nie śmiejąc mu odpowiedzieć. - Zdaje się, że na tym dworze niezbyt wahają się przed zabójstwem”.

- Oto Ludwik przed niespełna miesiącem skonfiskował hrabstwo Artois, aby ją zmusić do uległości.

Przez chwilę Klemencja rozważała, czy Valois, wymieniając tylu prawdopodobnych winowajców, nie usiłuje zmylić śladu i czy sam-li nie jest sprawcą śmierci. Przeraziła ją ta myśl całkiem zresztą pozbawiona podstaw. Nie, wzbraniała się podejrzewać kogokolwiek; chciała, by Ludwik umarł był śmiercią naturalną...

Wzrok Klemencji skierował się mimowolnie przez otwarte okno ku zieleniejącym lasom Vincennes, na południe, w stronę zamku Conflans, rezydencji hrabiny Mahaut. Kilka dni przed śmiercią Ludwika hrabina Mahaut razem ze swą córką Joanną de Poitiers złożyła wizytę Klemencji. Wizyta bardzo miła. Zachwycęły się gobelinami w komnacie...

„Nic bardziej poniżającego niż dopatrywać się zdrajcy w otoczeniu i szukać zdrady w każdej twarzy” - myślała Klemencja.

- Właśnie dlatego, moja droga bratanico - podjął Valois - musicie wrócić do Paryża, jak was o to proszę. Wiecie, jak bardzo was miłuję. Wasz ojciec był moim szwagrem. Posłuchajcie mnie, jakbyście go posłuchała, gdyby go Bóg nam zachował. Ręka, która ugodziła Ludwika, może nadal ścigać mściwie was i wasze dziecko. Nie potrafiłbym przeto zostawić was wśród lasów wydaną na zakusy złoczyńców i nie zaznam spokoju, aż nie zamieszkacie tuż przy mnie.

Od godziny Valois usiłował wymóc na Klemencji powrót do pałacu na wyspie Cité, ponieważ postanowił sam się tam przenieść. Była to część jego planu, jaki spłodził, by przywłaszczyć funkcje regenta. Kto włada Pałacem, nabiera królewskiego majestatu. Gdyby jednak Valois sam się tu rozgościł, naraziłby się przeciwnikom, którzy oskarżyliby go o zamach lub uzurpację. Jeśli natomiast wkroczy do Cité za swą siostrzenicą Klemencją, jako jej najbliższy krewny i opiekun, nikt nie zdoła prawnie zaoponować, a Rada Parów stanie przed faktem dokonanym. Łono królowej było w danej chwili najlepszym gwarantem jego majestatu i najskuteczniejszym narzędziem do objęcia rządów.

Klemencja jakby prosząc o opiekę podniosła oczy na trzecią osobistość, brzuchatego, siwiejącego mężczyznę, który, skrzyżowawszy ręce na rękojeści wysokiego miecza, stał nieruchomo koło niej i milcząco przysłuchiwał się rozmowie.

- Bouville, co winnam uczynić? - wyszeptała.

Były wielki szambelan Filipa Pięknego, wnet po śmierci Kłótliwego mianowany opiekunem łona królowej, przystąpił do pełnienia nowej misji bardziej niż poważnie, bo tragicznie. Ten dzielny wielmoża, wzorowy sługa dworu królewskiego, utworzył straż złożoną z dwudziestu czterech starannie dobranych dworzan, którzy zmieniali się kolejno po sześciu u drzwi królowej. Sam zaś wystroił się jak na wojnę i w ten upalny czerwcowy dzień biły nań pod koleczugą siódme poty. Mury podwórca, bramy Vincennes były naszpikowane łucznikami. Sierżant musiał stale towarzyszyć każdemu kuchcikowi. Nawet damy dworu obszukiwano, zanim weszły do apartamentów. Nigdy życie ludzkie nie było pilniej strzeżone niż ta istotka, co spoczywała w łonie królowej Francji.

Bouville dzielił swe obowiązki z leciwym panem de Joinville. Ale dziedziczny seneszał Szampanii, ongiś towarzysz Ludwika Świętego, miał teraz dziewięćdziesiąt dwa lata, a to zaiste czyniło zeń nestora francuskiej arystokracji. Był na wpół oślepy i przede wszystkim wzdychał do powrotu - jak co lato - do swego zamku Wassy nad Marną, gdzie żył w przepychu z dochodów z dóbr nadanych mu przez trzech królów. W istocie drzemał większą część czasu, a wszystkie obowiązki spadały na Bouville'a.

Ów w oczach Francji był symbolem szczęśliwych wspomnień. Najpierw jako poseł, który przybył prosić o jej rękę, a następnie odwiedzić ją z Neapolu aż do Francji; był on jej powiernikiem i niewątpliwie jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego miała na dworze.

Bouville pogał, że Klemencja nie chce opuścić Vincennes.

- Dostojny Panie - rzekł do Valois - łącniej mi zapewnić pieczę nad królową w zamku w ścisłych murach niż w wielkim Pałacu na Cité otwartym dla każdego. A jeśli obawiacie się sąsiedztwa hrabiny Mahaut,

mogę wam oświadczyć - bo zawiadamiają mnie o każdym ruchu w okolicy - że w tej chwili pani Mahaut ładuje swe wozy do Paryża.

Valois nie ukrywał, iż drażni go władczość Bouville'a, odkąd został on opiekunem, i upór, z jakim oparty na mieczu tkwi tutaj obok królowej.

- Panie Hugonie - rzekł wyniośle - macie obowiązek czuwać nad łonem, a nie stanowić o siedzibie rodziny królewskiej i samemu bronić całego królestwa.

Bouville nie zmieszany odparł:

- Czy mam zwrócić waszą uwagę, Dostojny Panie, że królowa nie może pokazywać się przed upływem czterdziestu dni, licząc do początku żałoby?

- Dziękuję wam, lecz znam obyczaje równie dobrze jak i wy, Bouville. Kto wam powiedział, że królowa ma się pokazać? Przewieziemy ją w wozie zamkniętym... Wreszcie moja bratanico - zawołał Valois - ktoś by jeszcze pomyślał, że chcę was wysłać hen za morza, i że Vincennes leży o tysiąc mil od Paryża!

- Zrozumcie mnie, stryju - odpowiedziała cicho Klemencja - ta siedziba w Vincennes to ostatni dar, jaki otrzymałam od Ludwika. Na kilka godzin przed swą śmiercią tutaj dał mi ten dom... Wydaje mi się, że jeszcze nie odszedł naprawdę. Zrozumcie... Właśnie tu mieliśmy...

Ale Dostojny Pan de Valois nie mógł pojąć ani potrzeb serca, ani bolesnych skojarzeń.

- Wasz małżonek, za którego się modlimy, droga bratanico, należy już do przeszłości królestwa, lecz w was spoczywa przyszłość. Narażając własne życie, narażacie i dziecko. Ludwik patrząc z wysoka nie wybaczylby wam.

Trafił celnie i Klemencja nieco pochyliła się na krześle.

Bouville oświadczył jednak, że nic nie można postanowić bez zgody pana de Joinville, i natychmiast po niego posłał. Czekali kilkanaście minut. Po czym otworzyły się drzwi i znów czekano. Wreszcie odziany w długą jedwabną szatę, jaką noszono w czasach krucjaty, cały drżący, z cerą w plamach i podobną do kory na drzewie, z zażawioną powieką, wyblakłym okiem pojawił się, powłócząc nogami, ostatni towarzysz Ludwika Świętego, podtrzymywany przez giermka niemal jak on sędziwego. Usadowiono go z wszelkimi należnymi mu względami i Valois jął wyjaśniać swe zamiary dotyczące królowej. Starzec słuchał, w skupieniu kiwając głową, wyraźnie rad, że jeszcze może odegrać jakąś rolę. Gdy Valois skończył, seneszał pograżył się w medytacji, której obecni strzegli się zamącić; czekali na sentencję, jaka padnie z jego ust.

I nagle Joinville spytał:

- Atoli gdzie jest król?

Valois przybrał rozpaczliwą minę. Tyle trudu na próżno, gdy czas nagli! Czy seneszał w ogóle pojmował, co doń mówiono?

- Ależ król umarł, panie, dziś rano złożyliśmy go do grobu. Wiecie przecież, iż mianowano was opiekunem...

Seneszał zmarszczył czoło i zdawał się głęboko i z wysiłkiem namyślać. Coraz bardziej tracił poczucie chwili obecnej. Już od dawna miewał tego rodzaju przypadłości. Nie spostrzegł się przeto, gdy mając ponad osiemdziesiąt lat, dyktował swe słynne pamiętniki, że pod koniec drugiej



części powtórzył niemal dosłownie to, co powiedział w pierwszej.

- Ach! - nasz młody, miłościwy Ludwik umarł - rzekł wreszcie - właśnie jemu dedykowałem moją wielką księgę<sup>\*1</sup>. Czy wiecie, że to... czwarty król umiera na moich oczach?

Oświadczył to, jakby chodziło o jakiś czyn bohaterski.

- Atoli, jeśli król umarł, królowa jest regentką - dorzucił.

Dostojny Pan de Valois spurpurowiał. Sądził, świadom zgrzybiałości jednego i przywiązania drugiego, że będzie mógł wedle woli nimi rządzić. Rachuby jego obróciły się przeciw niemu. Krańcowa zgrzybiałość i krańcowa sumienność jakby się sprzymierzyły, by stwarzać mu trudności.

- Królowa nie jest regentką, panie seneszału, jest w ciąży - zawołał. - Spójrzcie na nią, czy jest w stanie podołać obowiązkom królestwa!

- Wiecie, że nic nie widzę - odparł starzec.

Ukrywszy czoło w dłoni Klemencja jedynie myślała: „Kiedyż skończą? Kiedy dadzą mi spokój?”.

Joinville ją wyjaśniać, w jakich okolicznościach po śmierci Ludwika Ósmego królowa Blanka Kastylijska sprawowała regencję ku wielkiemu, powszechnemu zadowoleniu.

- Miłościwa pani Blanka; poszeptywało się o tym skrycie, nie była wzorem czystości, jak się ją maluje. A zdaje się, że hrabia Tybald, którego mój ojciec był wiernym druhem, obsługiwał ją nawet w łożu...

Trzeba mu było dać się wygadać. Seneszał, choć zapominał o wczorajszych zdarzeniach, zachował wierną pamięć o plotkach, które krążyły w jego pierwszej młodości. Znalazł audytorium i zeń korzystał. Jego ręce starczo drżące nieustannie drapały jedwabną szatę na kolanach.

- A nawet kiedy nasz święty król udał się na krucjatę, w której mu towarzyszyłem...

- Królowa przebywała w tym czasie w Paryżu, nieprawdaż? - uciał Karol de Valois.

- Oczywiście... oczywiście... - rzekł seneszał.

Klemencja pierwsza nie wytrzymała.

- Niech tak będzie! Stryju - powiedziała - wykonam waszą wolę i wrócę na Cité.

- Ach! Oto rozsądne postanowienie i na pewno pochwali je pan de Joinville.

- Oczywiście... oczywiście...

- Zaraz wszystkim się zajmę. Waszą eskortą będą dowodzić mój syn Filip i kuzyn nasz Robert d'Artois.

- Dzięki, wielkie dzięki - powiedziała Klemencja - ale pozwólcie mi teraz pomodlić się.

W godzinę później, na skutek rozkazów hrabiego de Valois, w zamku w Vincennes zapanował rwetes. Z wozowni wyprowadzano wozy; bicze klaskały po zadach tęgich perszeronów. Słudzy biegali; łucznicy rzucili broń, by pomóc stajennym. Na początku żałoby wszyscy czuli się obowiązani mówić szeptem, teraz wszyscy mieli okazję pohłasować.

---

\* Cyfry w tekście oznaczają odsyłacze do *Not historycznych* na końcu tomu, gdzie czytelnik znajdzie również *Noty biograficzne*. W nawiasach kwadratowych – przypisy tłumacza.

W zamku tapicerzy zdejmowali gobeliny, rozkładali meble na części, przenosili kredensy, szafki i skrzynie. Damy dworu i dworzanie królowej krzatali się wokół własnych bagaży. Liczyli na pierwszych dwadzieścia wozów, a niewątpliwie potrzebne będą jeszcze dwa przejazdy, by wszystko przewieźć.

Klemencja Węgierska w długiej białej sukni błąkała się po pokojach wciąż eskortowana przez Bouville'a. Wszędzie kurz, pot, krzątania i ten obraz rabunku, jaki towarzyszy przeprowadzkom. Skarbnik z księgą inwentarzową w ręku czuwał nad wysyłką zastawy i cennych przedmiotów, które razem zgromadzone pokrywały posadzkę jednej z sal: półmiski, dzbany i dwanaście pucharów ze złoconego srebra, które Ludwik zamówił dla Klemencji, i wielki złoty relikwiarz z częścią prawdziwego Krzyża, przedmiot tak ciężki, że człowiek, co go prznosił, stękał pod nim, jakby wchodził na Kalwarię.

W komnacie królowej szafarka Eudelina, ongiś pierwsza kochanka Klótlwego, kierowała pakowaniem odzieży.

- Po co... po co zabierać te wszystkie suknie, skoro na nic mi się już nie przydadzą! - rzekła Klemencja.

Zbędne już wydawały się jej klejnoty, których pełne puzdra gromadziły się w żelaznych kufrach, te wszystkie naszyjniki, agrafy, pierścienie i cenne kamienie, którymi obsypywał ją Ludwik w czasie ich krótkotrwałego małżeństwa. Nawet trzy korony inkrustowane szmaragdami, rubinami i perłami były zbyt wysokie i zbyt ozdobne dla wdowy. Zwykła złota obręcz, zdobna w krótkie lilijki osadzone nad czołem, włożona na welon, będzie jedynym klejnotem, do którego teraz będzie mieć prawo.

„Stałam się białą królową, jak moja babka Maria Węgierska i na niej winnam się wzorować. Ale babka miała przeszło sześćdziesiąt lat i wydała na świat trzynastoro dzieci... Mój mążnek zaś nawet nie zobaczy swego...”

- Miłościwa Pani - spytała Eudelina - czy mam jechać z wami do Paryża? Nikt nie wydał mi rozkazu...

Klemencja spojrzała na tę piękną, jasnowłosą kobietę, która niepomna zazdrości była jej tak pomocna w ostatnich miesiącach, zwłaszcza podczas agonii Ludwika. „Miał z nią córkę i córkę tę oddalił, zamknął w klasztorze...” Czuła się spadkobierczynią wszystkich błędów, popełnionych przez Ludwika, zanim ją poznał. Ma przed sobą całe życie, by spłacać Bogu łzami, modlitwą i jałmużną ciężki dług za duszę Ludwika.

- Nie - szepnęła - nie, Eudelino; nie jedź ze mną. Ktoś, kto go kochał, musi tutaj pozostać.

Po czym odsuwając nawet Bouville'a, schroniła się do jedyne go zaciszne go pokoju, jedyne go, jaki uszanowano, do komnaty, gdzie Ludwik umarł.

Za zsuniętymi zasłonami panował mrok. Klemencja ukłękła przy łożu, przycisnęła usta do brokatowej narzuty.

Nagle usłyszała drapanie paznokciem o tkaninę. Uczuła lęk, co mogło ją przekonać, że jeszcze pragnie żyć. Chwilę nieruchomo klęczała, powstrzymując oddech. Z tyłu za nią rozlegało się nadal drapanie. Ostrożnie obróciła głowę. To seneszał de Joinville podrzemywał w krześle

o wysokim oparciu, czekając na wyjazd.





## II

### Kardynał, który nie wierzy w piekło

Czerwcową noc jęła blednąć; już na wschodzie horyzontu wąskie szare pasemko zwiastowało jutrzeńkę, która niebawem wzejdzie nad Lyonem.

Była to pora, gdy wyruszają wózki z sąsiednich wiosek, by zawieźć do miasta warzywa i owoce; była to pora, gdy sowy już milkną, a wróble jeszcze nie ćwierkają. Była to również pora, gdy za wąskimi oknami paradnych apartamentów opactwa Ainay kardynał Jakub Dueze rozmyślał o śmierci.

Kardynał nigdy nie sypiał długo, lecz z wiekiem potrzeba ta wciąż malała. Trzy godziny snu w pełni mu wystarczało. Zaraz po północy budził się i stawał przed swym pulpitem. Człowiek o lotnym umyśle i ogromnej wiedzy, biegły we wszystkich kunsztach myśli, tworzył traktaty teologiczne, prawnicze, lekarskie i alchemiczne, cieszące się wielkim uznaniem wśród współczesnych mu duchownych i doktorów.

W owej epoce, gdy biedak, jak i książę pokładali wielkie nadzieje w sporządzaniu złota, bardzo często powoływano się na nauki Dueze'a o eliksirach przeznaczonych do transmutacji metali.

Można było przeto czytać w jego dziele, zatytułowanym *Eliksir filozofów*, takie oto definicje skłaniające do medytacji:

„Trzy są rzeczy, z których można sporządzić eliksir: siedem metali, siedem esencji oraz inne rzeczy... Siedem metali to: złoto, srebro, miedź, cyna, ołów, żelazo i rtęć; siedem esencji to: merkuriusz, siarka, sól amoniakalna, aury pigment, biel cynkowa, magnezja i markasyt, inne zaś rzeczy to: żywe srebro, krew ludzka, krew końska i mocz, mocz zasię jest ludzki<sup>2</sup>”.

Albo też proste przepisy jak „oczyścić” dziecięcy mocz: „Weź go i wlej do garnka, niech postoi trzy lub cztery dni; później zlej ostrożnie, niech jeszcze postoi, aż nieczystości osiądą na dnie. Po czym starannie gotuj i szumuj, aż pozostanie jedna trzecia; potem precedź przez filc i trzymaj w garnku dobrze zatkanym pakułami, by nie naruszyło go powietrze”.

W czasie, gdy jego bliźni spali, siedemdziesięciodwuletni kardynał wciąż wykrywał dziedziny świeckie i duchowne, co do których jeszcze się nie wypowiedział. Sam zużywał tyleż świec, ile cała gromada mnichów.

Nocą opracowywał także olbrzymią korespondencję, którą utrzymywał z całą Europą; odbiorcami jej byli prałaci, przełożeni klasztorów, juryści, uczeni, kanclerze i udzielni książęta. Rankiem sekretarz jego i kopiści znajdowali przygotowaną pracę na cały dzień.

Często pochylał się również nad obrazami nieba swych rywali do tiary, porównywał je z własnym horoskopem i zapytywał planet, kto zostanie papieżem. Wedle jego wyliczeń miał najmocniejsze szanse między początkiem sierpnia a początkiem września tego roku. A tu już nadszedł 10 czerwca i nic się nie zarysowywało.

Później zaś, tuż przed świtem, następowała przykra chwila. Jakby nawiedzany przecuciem, że o tej właśnie godzinie przyjdzie mu pewnego dnia opuścić świat, kardynał doznawał nieokreślonego lęku, niejasnego, złego samopoczucia i to w ciele, jak i w duchu. Pod wpływem zmęczenia rozważał dokonane czyny. Pamięć nasuwała mu obraz niezwyklego przeznaczenia... Potomek mieszczańskiej rodziny z Cahors wybrał stan duchowny i w czterdziestym czwartym roku życia został proboszczem - przecież to szczyt kariery, o której mógł rozsądnie marzyć. A tymczasem była ona ledwie w zarodku. Nastąpiła się okazja wyjazdu do Neapolu wraz z jednym z wujów, który tam jechał w celach handlowych; podróż, oddalenie od kraju, poznanie Italii osobliwie nań podziałały. W kilka dni po wylądowaniu poznał preceptora dzieci królewskich, został jego uczniem i pogrążył się namiętnie w studia abstrakcyjne z lotnością umysłu i giętką pamięcią, jakich by mogli mu pozazdrościć najzdolniejsi młodzieńcy. Nie znał co to głód, jak i nie odczuwał potrzeby snu. Niebawem został doktorem prawa kanonicznego, następnie cywilnego, a jego imię jęło się rozślawiać. Dwór w Neapolu szukał porad u księdza z Cahors.

Po żądzy wiedzy ogarnęła go żądza władzy. Został doradcą Karola II Kulawego - dziada królowej Klemencji, później sekretarzem tajnej rady, zaopatrzonym w liczne kościelne beneficja; w dziesięć lat po przybyciu mianowano go biskupem Frejus, a nieco później kanclerzem królestwa Neapolu, czyli pierwszym ministrem państwa, które obejmowało zarazem południową Italię i całe hrabstwo Prowansji.

Tak niebywałe wywyższenie nie mogło nastąpić w kłębowisku dworskich intryg jedynie dzięki talentom jurysty i teologa. Pewien postępek mało znany, bo ujawniający sekrety zarówno Kościoła, jak i Państwa, wyraźnie pokazał przebiegłość i tupet, do jakich Dueze był zdolny.

W kilka miesięcy po śmierci Karola II został wysłany w poselstwie na dwór papieski. Akurat wakowało biskupstwo w Awinionie, wówczas najważniejsze w całym chrześcijaństwie, jako siedziba Stolicy Apostolskiej. Był kanclerzem, posiadał pieczęcie, więc z zimną krwią sam napisał list, w którym król Neapolu Robert prosił o mitrę biskupią w Awinionie właśnie dla niego, Jakuba Dueze. Działo się to w 1310 roku. Klemens V, w trosce o zachowanie poparcia Neapolu, wówczas gdy Francja przyczyniała mu wielu kłopotów, od razu spełnił prośbę. Oszustwo wydało się niebawem, podczas wizyty Roberta u Klemensa; papież i król wyrazili wzajemne zdziwienie; papież - że nie otrzymał arcygorących podziękowań za aż tak wielką łaskę, król - że wcale nie zasięgano jego rady w sprawie nominacji, która pozbawiała go kanclerza. Zamiast niepotrzebnie rozgłaszać skandal, postanowili go zatuszować. Każdy na tym wygrał. A teraz Dueze był już kardynałem i we wszystkich uniwersytetach studiowano jego dzieła.

Chociażby czyjś los był najdziwniejszy, zdumiewa wyłącznie tych, co patrzą nań z zewnątrz. Przeżyte dni, zapełnione czy puste, burzliwe czy spokojne, wszystkie jednakowo przemijają, a popiół przeszłości waży to samo w każdej dłoni.

Tyle włożonego zapалу, ambicji, energii czy ma jakąkolwiek wartość,

skoro wszystko nieuchronnie waży się w zaświatach, skąd najwyższe inteligencje i najtrudniejsze filozofie potrafią wychwycić tylko niedostępne dla ludzkiego rozumu strzępy? Po co upierać się w zabiegach o tiarę? Czy nie rozsądniej zamknąć się w ciszy klasztoru, w odosobnieniu od doczesności? Wyzbyć się pychy mądrości, jak i marności władzy, osiąść pokorę wiary prostaczków... gotować się na śmierć... Nawet taka medytacja przekształcała się w umyśle kardynała Dueze'a w abstrakcyjne rozważania, a jego lęk przed umieraniem przeobrażał się niebawem w dysputę teologiczną.

„Doktorzy zapewniają nas - rozmyślał tego ranka - że po śmierci dusze sprawiedliwych niezwłocznie radują się uszczęśliwiającym oglądaniem Boga, które jest nagrodą. Zgoda, zgoda... Ale Pismo również mówi nam, że przy końcu świata, gdy zmartwychwstałe ciało połączy się z duszą, będziemy wszyscy sądzeni na Sądzie Ostatecznym. Tkwi w tym wielka sprzeczność. Jak Bóg całkowicie wszechwładny, wszechwiedzący i doskonały miałby dwukrotnie wnosić ten sam casus przed własny trybunał i jak mógłby sądzić w apelacji własne wyroki? Bóg jest nieomylny, a wyobrażać sobie, że dwukrotnie wydaje wyrok, co dopuszcza rewizję procesu, a więc błąd - to bezbożność, a nawet herezja. Zresztą, czyż nie przystoi, aby dusza jeła radować się oglądaniem swego Pana w chwili, gdy połączona z ciałem jest sama doskonała w swej naturze? Więc... więc doktorzy myślą się. Przed zakończeniem czasów nie może przeto istnieć, właściwie mówiąc, ani szczęście niebiańskie, ani uszczęśliwiający ogląd, Bóg zaś dopuści do kontemplowania siebie dopiero po Sądzie Ostatecznym. Ale gdzie do tego czasu przebywają dusze zmarłych? Czy wszyscy nie będziemy oczekiwać *sub altare Dei*... pod tym ołtarzem Boga, o czym mówi święty Jan w Apokalipsie?...”

Stąpanie konia po małych, krągłych kamyczkach, jakimi były wybrukowane główne ulice Lyonu, rozległo się pod murami opactwa, odgłos niezwykły o tej porze. Kardynał przez chwilę nasłuchiwał, po czym wrócił do swych wywodów, wynikających z jego prawniczego wykształcenia, a wnioski z nich miały go samego zaskoczyć.

„...Bo jeśli raj jest pusty, zmienia się osobiście sytuacja tych, których uznajemy za świętych lub błogosławionych... Ale to, co jest prawdą dla dusz sprawiedliwych, dotyczy siłą rzeczy i dusz grzeszników. Bóg nie może karać złych, nim nie wynagrodzi dobrych. Pod koniec dnia robotnik otrzymuje zapłatę; pod koniec czasów dobre ziarno zostanie ostatecznie odłączone od kłokolu. Żadna dusza teraz nie zamieszkuje Piekła, ponieważ żaden wyrok potępiający nie został wydany. Innymi słowy Piekło obecnie nie istnieje...”

Wniosek ten raczej krzepił każdego, kto rozmyślał o śmierci; odsuwał termin Ostatecznego Sądu, nie zamykając perspektywy wiecznego życia, i nieźle zgadzał się z odczuciem większości ludzi, iż śmierć to upadek w wielkie, ciemne milczenie, nieokreśloną nieświadomość... oczekiwanie *sub altare Dei*...

Oczywiście takie tezy, gdyby zostały wygłoszone, wzbudziłyby gwałtowny sprzeciw tak wśród doktorów Kościoła, jak i wśród wierzącego ludu; chwila była niestosowna, by kandydat na papieża mówił z kazalnicy

o pustce w raju i nieistnieniu piekła<sup>3</sup>.

„Zaczekajmy do końca konklawe” - powiedział sobie kardynał.

Przerwał mu brat furtian, który zapukał do drzwi i oznajmił o przybyciu jeźdźca z Paryża.

- Od kogo przybywa? - spytał kardynał.

Dueze mówił głosem zduszonym, ściszym, całkowicie wyzbytym dźwięku, mimo że bardzo wyraźnym.

- Od hrabiego de Bouville - odparł furtian. - Pewnie prędko jechał, bo wygląda na bardzo zmęczonego. Gdy mu otwierałem, zdążył zdrzemnąć się z czołem opartym o drzwi.

- Przyprawadźcie go zaraz do mnie.

Kardynał zaś - który przed kilku minutami medytował nad próżnością pychy tego świata - pomyślał natychmiast: „Czy to w sprawie elekcji? Czy dwór francuski jawnie poprze moją kandydaturę? Czy proponuje mi targ?...”

Odczuwał podniecenie; pełen zaciekawienia i nadziei szybkim, drobnym kroczkiem biegał po komnacie. Dueze miał wzrost piętnastoletniego chłopca, wątlą budowę i mysi pyszczek pod krzaczastymi białymi brwiami.

Za szybami niebo jęło różowieć; jeszcze nie czas było pogasić świece, lecz wczesny ranek już płoszył cienie na dworze. Przykra godzina minęła...

Wszedł posłaniec; z pierwszego rzutu oka kardynał poznał, że nie ma do czynienia z zawodowym jeźdźcem. Przed wszystkim prawdziwy goniec natychmiast przykląkłby i podał skrzynkę z listami, zamiast stać ze spuszczoną głową i bąkać: „Przewielebny...”. Następnie, dwór francuski zatrudniał przy przewozie poczty silnych jeźdźców o krzepkiej budowie jak wielki Robin Żonkoś, specjalnie wyznaczony do podróży między Paryżem a Awinionem, nie zaś takiego młokosa o spiczastym nosie, co zda się z trudem otwierał powieki i ledwie trzymał się na nogach.

„Ten mi bardzo trąci przebieranką - pomyślał Dueze. - Zresztą gdzieś już widziałem tę twarz...”

Małą, szczupłą ręką przełamał pieczęć na liście i zaraz się rozczarował. Nie chodziło o elekcję, lecz prośbę o opiekę nad samym posłańcem. Dueze jednakże zapragnął ujrzeć w tym przychylny omen; gdy Paryż zamierzał coś uzyskać od władz kościelnych, zwracał się do niego.

- Nazywasz się więc Guccio Baglioni - rzekł, skończywszy czytać.

Młodzieniec drgnął.

- Tak, Wasza Przewielebność.

- Hrabia de Bouville poleca mi ciebie prosząc, abym wziął cię pod opiekę i ukrył przed pościgiem nieprzyjaciół.

- Jeśli raczycie wyświadczyć mi tę łaskę, Przewielebny Panie.

- Zdaje się, że spotkała cię jakaś przykra przygoda, zmuszając do ucieczki w tej liberii - szybko i bezdźwięcznie mówił kardynał. - Opowiedz mi to. Bouville pisze mi, że należałeś do jego świty, kiedy odwoził królową Klemencję do Francji. W istocie, teraz sobie przypominam. Widziałem cię przy nim... Jesteś siostrzeńcem messer Tolomeia, kapitana generalnego paryskich Lombardów. Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Wyjaśnij mi swoją sprawę.

Usiadł i machinalnie kręcił wielkim, obrotowym pulpitem, na którym

leżały potrzebne mu do pracy księgi. Czuł się teraz odprężony, spokojny, gotów zabawić umysł drobnymi troskami bliźnich.

Guccio Baglioni sto dwadzieścia mil przecwałował w cztery i pół dnia. Nie czuł własnych członków; gęsta mgła wypełniała mu głowę i dałby nie wiedzieć co, aby się położyć tu, na gołej podłodze i spać... spać...

Zdołał się opanować; jego bezpieczeństwo, miłość, przyszłość wymagały, by jeszcze na chwilę przewycięzył zmęczenie.

- Wasza Przewielebność, poślubiłem pannę ze szlchetnego rodu... - odparł.

Zdawało mu się, że słowa wychodzą z obcych ust. Chciałby rozpocząć zupełnie inaczej. Chciałby wyjaśnić kardynałowi, że spadło nań niesłychane nieszczęście, że jest najbardziej zgnębionym, najsrożej zranionym człowiekiem na świecie, że groziła mu śmierć, że musiał oddalić się i to może na zawsze od kobiety, bez której nie może żyć, że od tygodnia wypadki spadały na nich oboje nawałnicą tak gwałtowną, tak niespodziewaną, iż czas zdawał się tracić zwykłe wymiary, a on, Guccio, czuł się jak kamyk porwany przez potok... Cały zaś dramat, gdy chciał go wyrazić, streszczał się w tym krótkim zdaniu: „Wasza Przewielebność, poślubiłem pannę z szlchetnego rodu...”

- Ach tak... - rzekł kardynał. - Jak się ona zowie?

- Maria de Cressay.

- Cressay... nie znam.

- Ale musiałem potajemnie ją poślubić. Przewielebny Panie, rodzina się sprzeciwiała.

- Ponieważ jesteś Lombardem? Oczywiście. Są jeszcze trochę zacofani w tej Francji. W Italii, pewnie... Więc chcesz otrzymać unieważnienie? Ba... jeśli ślub był potajemny...

- Ależ nie, Wasza Przewielebność, ja ją kocham, ona mnie kocha - rzekł Guccio. - Ale jej rodzina wykryła, że Maria jest w ciąży, a bracia ścigają mnie, aby zabić.

- Mogą to uczynić. Mają za sobą prawo zwyczajowe. Postąpiłeś jak porywacz... Kto wam dał ślub?

- Brat Vincenzo od augustianów.

- Fra Vincenzo... nie znam.

- Najgorsze, Wasza Przewielebność, że ten mnich umarł. Nie mogę więc nawet dowieść, że jesteśmy naprawdę poślubieni... Ale nie myślcie, że jestem tchórzem, Przewielebny Panie. Chciałem walczyć. Tylko wuj zwrócił się do pana de Bouville...

- ... i ten mądrze doradził, żebyś zmykał.

- Ale Marię zamkną w klasztorze! Czy sądzicie, Przewielebny Panie, że będziecie mogli ją stamtąd wydobyć? Czy myślicie, że ją zobaczę?

- Ach! Nie obie sprawy naraz, drogi synu - odparł kardynał, obracając nadal pulpitem. - Klasztor? No cóż, gdzie mogłoby jej być teraz lepiej?... Ufajcie w nieskończone miłosierdzie Boże, którego wszyscy tak potrzebujemy...

Guccio wyczerpany pochylił głowę. Czarne włosy miał pokryte kurzem.

- Czy wuj ma dobre stosunki handlowe z Bardimi? - nadal pytał kardynał.



- Oczywiście, Przewielebny Panie, oczywiście... Zdaje mi się, że Bardi to wasi bankierzy.

- Tak, to moi bankierzy. Ale uważam, że ostatnio mniej... mniej łatwe są z nimi stosunki niż dawniej. Tak wielką tworzą kompanię! Wszędzie mają kantory. A w najdrobniejszej sprawie muszą zwracać się do Florencji. Są tak powolni jak trybunał kościelny... Czy twój wuj liczy wielu prałatów wśród swych klientów?

Guccio nie był zdolny do rozważania spraw bankowych. Mgła gęstniała mu przed oczami; powieki paliły.

- Nie, mamy przede wszystkim wielkich baronów. Hrabia de Valois, hrabia d'Artois... Spotkałby nas wielki zaszczyt, Wasza Przewielebność... - rzekł z odruchową kurtuazją.

- Pomówimy o tym później. W tym klasztorze na razie jesteś bezpieczny. Będiesz uchodził za człowieka w mej służbie; może trzeba ci będzie przywdziać habit kleryka. Rozważę to z moim kapelanem. Możesz zdjąć tę liberię i spokojnie pójść spać, czego zdaje się bardzo potrzebujesz.

Guccio pokłonił się, wybąkał kilka słów podziękowania i zwrócił się ku drzwiom. Po czym przystanął i rzekł:

- Jeszcze nie mogę rozebrać się, Przewielebny Panie, muszę oddać drugi list.

- Komu? - spytał naraz podejrzliwy Dueze.

- Hrabiemu de Poitiers.

- Powierz mi ten list. Zaraz każę braciszкови, aby go zaniósł.

- Ale, Przewielebny Panie, hrabia de Bouville przykazał mi...

- Nie wiesz, czy ten list dotyczy konklawe?

- Bynajmniej, Wasza Przewielebność. To w sprawie śmierci króla.

Kardynał zeskoczył z krzesła.

- Król Ludwik umarł? Dlaczegoś mi wcześniej o tym nie powiedział?

- Jeszcze tu tego nie wiedzą? Myślałem, że zawiadomiono was, Przewielebny Panie.

W istocie nic nie myślał. Nieszczęście i zmęczenie wyparły mu z pamięci to najważniejsze zdarzenie. Cwałując z Paryża wprost przed siebie, zmieniając konie w klasztorach, wskazanych jako postoje, pospiesznie jedząc, mówiąc jak najmniej, wyprzedził, nic o tym nie wiedząc, urzędowych jeźdźców.

- Na co zmarł?

- Pan de Bouville o tym właśnie chce zawiadomić hrabiego de Poitiers.

- Zbrodnia? - szepnął Dueze.

- Wedle pana de Bouville, król jakoby został otruty.

Przez chwilę kardynał zastanawiał się.

- To może zmienić wiele - wyszeptał. - Czy wyznaczono regenta?

- Nie wiem, Wasza Przewielebność. Gdy wyjeżdżałem, wiele mówiono o hrabi de Valois.

- No dobrze, drogi synu, idź odpocząć...

- Ale, Przewielebny Panie... a hrabia de Poitiers?

Po wąskich wargach prałata przemknął leciutki uśmiezek, który mógł uchodzić za objaw życzliwości.

- Nie byłoby roztropnie pokazywać się w mieście, a ponadto padasz ze

zmęczenia - rzekł. - Daj mi to pismo, aby oszczędzić ci wszelkich wymówek, doręczę je osobiście.

W kilka minut później kardynał kurii eskortowany przez pachółka wyszedł wraz z sekretarzem z opactwa Ainay, położonego między Rodanem a Saoną, i zagłębił się w ciemne uliczki często zawężone przez stosy śmieci. Szczupły, wąty szedł skocznym krokiem, unosząc niemal biegiem swe siedemdziesiąt dwa lata. Brzeg purpurowej szaty zdawał się płasnąć między murami.

Dzwony dwudziestu kościołów i czterdziestu dwóch klasztorów Lyonu wzywały na jutrznię. Wszędzie było blisko w tym mieście o skupionych domach, liczącym jakieś dwadzieścia tysięcy mieszkańców, z których połowa zajmowała się handlem religią, a druga połowa religią handlu. Kardynał wkrótce przybył do siedziby konsula Varay, gdzie mieszkał hrabia de Poitiers.





### III

## Bramy Lyonu

Hrabia de Poitiers właśnie kończył swą poranną toaletę, a już szambelan oznajmił o przybyciu kardynała.

Młody książę był bardzo wysoki, bardzo chudy, z wydatnym nosem; włosy spadały mu na czoło w krótkich kosmykach i zwijały się w loki wzdłuż policzków o cerze świeżej, jaką się miewa w dwudziestym piątym roku życia; przyodziany w szatę z ciemnej kamchy<sup>4</sup> powitał przewielebnego Dueze'a całując z szacunkiem jego pierścień.

Trudno by spotkać większy kontrast i bardziej ironiczne przeciwieństwo niż te dwie osobistości, z których jedna przywodziła na myśl łasicę, co wyszła ze swej norki, druga zaś czaplę wyniośle kroczącą po bagnach.

- Mimo wczesnej pory, Dostojny Panie - powiedział kardynał - nie chciałem zwlekać w usłudzeniu wam modlitwą w żałobie, co was spotkała.

- W żałobie? - drgnął Filip de Poitiers.

Natychmiast pomyślał o swej żonie Joannie, którą pozostawił w Paryżu brzemienną w ósmym miesiącu.

- Widzę tedy, że dobrze uczyniłem, przychodząc was zawiadomić - podjął Dueze. - Król, wasz brat, zmarł przed pięciu dniami.

Filip stał nieruchomo; ledwie głębszy oddech uniósł mu pierś. Po twarzy nic nie przemknęło, ani zdziwienie, ani wzruszenie, ani nawet niecierpliwość, by uzyskać bliższe szczegóły.

- Wdzięcznym wam za pośpiech, Wielebny Panie - odparł. - Ale jak się to stało, że otrzymaliście taką wiadomość... przede mną?

- Od pana de Bouville, posłaniec jego spieszenie przyjechał, abym doręczył wam w tajemnicy ten list.

Hrabia de Poitiers odpieczętował pismo i przeczytał, przysunawszy je do nosa, miał bowiem bardzo krótki wzrok. Tym razem również niczym nie zdradził swych uczuć; skończywszy czytać, po prostu złożył list i wsunął w zanadrze. Po czym trwał w milczeniu.

Kardynał również milczał udając, że szanuje ból księcia, chociaż ów nie okazywał wielkiego zmartwienia.

- Niech Bóg go ocali od mąk piekielnych - rzekł wreszcie hrabia de Poitiers w odpowiedzi na pobożną postawę prałata.

- Och... piekło... - szepnął Dueze. - No więc, prosimy Boga! Rozmyślałem także o nieszczęsnej królowej Klemencji, którą widziałem jako dorastającą dziewczynkę, gdy byłem przy królu Neapolu. Tak słodka, tak doskonała księżniczka...

- Tak, moja bratowa godna jest głębokiej litości - rzekł Poitiers.

Jednocześnie myślał: „Ludwik nie pozostawił żadnej woli w sprawie regencji. Z tego, co pisze mi Bouville, wynika, że stryj Valois już rości sobie rzekome prawa...”

- Co uczynicie, dostojny panie? Czy natychmiast udacie się do Paryża? -

zapytał kardynał.

- Nie wiem, jeszcze nie wiem - odrzekł Poitiers. - Czekam na dokładniejsze wiadomości. Będę do dyspozycji królestwa.

Bouville nie skrywał w liście, iż pragnie jego powrotu. Jako pierwszy brat zmarłego króla i jako par nieodzownie winien był pojawić się w Paryżu, kiedy toczył się spór o regencję. Ktoś inny już wydałby rozkaz siodłania koni.

Ale Filip de Poitiers odczuwał żal, a nawet odrazę na myśl o wyjeździe z Lyonu przed zakończeniem podjętych przez się zabiegów.

Przede wszystkim chciał zawrzeć umowę zaręczynową między swą trzecią córką, niespełna pięcioletnią Izabelą a „delfinkiem” z Vienne, małym Guiguesem, który liczył lat sześć. Właśnie omówił to małżeństwo z delfinem Janem II de la Tour du Pin i delfinową Beatrycze, siostrą królowej Klemencji. Korzystny sojusz zezwalał bowiem koronie francuskiej przeciwstawić się wpływowi Andegawenów Sycylijskich w tej prowincji. Data została wyznaczona i za kilka dni miała się odbyć uroczysta wymiana podpisów.

Zwłaszcza zaś istniała sprawa wyboru papieża. Od kilku tygodni Filip de Poitiers objeżdżał Prowansję, okręgi Vienne i Lyonu, aby kolejno odwiedzić rozproszonych dwudziestu czterech kardynałów<sup>5</sup>, zapewnić ich, że nie powtórzy się napaść jak w Carpentras, że nie zostanie im zadany żaden gwałt, podsuwając wielu z nich myśl, że mogą spodziewać się wyboru, broniąc dostojności wiary, godności Kościoła oraz interesów państw chrześcijańskich. Wreszcie siłą perswazji, obietnic, a niekiedy pieniądza zdołał ich zebrać w Lyonie, mieście, które długo podlegało władzy kościelnej, a bardzo niedawno w ostatnich latach panowania Filipa Pięknego przeszło pod bezpośrednie rządy króla Francji.

Hrabia de Poitiers czuł się bliski celu. Lecz jeśli teraz się oddali, czy nie odrodzą się wszystkie kłopoty, czy znów się nie rozpalą osobiste nienawiści? Czy głos szlachty rzymskiej lub króla Neapolu nie wyruguje wpływów Francji, czy różne stronnictwa nie poczną się znów oskarżać o zdradę i herezję? I po tylu nieporozumieniach, czy się znów nie ujrzy papieża z powrotem w Rzymie? „Tego właśnie tak bardzo chciał uniknąć mój ojciec... - rozmyślał Filip de Poitiers. - Dzieło jego, już mocno naruszone przez Ludwika i stryja Valois, czy nie ulegnie całkowitemu zniszczeniu?”

Kardynał Dueze przez kilka minut miał wrażenie, że młody człowiek zapomniał o jego obecności. Nagle Poitiers zapytał:

- Czy stronnictwo gaskońskie zamierza utrzymać kandydaturę kardynała de Pelagruet? I czy myślicie, że wasi pobożni koledzy będą wreszcie skłonni do obrad? Usiądźcie więc tutaj, Przewielebny Panie, i powiedzcie mi szczerze, co sądzicie? Jaką mamy sytuację?

Kardynał od przeszło trzydziestu lat, odkąd brał udział w sprawach różnych królestw, zbliżał się do wielu monarchów i mężów stanu, ale nigdy wśród nich nie spotkał kogoś, kto okazałby podobne opanowanie. Oto dwudziestopięcioletni książę otrzymuje wiadomość, że jego brat zmarł i tron wakuje, a umysł jego jest nadal gotów troszczyć się o intrygi konklawe. Zasługuje to na rozwagę.

Zasiedli obok siebie pod oknem na skrzyni okrytej adamaszkiem; stopy kardynała ledwie sięgały podłogi, a chuda kostka hrabiego de Poitiers lekko huśtała się w powietrzu; obaj mężowie przeprowadzili długą rozmowę.

W rzeczywistości, wedle relacji Dueze'a, od dwóch lat, bo od śmierci Klemensa V, natrafiano wciąż na te same przeszkody, o jakich ongiś mówił kardynał Bouville'owi na polu w pobliżu Awinionu.

Stronnictwo gaskońskie, złożone z dziesięciu kardynałów, zwane również stronnictwem francuskim, było najliczniejsze, lecz nie wystarczało, aby samo przez się mogło stanowić większość dwóch trzecich Świętego Kolegium, czyli szesnaście głosów. Gaskończycy uważając się za depozytariuszy woli zmarłego papieża, któremu wszyscy zawdzięczali godność kardynalską, stanowczo opowiadali się za siedzibą w Awinionie i okazywali zadziwiającą jedność wobec dwóch pozostałych stronnictw. Lecz panowała wśród nich cicha rywalizacja; obok ambicji Arnolda de Pelagruie rosły apetyty Arnolda de Fougeres i Arnolda Nouvel. Udając, że się popierają, podstępnie podstawiali sobie nogę.

- Wojna trzech Arnoldów - rzekł swym stłumionym głosem Dueze. - Przyjrzyjmy się teraz stronnictwu włoskiemu.

Składało się ono tylko z ośmiu, lecz dzieliło na trzy odłamy. Policzek w Anagni na zawsze odłączył groźnego kardynała Gaetaniego, bratanka Bonifacego VIII, od dwóch kardynałów Colonnów. Między tymi wrogami wahali się pozostali Włosi. Stefaneschi, wrogi polityce Filipa Pięknego, popierał Gaetaniego, zresztą swego krewniaka. Napoleon Orsini lawirował. Cała ósemka była zgodna tylko co do jednej sprawy: powrotu papieża do Wiecznego Miasta; ale w tym postanowieniu trwała niezłomnie.

- Wiecie dobrze Dostojny Panie - mówił dalej Dueze - że w pewnej chwili groziła nam schizma... i jeszcze nam grozi. Nasi Włosi wzbraniają się obradować we Francji i oto niedawno ogłosili, że jeśli wybierze się papieżem Gaskończyka, mianują swego w Rzymie.

- Schizmy nie będzie - rzekł spokojnie hrabia de Poitiers.

- Zawdzięczając wam, Dostojny Panie, dzięki wam, miło mi to przyznać i wszędzie o tym mówią. Jadąc z miasta do miasta z dobrą nowiną, choć nie znaleźliście jeszcze pasterza, już zebraliście trzodę.

- Kosztowne owieczki, Wasza Wielobność. Czy wiecie, że wyjechałem z Paryża z szesnastu tysiącami liwrów, a w ubiegłym tygodniu musiałem posłać po tyleż? Jazon przy mnie to mizerota. Chciałbym tylko, żeby te wszystkie złote runa nie przeciekały mi przez palce - rzekł hrabia de Poitiers, przymrużając oczy.

Dueze, który okólną drogą korzystał z tej hojności, pominął aluzję, lecz odparł:

- Sądzę, że Napoleon Orsini i Alberti da Prato, a może nawet Gwido de Longis, który był przede mną kanclerzem króla Neapolu, daliby się oderwać... Warto za tę cenę uniknąć schizmy.

Poitiers pomyślał: „Zużył pieniądze, które mu daliśmy, aby pozyskać trzy głosy. Sprytne”.

Wpływy zaś Gaetaniego, mimo że udawał nadal niezłomnego, uległy osłabieniu, odkąd zostały ujawnione jego magiczne praktyki i próba

rzucenia uroku na króla Francji i tegoż hrabiego de Poitiers. Były templariusz, wespół obłąkany Evrard, którym Gaetani wysługiwał się w swych sztuczках szatańskich, za wiele mówił, nim oddał się w ręce królewskich ludzi...

- Chowam tę sprawę w zanadru - rzekł hrabia de Poitiers. - Swąd stosu mógłby w odpowiedniej chwili uczynić bardziej powolnym Jego Wielbność Gaetaniego.

Leciutki, przelotny uśmiezek przemknął po wargach starego prałata na myśl, że ujrzy innego kardynała smażącego się na stosie.

- Niestety - podjął Poitiers - ów Evrard powiesił się w więzieniu, dokąd kazałem go wtrącić, zanim rzetelnie został przesłuchany.

- Powiesił się? Zaskoczyliście mnie, Dostojny Panie. Moi ludzie, którzy dobrze go znali, stwierdzili, że przed niespełna dwoma tygodniami spotkali go, gdy się znów wałęsał w pobliżu Valence.

- Albo kogo innego przyczepiono do krat w ciemnicy.

- Zakon jest jeszcze potężny - powiedział kardynał.

- Niestety - rzekł Poitiers, notując w pamięci, aby wysłać jednego z urzędników na wywiad w okolice Valence.

- Zdaje się - nawiązał Dueze - że Francesco Gaetani całkiem się odwrócił od dzieł Bożych, by zająć się wyłącznie sprawami Szatana. Czy to przypadkiem nie on kazał zadać truciznę królowi, waszemu bratu, po nieudanej próbie „zauroczenia”?

Hrabia de Poitiers nie wiedział i rozłożył ręce.

- Za każdym razem, gdy król umrze, ludzie twierdzą, że zadano mu truciznę. Tak mówiono o moim pradziadku Ludwiku Ósmym; tak nawet prawiono o moim ojcu, wieczny mu odpoczynek... Brat mój Ludwik był marnego zdrowia. Lecz ostatecznie rzecz warta rozważenia.

- Pozostaje wreszcie - podjął Dueze - trzecie stronnictwo, zwane prowansalskim z powodu kardynała Mandagout, najruchliwszego spośród nas...

Ostatnie to stronnictwo liczyło sześciu kardynałów z różnych stron; prałaci z Południa, jak obaj Berengerowie Fredol, sąsiadowali tu z Normanami i jednym duchownym z Cahors, a mianowicie kardynałem Dueze we własnej osobie.

Złoto rozdane przez Filipa de Poitiers zjednało ich poniekąd dla tej francuskiej polityki.

- Jest nas najmniej - mówił Dueze - lecz stanowimy języczek u wagi, niezbędny dla uzyskania jakiegokolwiek większości. Ponieważ zaś Gaskończycy i Włosi utracają nawzajem każdą kandydaturę, pochodzącą z ich szeregów, przeto, Dostojny Panie...

- Trzeba będzie tedy poszukać papieża między wami. Czyż nie taka wasza intencja?

- Jestem przekonany, głęboko przekonany. Tak twierdziłem od śmierci Klemensa. Nie słuchano mnie; podejrzewano niewątpliwie, że kaptuję dla siebie, bo moje nazwisko istotnie było wymieniane, zresztą bez mej zgody. Ale dwór francuski nigdy nie darzył mnie zbyt dużym zaufaniem.

- Ponieważ dwór neapolitański nieco zbyt jawnie popierał Waszą Wielbność.

- A gdyby mnie nikt nie popierał, Dostojny Panie, któż by na mnie zwrócił uwagę? Jedyńm moim dążeniem, wierzcie mi, było ujrzeć znów więcej ładu w sprawach chrześcijaństwa, które wyglądają bardzo nieciekawie; ciężkie będzie brzemię przyszłego następcy świętego Piotra.

Hrabia de Poitiers splótłszy długie ręce skrył w nich twarz i namyślał się kilka sekund.

- Co sądzicie, Przewielebny - spytał - czy Włosi w zamian za satysfakcję, że nie będą mieć papieża Gaskończyka, zgodziliby się, aby Stolica Apostolska pozostała w Awinionie, i czy Gaskończycy w zamian za stolicę w Awinionie mogliby zrzec się swego kandydata i dołączyć się do waszego trzeciego stronnictwa?

Wypowiedź ta wyraźnie oznaczała: „Gdyby za moim poparciem wybrano was, wielebny panie Dueze, czy formalnie zobowiązujecie się zachować obecną siedzibę papiestwa?”.

Dueze świetnie to pojął.

- Byłoby to rozwiązanie najmądrzejsze - odparł.

- Zapamiętam wasze cenne zdanie - rzekł Filip de Poitiers powstając, by zakończyć audiencję.

Odprowadził kardynała.

Chwila, gdy dwaj mężowie stanu, których na pozór dzieli wszystko, wiek, wygląd, doświadczenie, stanowisko, uznają się za ludzi tego samego pokroju i odgadują, że może między nimi zrodzić się współpraca i przyjaźń, chwila ta zależy bardziej od tajemniczych splotów losu niż od wymienionych słów.

Gdy Filip pochylał się, by ucałować pierścień kardynała, ów szepnął:

- Bylibyście, Dostojny Panie, doskonałym regentem.

Filip wyprostował się. „Czy on wiedział, że przez cały czas li-tylko o tym myślałem?” - rzekł do siebie i odpowiedział:

- A czy wy, Przewielebny Panie, nie bylibyście znakomitym papieżem?

Nie mogli powstrzymać dyskretnego uśmiechu, zabarwionego u starca jakby ojcowską czułością, u młodzieńca - przyjaznym szacunkiem.

- Byłbym wam wdzięczny - dorzucił Filip - za zachowanie w tajemnicy przyniesionej przez was ważnej wiadomości, aż zostanie ona potwierdzona publicznie.

- Tak też postąpię, Dostojny Panie, by wam usłużyć.

Pozostawszy sam, hrabia de Poitiers zastanawiał się ledwie kilka sekund. Zawołał swego szambelana.

- Adamie Heron, czy żaden jeździec nie przybył z Paryża?

- Nie, Dostojny Panie.

- Każcie więc zamknąć wszystkie bramy Lyonu.





## IV

### „Osuszmy nasze łzy”

Tego oto ranka ludność Lyonu została pozbawiona jarzyn. Przed murami miasta zatrzymano wózki ogrodników, a gosposie zlorzczyły na pustych rynkach. Wojsko obsadziło most na Saonie. Nie można było wejść do Lyonu ani zeń wyjść. Włoscy kupcy, podróżni, wędrowni mnisi wraz z kupą gapiów i nierobów gromadzili się przed murami, żądając wyjaśnień. Straż niezmiennie odpowiadała na wszelkie pytania: „Rozkaz hrabiego de Poitiers” i przybierała wyniosłą, pyszałkową minę jak wszyscy przedstawiciele władz, gdy wykonują zarządzenia całkiem dla nich niepojęte.

- Ależ mam chorą córkę w Fourriere...

- Stodoła spłonęła mi wczoraj w Saint-Just podczas nieszporów...

- Bajlif z Villefranche każe mnie zaaresztować, jeśli dzisiaj nie zapłacę mu podatków... - krzyczeli ludzie.

- Rozkaz hrabiego de Poitiers!

Kiedy zaś tłum naciskał, sierzanci królewscy jęli podnosić pałki.

Dziwne pogłoski krążyły w mieście.

Jedni zapowiadali wojnę. Ale z kim? Nie wiedział nikt. Inni twierdzili, że krwawa bójka wybuchła tej nocy koło klasztoru augustianów między ludźmi króla a sługami włoskich kardynałów. Słyszano stąpanie koni. Nawet liczbę trupów wymieniano, lecz w pobliżu augustianów panował spokój.

Arcybiskup Piotr Sabaudzki rozważał w wielkiej trwodze, jaki gotuje się nań zamach, aby zapewne przymusić go do zrzeczenia się godności prymasa Galii na rzecz arcybiskupa z Sens, jedyne przywileju, jaki zdołał zachować po przyłączeniu Lyonu do Korony w 1312 roku<sup>6</sup>. Wysłał po wiadomości swego kanonika, lecz ów natknął się u hrabiego de Poitiers na giermka wielce dwornego i milczącego jak mur. Arcybiskup oczekiwał ultimatum.

Wśród włoskich kardynałów, mieszkających w różnych kościelnych domach, panował lęk nie mniejszy, a nawet przeistaczał się on w panikę. Kardynałowie zachowali w pamięci napaść w Carpentras; lecz gdzie tym razem uciec? Gońcy biegali od augustianów do braci mniejszych, od jakobitów do cystersów. Kardynał Gaetani wysłał księdza Piotra, swego totumfackiego, do Napoleona Orsiniego, do Alberta da Prato, do Flisca, jedynego Hiszpana, aby powiedział tym prałatom:

- Patrzcie! Daliście się zwieść hrabiemu de Poitiers. Przysięgał, że nie wyrządzi nam żadnej krzywdy, a nawet że nie trzeba nam będzie wejść za klauzurę na głosowanie, że będziemy całkiem wolni. Teraz zaś zamyka nas w Lyonie.

Do Dueze'a przybyli osobiście kardynałowie Mandagout i Beranger Fredol starszy, lecz ów udał, że się ledwie ocknął ze swej naukowej pracy i



nie wie o niczym. W tym czasie w celi sąsiadującej z jego apartamentem Guccio spał na oba uszy i nie śniło mu się nawet, że spowodował taką panikę.

Od godziny konsul Varay i jego trzech koledzy przybywszy, by żądać wyjaśnień w imieniu miejskiego „syndykatu”, kręcili się po przedpokoju hrabiego de Poitiers.

Filip obradował - przy drzwiach zamkniętych - z członkami swej świty oraz dostojnikami, którzy mu towarzyszyli.

Wreszcie uchyliły się zasłony i pojawił się hrabia de Poitiers, a za nim jego doradcy. Wszyscy mieli powagę na obliczach.

- O! Pan Varay i wy wszyscy, mości konsulowie, przychodźcie w samą porę - rzekł hrabia de Poitiers. - Możemy wam przekazać niezwłocznie pismo, któreśmy dla was wygotowali. Panie Milesie, raczcie przeczytać.

Miles de Noyers był radcą Parlamentu, a za Filipa Pięknego marszałek wojsk królewskich, rozwinął pergamin i odczytał:

- Do wszystkich bajlifów, seneszałów i rajców zacnych miast. Czynimy wam wiadomym, jak wielki spadł na nas cios w postaci śmierci naszego ukochanego brata, króla Ludwika X, którego Bóg zabrał miłującym go poddanym. Ale natura ludzka jest tak stworzona, że nikt nie może przekroczyć wyznaczonego mu kresu. Postanowiliśmy przeto osuszyć nasze łzy, wspólnie z wami modlić się za jego duszę do Chrystusa Pana i spiesznie okazać się gotowi do objęcia rządów nad królestwem Francji i królestwem Nawarry, aby ich prawa nie poniosły uszczerbku, a poddani obu królestw żyli szczęśliwi pod tarczą sprawiedliwości i pokoju.

Z łaski Boga regent obu królestw  
Filip

Gdy minęło pierwsze wzruszenie, pan Varay niezwłocznie ucałował rękę hrabiego de Poitiers, a za jego przykładem poszli bez wahania pozostali konsulowie.

Król umarł. Wiadomość sama w sobie była dość zaskakująca, aby nikt, przynajmniej na razie, nie pomyślał o zadaniu pytań. Pod nieobecność pełnoletniego spadkobiercy zdawało się całkiem naturalne, że władzę obejmie najstarszy z braci monarchy. Ani przez chwilę konsulowie nie wątpili, że Izba Parów powzięła taką decyzję.

- Raczcie kazać miejskim obwoływaczom ogłosić w mieście ten list - rozkazał Filip de Poitiers - po czym bramy miasta zostaną otwarte natychmiast.

Następnie dorzucił:

- Panie Varay, podlegają wam sukiennicy; będę wam wdzięczny za dostarczenie i złożenie w mym przedpokoju dwudziestu czarnych płaszczy, by okryć nimi ludzi, którzy przyjdą wyrazić swój ból.

Po czym odprawił konsulów.

Dwa pierwsze akty objęcia władzy zostały dopełnione. Kazał się ogłosić regentem swemu otoczeniu, które tym samym stało się Radą Państwa. Zostanie uznany przez Lyon - miasto, gdzie przebywał. Spieszyło mu się teraz rozpostrzeć to uznanie na całe królestwo i postawić Paryż przed faktem dokonanym. Powodzenie tkwiło w szybkości.

Już kopiści przepisywali w wielu egzemplarzach proklamację; już jeźdźcy siodłali konie, by ją rozwieźć po wszystkich prowincjach.

Wnet otworzono bramy Lyonu i jeźdźcy pomknęli, mijając trzech gońców zatrzymanych rankiem na drugim brzegu Saony. Jeden z posłańców wioził list hrabiego de Valois, który występował jako wyznaczony regent i żądał od Filipa oficjalnej ratyfikacji, aby to wyznaczenie nabrało mocy prawnej. „Jestem pewien, że zechcecie pomóc mi w pełnieniu moich obowiązków dla dobra królestwa, jak przystoi zacnemu umiłowanemu bratankowi”.

Drugi list nadszedł od diuka Burgundii, który w imieniu swej siostrzenicy, małej Joanny Nawarry, także żądał regencji.

Wreszcie hrabia d'Evreux uprzedzał Filipa de Poitiers, że parowie nie zebrali się, jak nakazywało prawo i tradycja, a pośpiech, z jakim Karol de Valois obejmował władzę, nie opierał się na żadnym akcie pisemnym ani na żadnej uchwale prawnej.

Otrzymaawszy te wiadomości hrabia znów jął obradować ze swymi doradcami. Do Rady należeli wyłącznie wrogowie polityki, prowadzonej od półtora roku przez Kłótliwego i hrabiego de Valois; Filip de Poitiers znając zasługi oraz zdolności swych ludzi postanowił włączyć ich w trudne negocjacje, które miał wieść z Kościołem. Takim człowiekiem był konetabl Gaucher de Chatillon, nie przebaczył on śmiesznej kampanii, „bagiennej wyprawy”, którą musiał dowodzić ubiegłego lata we Flandrii. Takim był Miles de Noyers, bliski krewniak Gauchera. Taki był również legista Filipa Pięknego - Raul de Presles, którego Valois kazał aresztować jednocześnie z Enguerrandem de Marigny, a który wolność i powrót do łaski zawdzięczał hrabiemu de Poitiers.

Żaden z nich nie patrzył przychylnym okiem na ambicje Valois ani też pragnął, aby diuk Burgundii mieszał się do spraw Korony. Podziwiali szybkość, z jaką działał młody książę, i w nim pokładali swe nadzieje.

Nie wzmiankując nic o listach, jakby ich wcale nie otrzymał, Poitiers napisał do Eudoksjusza Burgundzkiego i Karola de Valois, aby zawiadomić ich, że z tytułu prawa naturalnego uważa się za regenta i natychmiast, jak tylko zdoła, zavezwie parów, aby usankcjonowali stan rzeczy.

Jednocześnie wyznaczył komisarzy, polecając im, aby udali się do głównych miast królestwa i w jego imieniu objęli je w posiadanie. Tegoż dnia przeto wyjechało kilkunastu jeźdźców, między innymi Regnault de Lor, Tomasz de Marfontaine i Wilhelm Courteheuse. Przy sobie zatrzymał Anzelma de Joinville, syna sędziwego seneszała, i Henryka de Sully.

Podczas gdy dzwony były we wszystkich dzwonnicach, Filip de Poitiers naradzał się sam na sam z Gaucherem de Chatillon. Wedle prawa konetabl zasiadał we wszystkich zgromadzeniach państwowych: Izbie Parów, Wielkiej Radzie, Radzie Ścisłej. Filip zażądał przeto od Gauchera, by udał się jako jego przedstawiciel do Paryża i, zanim osobiście on nie przybędzie, przeciwstawiał się zakusom Karola de Valois, następnie konetabl winien upewnić się, czy mocno trzyma w garści zaciężne oddziały w stolicy, a zwłaszcza korpus kuszników.

Nowy regent bowiem ku zdziwieniu, a następnie aprobachie swych

doradców postanowił na razie pozostać w Lyonie.

- Nie powinniśmy porzucać bieżących spraw - oświadczył. - Wybór papieża to najważniejsza sprawa dla Królestwa i będziemy o wiele silniejsi, gdy go wyniesiemy na tron.

Przyspieszył podpisanie umowy zaręczynowej między swą córką a delfinkiem. Na pierwszy rzut oka sprawa ta nie miała żadnego związku z wyborem papieża. Ale dla Filipa atutem w grze był sojusz z delfinem z Vienne, który rządził całym krajem na południe od Lyonu. Gdyby kardynałowie zapragnęli mu się wymknąć, nie mogliby w tym kierunku uciekać; odcinał im drogę do Italii. Zaręczyny prócz tego umacniały jego stanowisko jako regenta; delfin przechodził do jego obozu.

Umowa została podpisana w następnych dniach bez żadnych festynów, ponieważ obowiązywała żałoba.

W tymże czasie Filip rozmówił się z najpotężniejszym okolicznym baronem, zresztą szwagrem delfina, hrabią de Forez, który z tytułu swych posiadłości rządził prawym brzegiem Rodanu.

Jan de Forez wojował we Flandrii. Kilkakrotnie reprezentował Filipa Pięknego na dworze papieskim i nader skutecznie przyłożył się do połączenia Lyonu z Francją. Podejmując politykę ojcowską, Filip de Poitiers wiedział, że może nań liczyć.

16 czerwca hrabia de Forez dokonał gestu wielce efektownego. Złożył uroczysty hołd Filipowi jako suzerenowi wszystkich we Francji suzerenów, a tym samym uznał go za dzierżyciela władzy królewskiej.

Nazajutrz hrabia Bermond de la Voulte, który posiadał lenno Pierregourde w seneskalii<sup>7</sup> lyońskiej, włożył ręce w dłonie hrabiego de Poitiers, składając mu taką samą przysięgę.

Poitiers polecił hrabiemu de Forez dyskretnie trzymać w pogotowiu siedmiuset zbrojnych. Odtąd kardynałowie nie mogliby ruszyć się z Lyonu.

Mimo to do elekcji papieża było jeszcze daleko. Pertraktacje wlokły się. Włosi przeczuwając, że regentowi spieszo do Paryża, usztywnili swe stanowisko. „On pierwszy się zmęczy” - mówili. Mało ich obchodził stan tragicznego chaosu, w jakim tonęły sprawy Kościoła.

Filip de Poitiers kilkakrotnie spotkał się z kardynałem Dueze, który zdał mu się człowiekiem o najbystrzejszym rozumie, najbardziej przemyślnym i stanowczo najbardziej pożądanym władcą chrześcijaństwa w trudnym obecnie okresie.

- Herezja wszędzie po trochu znów zakwita - mówił swym stłumionym głosem kardynał. - I jak mogłoby dziać się inaczej, skoro taki dajemy przykład?

Szatan korzysta z naszych sporów, by zasiewać swój kłóć. Lecz w diecezji Tuluzy krzewi się ona najbujniej. Stara to ziemia buntów i grzesznych marzeń. Przyszły papież powinien by rozbić tę wielką, trudną do rządzenia diecezję na pięć biskupstw i każde przekazać w mocne ręce.

- To spowodowałyby utworzenie sporej ilości beneficjów<sup>8</sup>, z których nasz Skarb pobierałby annaty - zauważył hrabia de Poitiers.

- Ależ oczywiście, Dostojny Panie.

Annaty stanowiły opłatę na rzecz króla od nowo utworzonych beneficjów kościelnych i polegały na poborze dochodów za pierwszy rok.

Brak zaś papieża nie zezwalał na tworzenie beneficjów. Skarb odczuwał to tym dotkliwiej, iż korzystając z nieobecności papieża cały kler wynajdywał najrozmaitsze powody, by nie uiszczać zaległych podatków.

W istocie, gdy Filip de Poitiers i Jakub Dueze analizowali przeszłość, pierwszy jako regent, drugi jako ewentualny papież, zasadniczą ich troską były finanse.

Po śmierci Filipa Pięknego Skarb francuski był skrepowany, lecz nie obciążony. Po półtora roku, wyprawą do Flandrii, oblężeniem Artois, przywilejami nadanymi ligom baronów Ludwik X i de Valois zdołali zadłużyć królestwo na kilka lat.

Po dwu latach wędrownego konklawe Skarb papieski był w nie lepszym stanie; a jeśli kardynałowie sprzedawali się tak drogo książętom tego świata, to dlatego, że dla wielu z nich jedynym środkiem utrzymania był handel własnymi głosami.

- Grzywny, dostojny panie, grzywny - doradzał młodemu regentowi Dueze - karzcie grzywną tych, co popełnili przestępstwo, a im są bogatsi, karzcie tym srożej. Jeśli ten, kto uchybił prawu, ma dwadzieścia liwrów, żądajcie by zapłacił jeden. Ale jeśli posiada tysiąc, zabierzcie mu pięćset, a jeśli ma sto tysięcy, weźcie mu wszystko. Uzyskacie tym sposobem trzy korzyści: najpierw dochód będzie większy; następnie złoczyńca, pozbawiony swej mocy, już jej nie nadużyje; wreszcie ubodzy, a jest ich bardzo wielu, staną po waszej stronie i zaufają waszej sprawiedliwości.

Filip de Poitiers uśmiechnął się.

- To, co tak bardzo mądrze zachwalacie, Przewielebny, może przystoi sprawiedliwości królewskiej, która działa ramieniem doczesnym - odparł. - Ale dla zasilenia finansów Kościoła, nie widzę...

- Grzywny, grzywny - powtórzył Dueze. - Oblóżmy podatkiem grzechy; uzyskamy źródło nie do wyczerpania. Człowiek z natury jest grzesznikiem, ale bardziej ochoczo pokutuje sercem niżli trzosem. Żywiej odczuje żal za grzechy i dłużej zawaha się, nim znów popadnie w błędy, jeśli naszemu rozgrzeszeniu będzie towarzyszyła opłata. Kto chce uzyskać rozgrzeszenie, niech uiszcza grzywnę.

„Czy to żart?” - pomyślał Poitiers nie nawykły do wymyślnych sylogizmów kardynała.

- A jakie grzechy pragnęlibyście opodatkować, Przewielebny Panie? - zapytał.

- Przede wszystkim te, co popełnia duchowieństwo. Zacznijmy od poprawy nas samych, nim przystąpimy do poprawy bliźnich. Nasza Święta Matka jest zbyt wyrozumiała dla uchybień i nadużyć. Wiadomo, że nie wolno przyjąć do stanu duchownego ludzi ułomnych lub z wadą cielesną. Otóż przed paru dniami spostrzegłem, że niejaki ksiądz Piotr z dworu kardynała Gaetaniego ma dwa kciuki u lewej ręki.

„Drobna złośliwość wobec naszego starego wroga” - pomyślał Poitiers.

- Zaprawdę - ciągnął dalej Dueze - mamy legion kulawych, bezrękich, eunuchów, którzy kryją pod habitem swą ułomność i korzystają z dobrodziejstw Kościoła. Czy mamy ich wypędzić z naszego łona, co nie zmazując ich winy, skazałoby ich tylko w wyniku na nędzę i rozpacz, a

także niewątpliwie skusiłoby do wstąpienia w szeregi heretyków z Tuluzy lub nadgorliwców z Bractw Ducha Świętego? Pozwólmy im raczej okupić się; kto zaś mówi: okup, mówi też: płacić.

Stary prałat był najzupełniej poważny. W czasie ostatnich, bezsennych nocy opracował w swej wyobraźni bardzo ścisły system i przygotował w tej materii memoriał, zamierzając go podsunąć przyszłemu papieżowi, jak skromnie oświadczył.

Chodziło o instytucję Świętego Penitencjarium, rodzaj kancelarii grzechu, która wydawałaby bulle z odpustem w zamian za opłatę rejestracyjną na rzecz Stolicy Apostolskiej. Ułomni księży mogliby otrzymać pokwitowanie, płacąc kilka liwrów za brak palca, dwakroć tyle za stracone oko, tyleż za brak jednego lub obu jąder. Kto sam się pozbawił męskości, byłby winien uścić wyższą opłatę. Od defektów i ułomności cielesnych Dueze przechodził do uchybień moralnych. Bękarci, którzy zataili swe pochodzenie otrzymując święcenia, klerycy, co wygolili tonsurę, mimo że byli żonaci, ci, co potajemnie ożenili się po wyświęceniu, ci, co żyli z kobietą bez ślubu, bigamiści czy kazirodcy, czy sodomici, wszyscy byliby opodatkowani stosownie do popełnionego grzechu. Mniszki, które uprawiały nierząd z kilku mężczyznami czy to w klasztorze, czy poza jego granicami, winne by uzyskać oczyszczenie za szczególnie wysoką opłatą<sup>9</sup>.

- Jeśli ustanowienie penitencjarium nie przyniesie w pierwszym roku dwustu tysięcy liwrów, niech mnie...

Chciał powiedzieć: „niech mnie spalą na stosie”, lecz urwał w samą porę.

Poitiers myślał: „Jeśli ten zostanie wybrany, przynajmniej nie będzie kłopotów z finansami papieskimi”.

Ale mimo zabiegów Dueze'a i mimo poparcia, którego mu użył Poitiers, konklawe nadal nie posuwało się naprzód.

Nowiny zaś z Paryża były niedobre. Gaucher de Chatillon wspólnie z hrabią d'Evreux i Mahaut d'Artois stawili czoło Karolowi de Valois, usiłując okiełznać jego ambicje. Ów mieszkał jednak w pałacu na wyspie Cité, gdzie miał pod swą pieczę królową Klemencję; przekazywał prowincjom rozkazy sprzeczne z zaleceniami, które Poitiers słał z Lyonu. Następnie diuk Burgundii, popierany przez wasali ze swego olbrzymiego księstwa, przybył do Paryża 16 czerwca, w jedenastej dni po śmierci Ludwika X, aby żądać uznania swych praw. Francja miała więc trzech regentów. Sytuacja ta nie mogła się przedłużyć i Gaucher usilnie przynaglał Filipa, by wracał do Paryża.

27 czerwca po tajnej naradzie, w której wzięli udział hrabiowie de Forez i de Voulte, młody książę postanowił ruszyć w drogę i rozkazał świcie przygotować i załadować wozy. Spostrzegłszy jednocześnie, iż żadne solenne nabożeństwo jeszcze nie było celebrowane za spokój duszy brata, nakazał, aby nazajutrz przed wyjazdem odprawiono uroczyste msze w każdej miejskiej parafii. Całe wyższe i niższe duchowieństwo było obowiązane wziąć w nich udział i dołączyć się do modłów regenta.

Radowali się kardynałowie, a zwłaszcza kardynałowie włoscy. Nie ugiąwszy ich, Filip de Poitiers opuszczał Lyon.

- Stroi swą uciezkę w pompatyczne kiry - mówił Gaetani - ale jednakże idzie precz ten przeklętnik! Nie minie miesiąc, powiadam wam, a wrócimy do Rzymu.





## V

### Bramy konklawe

**K**ardynałowie to osobistości dostojne, nie godziłoby się ich zmieszać z drobną płótką duchowną. Na mszę żałobną za duszę Ludwika X hrabia de Poitiers kazał dla nich zarezerwować kościół klasztoru Braci Kaznodziejów zwany też kościołem Jakobitów<sup>10</sup>, najpiękniejszy i największy po prymasowskiej katedrze, a także najlepiej ufortyfikowany. Kardynałowie oszacowali ten wybór jako hołd złożony ich godności.

Mimo że było ich tylko dwudziestu czterech, kościół był wypełniony po brzegi, bo każdy z kardynałów pragnął przybyć w całej okazałości, w eskorcie licznego dworu, a więc: kapelana, sekretarza, skarbnika, kleryków, dworzan, paziów niosących treny i pachołków - pochodnie; w sumie półtysięczny tłum stał między ciężkimi białymi kolumnami.

Rzadko słuchano mszy tak mało nabożnie. Kardynałowie, mieszkający klikami w oddzielnych rezydencjach, po raz pierwszy zebrali się wszyscy razem. Niektórzy nie widzieli się prawie od dwóch lat. Wzajem się obserwowali, przyglądali sobie, szpiegowali.

- Czy widzieliście? - szeptali. - Orsini ukłonił się Fredolowi młodszemu... Stefaneschi przez chwilę rozmawiał z Mandagout; czyżby się zbliżył do Prowansalczyków?... Och! Dueze marnie wygląda; bardzo się postarzał...

W istocie lekki, skoczny chód Jakuba Dueze zwykle zdumiewał u człowieka tak leciwego, lecz dziś posuwał się krokiem powolnym, powłócząc nogami, i odpowiadał na ukłony z roztargnieniem oraz miną znużoną i wyczerpaną.

Guccio Baglioni w stroju dworzanina szedł w jego świcie. Miał rozmawiać tylko po włosku jako przybysz z Sieny.

„Może lepiej bym zrobił, oddając się pod opiekę hrabiego de Poitiers - rozważał Guccio. - Bo dziś odjeżdżałbym na pewno wraz z nim do Paryża i mógłbym dowiedzieć się coś niecoś o Marii, a nie mam od niej wiadomości już od tylu dni. Teraz zaś we wszystkim zależę od tego starego lisa, któremu przyrzekłem, że wuj udzieli pożyczki, a nic on nie robi dla mnie, dopóki nie przyjdą pieniądze. Wuj mi zaś nie odpisuje. Mówią, że w Paryżu gorąco... Mario, Mario, moja śliczna Mario! Czy nie pomyśli ona, że ją porzuciłem? Może mnie teraz nienawidzi? Co z nią zrobili?”

Wyobrażał sobie, że bracia uwięzili ją w Cressay lub w jakimś klasztorze dla upadłych dziewcząt. „Jak potrwa tak jeszcze tydzień, to uciekam do Paryża”.

Dotarłszy na swoje miejsce w stallach chóru, Dueze przygarbił się i dyskretnie podpatrywał sąsiadów; niekiedy zwracał przygnębioną twarz w głąb kościoła. O dwa miejsca od Dueze'a Francesco Gaetani, z chudym obliczem przeciętym garbatym nosem i włosami ulatującymi jak białe płomienie wokół czerwonej piuski, nie krył swej radości; wzrok jego,

biegnąc od katafalku ku świcie, wyrażał zwycięstwo. „Oto, szlachetni panowie - zdawał się wszystkim mówić - oto, co się dzieje, gdy ściąga się na siebie gniew Gaetanich, już potężnych za Juliusza Cezara. Samo niebo czuwa, aby nas pomścić”.

Colonnowie, o ciężkim podbródku, rozdzielonym pionowym dołkiem, podobni dwóm wojownikom przebranych za prałatów, mierzyli go wzrokiem z nieukrywaną nienawiścią.

Zarządzając uroczystość hrabia de Poitiers nie poskąpił śpiewaków. Była ich dobra setka, wspieranych przez organy, przy których czterej ludzie dęli co sił w miechy. Muzyka grzmiąca, królewska toczyła się pod sklepieniem, aż drżało powietrze, ogarniała tłum. Młodzi klerycy bezkarnie mogli ze sobą gwarzyć, a dworzanie parskać śmiechem, pokpiwając ze swych panów. Na trzy kroki nie można było usłyszeć, co się mówi, a tym bardziej, co się dzieje przy wejściu.

Msza zakończyła się. Zamilkli śpiewacy, ucichły organy, otwarły się podwoje głównego portalu. Lecz ani promyk światła nie przeniknął do kościoła.

Nastąpiła chwila zaskoczenia; niby jakiś cud zaćmił słońce podczas nabożeństwa, po czym kardynałowie pojęli, co się stało i rozległy się okrzyki wściekłości. Świeżo wzniesiony mur zamykał odrzwia; podczas mszy hrabia de Poitiers kazał zamurować wejścia. Kardynałowie zostali uwięzieni.

Odruch paniki przemieszał zebranych; prałaci, księża, pacholki, zapomniawszy o wszelkiej godności czy szacunku, tłoczyli się, poszturchiwali, biegali tam i sam niby szczury w pułapce. Dworzanie wdrapując się wzajem na ramiona wspięli się aż do witraży i wołali:

- Zbrojni otoczyli kościół!

Kardynałowie krzyczeli:

- Co pocniemy? Regent oszukał nas!

- Oto dlaczego uczcił nas tak grzmiącą muzyką!

- To cios wymierzony w Kościół.

- Wykląć go!

- Wielki czas! Wymordują nas.

Już obaj Colonnowie wraz ze swą kliką chwycili ciężkie świeczniki z brązu, ławy i procesyjne berła, gotowi drogo sprzedać swe życie, podczas gdy koło chrzcielnicy kilku kardynałów z różnych stronnictw gębowoło na siebie.

- *Colpa vostra, colpa vostra...* To wasza wina, wasza wina - krzyczał któryś Włoch, wskazując na Francuzów. - Gdybyście jak my odmówili przyjazdu do Lyonu!... dobrze wiedzieliśmy, że tu się nam szykuje zasadzkę.

- Nie byłoby nas tutaj o tej porze, gdybyście wybrali jednego z naszych - odkrzyknął któryś Gaskończyk. - Wasza wina, niegodni chrześcijanie!

Tylko jedne drzwi nie zostały całkowicie zamurowane; pozostawiono przejście dla jednego człowieka. Lecz ten wąski otwór jeżył się pękiem włóczni trzymany przez żelazne rękawice. Dzidy uniosły się i do kościoła wkroczył hrabia de Forez w pełnej zbroi, a za nim Bermond de la Voulte i jeszcze kilku pancernych. Powitał ich grad obelg.



Skrzyżowawszy ręce na jelicu miecza hrabia de Forez odczekał, aż wzburzenie się uspokoi. Był to mąż krzepki, odważny, niewrażliwy na pogróżki ani na błagania. Przykład waśni, sprzedajności, intryg, jakim od dwóch lat świecili kardynałowie, głęboko go urazał i w pełni pochwalał hrabiego de Poitiers, że chce położyć kres owemu zgorszeniu. Jego surowe, pobrużdżone oblicze jawiło się pod uchyloną przyłbicą.

Gdy kardynałowie oraz ich ludzie ochrypli od krzyku, rozległ się jego głos wyraźny, skandowany, niosąc się ponad głowami aż w głąb nawy.

- Wielebni Panowie, przybyłem tu z rozkazu regenta Francji, aby was urzędowo zawiadomić, byście odtąd raczyli się zająć wyłącznie wyborem papieża, a także oświadczyć wam, że nie wyjdziecie, nim papież nie zostanie wybrany. Każdy z kardynałów zatrzyma do swych usług tylko jednego kapelana i dwóch kleryków lub dworzan, wedle wyboru. Pozostali mogą odejść.

Ta proklamacja wywołała jednogłośnie oburzenie.

- To zdrada! - zawołał kardynał de Pelagruet. - Hrabia de Poitiers przyrzekł nam, że nie będziemy musieli nawet obradować za klauzurą i tylko za tę cenę zgodziliśmy się przyjechać do Lyonu.

- Hrabia de Poitiers - odparł Jan de Forez - dawał wtedy słowo w imieniu króla Francji. Ale króla Francji nie ma i dziś wam przekazuję słowa regenta.

Teraz wściekłość połączyła przedstawicieli trzech stronnictw, a ich obelgi mieszały się w języku prowansalskim włoskim i francuskim. Kardynał Dueze jakby zapadł się w swym konfesjonale, jakby jego podeszły wiek nie mógł znieść podobnego ciosu, i z ręką na sercu niedosłyszalnym szeptem udawał, że się dołącza do protestów. Kardynał z Albano, Arnold d'Auch, ten sam, co ongiś ogłosił wyrok skazujący templariuszy, zbliżył się do hrabiego de Forez i oświadczył mu z pogróżką w głosie:

- Panie, papież nie może być obrany w takich warunkach, bo gwałcicie konstytucję gregoriańską, wedle której konklawe winno zebrać się tam, gdzie umarł poprzedni papież.

- Byliście tam, Wielebni Panowie, przed dwoma laty i rozproszyliście się, nie wybrawszy papieża, co narusza konstytucję; lecz jeśli przypadkiem pragniecie, by odprowadzono was do Carpentras, każemy was odwieźć pod dobrą eskortą i w zamkniętych wozach.

- Nie możemy obradować pod przemocą!

- Dlatego, Przewielebny Panie, siedmiuset zbrojnych dostarczonych przez władze miejskie stoi na zewnątrz na straży, by zapewnić wam opiekę i odosobnienie... jak nakazuje konstytucja. Pan de la Voulte, tu obecny mieszkaniec Lyonu, ma rozkaz nad tym czuwać. Pan regent również kazał was zawiadomić, że jeśli na trzeci dzień nie dojdziecie do zgody, otrzymacie tylko jeden posiłek dziennie, a począwszy od dziewiątego dnia - jedynie chleb i wodę... jak to głosi również konstytucja gregoriańska. A wreszcie jeśli drogą postu nie dotrze do was światło, każę zerwać dach, abyście je łącniej mogli otrzymać wprost z nieba.

Wmieszał się Beranger Fredol starszy.

- Panie, ludobójstwem obciążacie siebie poddając nas takiemu

traktowaniu, bo wielu z nas nie zdoła go znieść. Spójrzcie na Przewielebnego Dueze'a, już się całkiem pochylił i wymaga pomocy lekarskiej.

- Och! oczywiście, och! oczywiście - wyszeptał Dueze. - Nie zdołam tego wytrzymać.

- Staje się dla nas jasne, że zetknęliśmy się z bestiami cuchnącymi i krwiożerczymi - huknął Gaetani - ale żebyście wiedzieli, mój panie, że zamiast wybierać papieża to wyklniemy was - was i waszego krzywoprzysięcę...

- Jeśli już zamierzacie naradzać się nad klątwą, Wielebny Panie Gaetani - chłodno odpowiedział hrabia de Forez - to regent nie omieszka dostarczyć konklawistom nazwisk niektórych magów i czarowników, których należałoby umieścić na czele kandydatów na wyklęcie.

- Nie pojmuję - rejterując rzekł Gaetani - nie widzę, co czary mają z tym wspólnego, przecież mamy zająć się wyborem papieża.

- O! Wasza Wielebność, jak świetnie się rozumiemy; raczcie więc odesłać zbędnych wam ludzi, nie starczy bowiem żywności, by wyżywić was wszystkich.

Kardynałowie zrozumieli, że próżny opór - nie ugnie się ten pancerny, co ostrym głosem przekazywał rozkazy hrabiego de Poitiers. Już za plecami Jana de Forez poczęli sznurem wchodzić zbrojni i z włócznią w dłoni ustawiali się w głębi kościoła.

- Wygramy przebiegłością, jeśli nie możemy wygrać siłą - półgłosem rzekł Włochom Gaetani. - Udajmy, że się poddajemy, ponieważ na razie nic nie wskóramy.

Każdy z kardynałów wybrał trzech najlepszych ze swej świty, tych, co uważał za najwierniejszych, najsprytniejszych lub najbardziej sposobnych do usług cielesnych w trudnych warunkach, w jakich się niebawem znajdą. Gaetani zatrzymał przy sobie: kłeryka Andrzeja, brata Bosta i księdza Piotra, to jest ludzi, którzy maczali palce w rzucaniu uroku na Ludwika X; wołał z nimi być uwięziony niż narażać się, by coś wyśpiewali za pieniądze lub na mękach. Colonnowie zatrzymali czterech dworzan o pięściach zdolnych powalić wołu.

Paziowie i pochodnicy<sup>11</sup>, nie wybrani klerycy i prałaci defilowali jeden za drugim przed rzędem zbrojnych. Panowie w przejściu podszeptowali im polecenia:

- Zawiadomcie mego brata biskupa... Napiszcie w moim imieniu do mego kuzyna... Natychmiast pędźcie do Rzymu...

Gdy Guccio gotował się dołączyć do sznura opuszczających kościół, Jakub Dueze wyciągnął chudą rękę zza konfesjonału, gdzie załamany spoczywał, i chwycił za szatę młodego Włocha szepcząc:

- Zostań, mały, zostań ze mną. Pewien jestem, że mi będziesz potrzebny.

Dueze wiedział, że w żadnym wypadku nie należy lekceważyć władzy pieniądza i sądził, że warto zatrzymać przy sobie przedstawiciela banków lombardzkich.

Po upływie godziny w kościele Jakobitów pozostało tylko dziewięćdziesięciu sześciu ludzi, przymuszonych do przebywania tutaj tak długo, aż dwudziestu czterech spośród nich dojdzie do zgody, by wybrać

jednego. Zbrojni, zanim wyszli, rozrzućili wiązki słomy, szykując posłanie na gołym kamieniu dla najwyższych prałatów tego świata, oraz przynieśli kilka mis i wielkich glinianych dzbanów pełnych wody. Po czym pod okiem hrabiego de Forez murarze skończyli zamurowywać ostatnie wyjście, pozostawiając tylko jeden mały otwór, okienko wystarczające zaledwie do przesunięcia półmiska, za wąskie do prześliznięcia się dorosłego człowieka. Wokół całego kościoła żołnierze objęli wartę, ustawivszy się co trzy sążnie w dwóch szeregach, jeden szereg oparty o mury patrzył na miasto, drugi zwrócony ku kościołowi - na witraże.

Okolo południa hrabia de Poitiers wyruszył do Paryża. Dołączył do swego orszaku delfina z Vienne i małego delfinka, który odtąd miał przebywać na francuskim dworze, by się tam zapoznać ze swą pięcioletnią narzeczoną.

W tym samym czasie kardynałowie otrzymali pierwszy swój posiłek; a że dzień był postny, mięsa nie dostali.





## VI

### Z Neauphle do klasztoru Świętego Marcelego

**W** pierwszych dniach lipca, pewnego ranka wcześniej przed świtem, Jan de Cressay wszedł do pokoju sióstr. Młody człowiek niósł kopczą świecę; brodę miał umytą i włożył najlepszy strój do konnej jazdy.

- Wstawaj, Mario - rzekł - wyjeżdżasz dziś rano, Piotr i ja odprowadzimy ciebie.

Młoda dziewczyna uniosła się na łożku.

- Wyjeżdżam? Jak to? Dziś rano mam wyjechać?

Jeszcze nie ocknąwszy się w pełni ze snu, nic nie pojmując, wpatrywała się w brata wielkimi szafirowymi oczami. Machinalnie nasunęła na ramiona długie, gęste i jedwabiste włosy mieniające się złotem.

Jan de Cressay bez zachwyty patrzył na urodę siostry, jakby jej piękność była obrazem grzechu.

- Spakuj swoje fatałaszki, bo nieprędka tutaj wrócisz.

- Ale gdzie mnie wieziecie? - spytała Maria.

- Zobaczysz.

- Ale wczoraj... Dlaczego mi wczoraj nikt nic nie powiedział?

- Żeby dać ci czas, żebyś znowu nam figla spletała, jak ty potrafisz?...

Dalejże, pospieszaj, chcę wyjechać, zanim nas zobaczą niewolnicy. Dostatecznie nas hańbą okryłaś, nie potrzeba, żeby jeszcze więcej jazgotali.

Maria nie rzekła słowa. Od miesiąca tak ją rodzina traktowała i nie mówiono do niej innym tonem. Wstała nieco ociężale, gdyż płód, choć niewielki, dziwił ją swym ciężarem zawsze, gdy wyskakiwała z łożka. Szykowała się do wyjazdu przy świecy, pozostawionej przez Jana; przemyła wodą twarz i piersi, szybko związała włosy; spostrzegła, że drżą jej ręce. Gdzie ją zawiozą? Do jakiego klasztoru? Zawiesiła na szyi złoty relikwiarzyk, upominek od Guccia, a który - jak jej powiedział - był darem królowej Klemencji... „Aż dotąd te relikwie jakoś słabo mnie chroniły - pomyślała. - Czy nie umiałam się do nich modlić?” Zwinęła razem suknię wierzchnią, kilka sukni spodnich, narzutkę i ręczniki.

- Okryjesz się opończą z dużym kapturem - rzucił Jan który przed chwilą wrócił do pokoju.

- Ależ skonam z gorąca! - rzekła Maria. - To zimowy przydziewek.

- Matka chce, żebyś jechała z zasłoniętą twarzą. Słuchaj i pospieszaj.

Na podwórzu Piotr, drugi jej brat, własnoręcznie siodłał dwa konie.

Maria dobrze wiedziała, że ten dzień musi nadejść: nawet tak bardzo nie cierpiała i mimo lęku w sercu niemal pragnęła wyjazdu. Zdawało jej się, że łatwiej zniesie smutek klasztorny niż co dzień ponawiane żale i wymówki. Zostanie przynajmniej sam na sam ze swoim nieszczęściem. Nie będzie narażona na wściekłość matki, która po wybuchu dramatu położyła się do łożka i przeklinała córkę za każdym razem, gdy ta przynosiła jej ziołowe napoje. Grubą kasztelanekę napadły wówczas duszności i trzeba było

natychmiast wezwać balwierza z Neauphle, aby jej upuścił pintę<sup>12</sup> czarnej krwi. Już co najmniej sześć razy w ciągu dwóch tygodni puszczano krew damie Eliabel, lecz nie zdawało się, by ta kuracja przyspieszała jej powrót do zdrowia.

Bracia, a zwłaszcza Jan, traktowali Marię jak zbrodniarkę. Och! Jasne! Tysiąc razy lepszy klasztor. Ale czy za furta zakonną otrzyma kiedykolwiek wiadomość o Gucciu? To właśnie było całą jej udręką, prawdziwym strachem przed losem, który ją oczekiwał. Złośliwi bracia twierdzili, że Guccio uciekł za granicę.

„Nie chcą mi wyjawić - myślała - ale kazali wtrącić go do więzienia. Niemożliwe, by mnie opuścił. Albo też wrócił do kraju i chce mnie ocalić; dlatego właśnie bracia tak się spieszą, aby mnie wywieźć, potem zaś go zabiją. A on? Dlaczego z nim nie uciekłam?”

Fantazja nasuwała jej wszelkie możliwe obrazy katastrofy. Chwilami nawet pragnęła, by Guccio rzeczywiście uciekł i pozostawił ją na pastwę losu. Była pozbawiona jakiegokolwiek rady, a nawet współczucia, za jedynego towarzysza miała to jeszcze nie urodzone dziecko, a ta istotka mało jej była pomocna, jedynie umacniała ją w odwadze.

Tuż przed odjazdem Maria de Cressay spytała, czy może pożegnać matkę. Piotr wszedł do komnaty damy Eliabel. Z okrzyków wdowy, której upusty krwi nie odebrały jeszcze głosu, Maria zrozumiała, jak była bezcelowa ta prośba.

- Odpowiedziała mi, że córki już nie posiada - rzekł powróciwszy Piotr de Cressay.

Maria pomyślała raz jeszcze: „Lepiej bym zrobiła uciekając z Gucciem. To wszystko mój błąd, powinnam była z nim jechać”.

Obaj bracia wsiedli na wierzchowce i Jan de Cressay siostrę umieścił z tyłu za sobą, bo jego koń był lepszy, a raczej mniej zły niż Piotra. Ów jechał na dychawicznej szkapie, na której w ubiegłym miesiącu dwaj bracia tak okazale wjechali do Paryża.

Maria po raz ostatni objęła spojrzeniem zameczek o dachach jeszcze słabo zarysowanych w półmroku świtu, a już jakby niknących we mgle wspomnienia. Wszystkie chwile życia, odkąd otworzyła oczy, zapisały się na tych murach i na tym krajobrazie: zabawy małej dziewczynki, zdumiewające odkrycie siebie samej i świata, jakiego dzień po dniu dokonuje każda z kolei istota... niesłychana różnorodność traw na polach, dziwny kształt kwiatów i cudowny pyłek w ich serduszkach, miękki puch na brzuskach kacząt, gra słońca na skrzydłach ważek... Pozostawiała tu wszystkie chwile, kiedy widziała siebie, jak rośnie, słuchała, o czym marzy, wszystkie przemiany swej twarzy, której tak często przyglądała się w przezroczystej wodzie Mauldre, i to wielkie olśnienie życiem, jakie czasem odczuwała, leżąc na wznak wśród łąk, wróżąc z kształtu obłoków i wyobrażając sobie Boga w głębi nieba...

- Opuść kaptur - nakazał jej brat Jan.

Gdy przejechali przez rzekę, Jan popędził konia, a szkapa Piotra zaczęła wnet sapać.

- Janie, czy nie jedziemy za szybko? - wskazując Marię zapytał Piotr.

- Ech! Podłe nasienie zawsze mocno się trzyma - odparł starszy, jakby

złośliwie życzył sobie wypadku.

Nadzieje okazały się płonne. Maria była krzepką dziewczyną jakby stworzoną do macierzyństwa. Przejechała dziesięć mil z Neauphle do Paryża, nie okazując żadnego niedomagania. Miała tylko obolałe krzyże, dusiła się z gorąca, lecz się nie skarżyła. Spod kaptura ujrzała z całego Paryża tylko bruk na ulicach i podmurówki domów. Ile nóg! Ile trzewików! Zdumiewał ją najbardziej hałas, ogromny, miejski rozgwar, wrzaski przekupniów, handlujących wszelaką żywnością, turkot warsztatów. Gdzieniedzie tłum był tak gęsty, że konie z trudem torowały sobie drogę. Przechodnie poszturchiwali łokciem czy ramieniem stopy Marii. Konie nareszcie stanęły. Kazano dziewczynie zsiąść, czuła się zmęczona i zakurzona. Dopiero teraz zezwolono jej zsunąć kaptur.

- Gdzie jesteście? - zapytała, podziwiając dziedziniec pięknej siedziby.

- U wuja twego Lombarda - odparł Jan de Cressay.

W kilka chwil potem messer Tolomei z jednym okiem zamkniętym, a drugim otwartym oglądał siedzących przed nim troje potomków zmarłego pana na Cressay - Jana brodacza, Piotra gołowąsa, a przy nich, nieco na uboczu, ich siostrę z pochyloną głową.

- Zrozumcie, messer Tolomei - mówił Jan - wyście przyrzekli nam...

- Oczywiście, oczywiście - powtarzał Tolomei - i dotrzymam obietnicy, mili przyjaciele, nie wątpcie.

- Ale zrozumcie, że trzeba ją szybko spełnić. Zrozumcie, że po hałasie wokół tej hańby siostra nie może dłużej przebywać pomiędzy nami. Zrozumcie, że nie śmiemy pokazać się w okolicznych dworach, i nawet niewolni z nas szydzą, a będzie jeszcze gorzej, kiedy grzech siostry pocnie się zaokrąglać.

Tolomei miał na końcu języka odpowiedź: „Ależ, moi chłopcy, wy sami narobiliście hałasu! Nikt was nie zmuszał rzucić się jak szaleńcy na Guccia, stawiając na nogi cały gródek Neauphle skuteczniej niż miejski obwoływacz”.

- Wreszcie nasza matka nie może dźwignąć się z tego nieszczęścia; wykleła córkę, a jej widok tak ją gniewa, że boimy się, by nie skołała. Zrozumcie...

„Zaiste, zwyczaj głupców wciąż powtarzać to zrozumcie. Ba, kiedy wyschnie mu w gardle, zamilknie!... Ale teraz ja najwyraźniej zrozumiałem - rozważał bankier - dlaczego mój Guccio szaleje za tą śliczną dziewczyną. Dotąd nie przyznawałem mu racji, lecz odkąd tu weszła, zmieniłem zdanie, a gdyby mój wiek pozwolił, żeby coś podobnego jeszcze mi się przydarzyło, niewątpliwie szalałbym bardziej niż on. Piękne oczy, piękne włosy, piękna cera... prawdziwy wiośniany kwiatusek! A jak dzielnie zdaje się znosić swoje nieszczęście! Bo choć tamci dwaj krzyczą, pomstują, udają ważnych, ona właśnie, biedactwo, najdotkliwiej cierpi. Na pewno ma dobre serce. Co za szkoda, że urodziła się pod dachem tych dwóch gamoni, i jakbym chciał, żeby Guccio mógł jawnie ją poślubić. Zamieszkałaby tutaj i na stare lata cieszyłbym się jej widokiem”.

Nie spuszczał z niej wzroku. Maria podnosiła nań oczy, wnet przymykała, znów wznosiła zaniepokojona uporczywą obserwacją.

- Zrozumcie, messer, że wasz siostrzeniec...

- Och! Ja się go wyparłem, wydziedziczyłem! Gdyby nie uciekł do Italii, myślę, że zadusiłbym go własnymi rękami. Gdybym tylko wiedział, gdzie się on kryje... - mówił ze zgnębioną miną Tolomei, biorąc się za głowę.

Pod osłoną palców mrugnął grubą, zwykle przymkniętą powieką, uważając, by tylko dziewczyna dostrzegła ten znak. Maria wówczas pojęła, że ma sojusznika, nie zdołała powstrzymać westchnienia. Guccio przebywa w bezpiecznym miejscu i Tolomei wie, gdzie się on znajduje. Co ją teraz obchodzi klasztor!

Nie słuchała przemówienia Jana. Mogłaby zresztą wyrecytować je z pamięci. Piotr de Cressay z miną niewyraźną i znudzoną również milczał. Czynił sobie wyrzuty - nie wając się je wyjawić - że on również uległ bezmyślnej wściekłości. Pozwalał więc, by starszy brat mówił o honorze krwi i rycerskich prawach, chcąc usprawiedliwić ich własną bezdenną głupotę.

Kiedy bowiem bracia Cressay opuścili biedny, zrujnowany zameczek i podwórze cuchnące nawozem tak latem, jak i zimą, gdy zobaczyli książęcą siedzibę Tolomeia i odetchnęli atmosferą bogactwa i dostatku, przepelniającą cały dom, musieli przyznać, że gdyby zgodzili się na małżeństwo, siostra miałaby nie najgorszy los. O ile jednak młodszy odczuwał poniekąd wyrzuty sumienia wobec siostry, o tyle starszy, zacierzwiony, żywił brzydkie uczucie zazdrości i myślał: „Dlaczego poprzez grzech miałaby ona prawo do takich bogactw, skoro my biedujemy tak marnie?”.

Maria również nie była obojętna na przepych, który ją otaczał, olśniewał i jeszcze rozjątrzał żal.

„Gdybyż Guccio miał choć kroplę krwi szlacheckiej - rozważała - albo gdybyśmy my jej nie mieli. Stan rycerski, co to właściwie znaczy? Czy coś dobrego może sprawić tyle cierpienia? A bogactwo - czy też nie jest czymś, co obdarza szlachectwem?”

- Nie troszczcie się o nic, przyjaciele - rzekł wreszcie Tolomei - polegajcie we wszystkim na mnie. Naprawa błędów niegodnych siostrzeńców to obowiązek wujów. Dzięki moim dostojnym przyjaciółom uzyskałem zgodę na przyjęcie waszej siostry do klasztoru Panien od Świętego Marcelego. Czyż to was nie zadowala?

Obaj bracia de Cressay spojrzeli po sobie i z widoczną aprobatą kiwnęli głową. Klasztor klarysek na przedmieściu Świętego Marcelego cieszył się wielką renomą. Wstępowały doń wyłącznie córki wielkich rodów. Niekiedy nawet nieślubne córki królewskie kryły się pod welonem. Złość Jana de Cressay wnet opadła, próżność kasty została zaspokojona. Nie było miejsca, gdzie dyshonor można było zmazać z większym honorem. Gdyby drobni baronowie z okolic Neauphle zapytali, gdzie przebywa Maria, nie byłoby im niemiło odpowiedzieć z obojętną miną: „Jest w klasztorze Panien od Świętego Marcelego”.

Ale Tolomei musiał zapłacić lub wiele przyrzec, by została tam przyjęta...

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - mówił Jan. - Zresztą ksieni, sędzę, jest z nami spowinowacana, matka nasza nieraz dawała ją nam za przykład.

- Tak więc wszystko składa się jak najlepiej - podjął Tolomei. -

Odprowadzę waszą siostrę do hrabiego de Bouville, byłego wielkiego szambelana...

Obaj bracia znów się pochyliłi na krzesłach, by wyrazić swój szacunek.

- ...dzięki któremu uzyskałem tę łaskę; a dziś wieczorem, przyrzekam wam, zostanie oddana pod opiekę właśnie ksieni. Możecie więc odjechać ze spokojnym sercem; przyślę wam wiadomość.

Obaj bracia niczego więcej nie chcieli. Pozbyli się siostry i uważali, że dość zrobili, składając ciężar na cudze barki.

- Niech Bóg natchnie cię skruczą - zamiast pożegnania rzekł Jan.

O wiele serdeczniej zegnał się z Tolomeim.

- Niech Bóg cię strzeże, Mario - ze wzruszeniem rzekł Piotr. Uczynił ruch, jakby chciał uściskać siostrę, lecz powstrzymało go surowe spojrzenie starszego brata.

Maria pozostała sam na sam z grubym bankierem o ciemnej cerze, mięsistych wargach i przymkniętym oku, a który, o dziwo, stał się jej wujem.

Oba konie opuściły dziedziniec i dotarło do ich uszu cichnące sapanie dychawicznej szkapy; ostatni odgłos z Cressay oddalał się od Marii.

- Teraz zasiądźmy do stołu, moje dziecko. Nie płacze się podczas obiadu - rzekł Tolomei.

Pomógł dziewczynie zdjąć opończę, pod którą się dusiła, i Maria spojrzała ze zdziwieniem i wdzięcznością, był to bowiem pierwszy objaw szacunku czy zwykłej uprzejmości, z jakim spotkała się po wielu tygodniach.

„Patrzcie, tkanina z moich składów” - pomyślał Tolomei, widząc suknię, w którą była przyodziana.

Lombard będąc bankierem handlował jednocześnie wschodnimi korzeniami; przeto potrawy, w które delikatnie zanurzał palce, mięsiwa, które delikatnie drobnymi kęskami odrywał od kości, były przesycone egzotyczną wonią ułatwiającą trawienie. Ale Maria nie miała apetytu, ledwie skubnęła potrawy z pierwszych półmisków.

- Jest w Lyonie - rzekł wówczas Tolomei, unosząc lewą powiekę. - Na razie nie może się stamtąd ruszyć, ale myśli o was i dochowuje wam w pełni wiary.

- Czyż byłby w więzieniu? - spytała Maria.

- Nie, niezupełnie. Jest uwięziony, ale nie z powodów karnych; dzieli swą niewolę z tak dostojnymi osobistościami, że nie mamy się czego lękać o całość jego osoby. Wszystko skłania do przypuszczenia, że wyjdzie z kościoła zacieńszy, niż gdy tam wszedł.

- Z kościoła? Skąd on w kościele?

- Nie mogę wam więcej powiedzieć.

Maria nie nalegała. Guccio uwięziony w kościele wraz z tak dostojnymi osobistościami, że nie można ich jej wymienić... tajemnica ta ją przerastała. Lecz to, co tyczyło jej Guccia, było zawsze nacechowane tajemnicą. Gdy go zobaczyła po raz pierwszy, czyż nie powracał z tajnej misji do królowej Anglii? Czyż nie wrócił do Cressay, by ukryć dokumenty, a potem je zabrać? Czyż nie jeździł dwa razy do Neapolu w sprawach królowej Klemencji. A ta, czy go nie obdarzyła relikwią świętego Jana, którą ona



sama teraz nosi na szyi? Jeżeli Guccio jest teraz uwięziony, to na pewno raz jeszcze z powodu jakiejś królowej. I Maria była oczarowana, że Guccio przebywając wśród tak możnych księżniczek, woli ją, ubogą pannę ze wsi. Guccio żyje. Guccio ją kocha; wystarczyła jej ta wiadomość, by odzyskać radość życia i zjadła z apetytem osiemnastoletniej dziewczyny, która od świtu była w drodze.

Choć Tolomei swobodnie zwracał się do najwyższych baronów, parów królestwa, legistów, arcybiskupów, od dawna odzwyczaił się rozmawiać z kobietami, a zwłaszcza tak młodymi. Wymienili niewiele zdań. Stary bankier patrzył z zachwytem na tę siostrzenicę, która mu spadła z nieba, i z minuty na minutę coraz bardziej mu się podobała.

„Jaka szkoda umieszczać ją w klasztorze! - myślał. - Gdyby nie zatrzymano Guccia na konklawe, chętnie wysłałbym to śliczne dziecko do Lyonu, lecz co by tam robiła sama i bez opieki? Kardynałowie zaś, jak się to słyszy, wcale nie są skłonni do ustępstw... Albo zatrzymać ją tu, czekając na powrót siostrzeńca? To by mi się uśmiechało. Lecz nie, nie mogę; prosiłem Bouville'a, żeby się za nią wstawił; jakbym teraz wyglądał lekceważąc trud, jaki sobie zadał? Jeśli zaś na dobitkę ksieni jest kuzynką tych z Cressay i niechże tym gamoniom przyjdzie na myśl zapytać ją o wiadomości... Jazda! Niechże i ja nie dostaję zawrotu głowy! Pójdzie do klasztoru...”

- ...lecz nie na całe życie - mówił dalej już głośno. - Nie ma mowy o obłóczynach. Zgódźcie się bez zbytnich skarg na te kilka miesięcy wśród zakonnic. Przrzekam wam, gdy dziecko urodzi się, załatwić wasze sprawy, abyście żyli szczęśliwie z moim siostrzeńcem.

Maria schwyciła go za rękę i przycisnęła do niej usta. Zmieszał się. Dobroć nie była jego cechą, zawód zaś niezbyt go przyzwyczaił do objawów wdzięczności.

- Muszę teraz oddać was pod opiekę hrabiego de Bouville - rzekł. - Zaraz was do niego odprowadzę.

Blisko było z ulicy Lombardów do pałacu na wyspie Cité. Maria szła obok Tolomeia zdumiona i oczarowana. Nigdy nie widziała wielkiego miasta; tłum płynący w potokach lipcowego słońca, piękne domy, ilość i bogactwo sklepików, skrzące się stoiska, całe to widowisko jakby ją przeniosło do krainy cesarzy. „Co za szczęście, co za szczęście - myślała - tu mieszkać, a wuj Guccia, jaki to uprzejmy człowiek i prawdziwe błogosławieństwo, że chce się nami opiekować! Och! Tak, zniosę bez skarg pobyt w klasztorze!” Przeszli przez most Change i wkroczyli do Galerii Kramarzy zatłoczonej stoiskami.

Chcąc raz jeszcze usłyszeć podziękowanie, Tolomei nie mógł powstrzymać się, by nie kupić jałmużniczki do paska naszywanej drobnymi perełkami, i podarował ją Marii.

- Upominek od Guccia, muszę go przecie zastąpić!

Po czym weszli na paradne schody pałacowe. Tak więc grzech popełniony z młodym Lombardem otworzył przed Marią de Cressay podwoje siedziby królów.

Wewnątrz pałacu panowało zamieszanie, uzasadniona czy udana krzątania widoczna wszędzie, gdzie przebywał hrabia de Valois. Przeszli

przez galerie i amfiladę sal, gdzie tłoczyli się, mijali, udzielali sobie wyjaśnień szambelani, sekretarze, urzędnicy i petenci; Tolomei wraz z młodą dziewczyną dotarli do skrzydła pałacu, nieco na uboczu, za Sainte-Chapelle na wprost Sekwany i Wyspy Żydowskiej. Dworska straż zastąpiła im drogę. Bez pozwolenia opiekunów nikt nie miał prawa wejść do apartamentów, zastrzeżonych dla królowej Klemencji. Podczas gdy szukano hrabiego de Bouville, Tolomei i Maria czekali w niszy pod oknem.

- Widzicie, tam spalono templariuszy - rzekł Tolomei wskazując wyspę.

Gruby Bouville - wciąż w wojennym stroju, tocząc przed sobą brzuch pod szatą naszywaną stalowymi kółkami - wszedł marsowym krokiem, jakby zamierzał dowodzić szarżą. Odsunął straż. Tolomei i Maria minęli komnatę, gdzie siedząc w gotyckim krześle, drzemał wyschły staruszek w jedwabnej szacie i z cerą w plamach, podobną do pergaminu. Był to seneszał de Joinville. Obok niego dwaj giermkowie milcząc grali w szachy. Po czym goście weszli do mieszkania hrabiego de Bouville.

- Czy Miłościwa Pani Klemencja wraca do zdrowia? - spytał Bouville'a Tolomei.

- Płacze mniej - odparł opiekun - lub raczej nie tyle pokazuje łez, jakby się jej toczyły wprost do gardła. Ale jest nadal mocno odrętwiała. Poza tym tutejszy upał nie sprzyja jej zdrowiu, często mdleje i ma zawroty głowy.

„A więc królowa Francji jest tuż obok - z żywą ciekawością myślała Maria. - Czy będę jej przedstawiona? Czy ośmielę się powiedzieć jej o Gucciu?”

Asystowała następnie przy długiej rozmowie między bankierem a byłym wielkim szambelanem; mało co z niej pojęła. Wymieniając niektóre nazwiska, zniżali głos. Maria zaś nie zezwalała sobie na podsłuchiwanie ich szeptów.

Przyjazd z Lyonu hrabiego de Poitiers został zapowiedziany na jutro. Bouville, który wpierw tak gorąco pragnął tego powrotu, nie wiedział teraz, czy ma się zeń cieszyć. Dostojny Pan de Valois postanowił bowiem niezwłocznie wyjechać na spotkanie Filipa, zabierając ze sobą hrabiego de la Marche; Bouville przez otwarte okno, które wychodziło na dziedzińce, pokazywał Tolomeiowi przygotowania do wyjazdu. Diuk Burgundii zaś, przybywszy z Dijon, kazał obstawić strażą - złożoną z własnych dworzan - swoją siostrzenicę, małą Joannę Nawarry. Przykry wiatr buntu dał w mieście. Zdaniem Bouville'a należałoby mianować regentką królową Klemencję i przydać jej Radę Koronną w składzie: de Valois, de Poitiers i Eudoksjusz Burgundzki.

Jakkolwiek Tolomei interesował się bieżącymi wypadkami, usiłował skierować Bouville'a ku właściwemu celowi swej wizyty.

- Oczywiście, oczywiście, zaopiekujemy się troskliwie tą panienką - odpowiedział Bouville, natychmiast powracając do swych trosk politycznych.

Czy Tolomei otrzymuje wiadomości z Lyonu? Szambelan ujął poufale Tolomeia pod ramię i rozmawiał z nim prawie policzek przy policzku. Jak to? Guccio konklawistą i uwięziony razem z Dueze'em? A to sprytny chłopak! Czy Tolomei sądzi, że zdoła porozumieć się z siostrzeńcem? Gdyby kiedyś otrzymał odeń wiadomości lub miał sposobność je

przekazać, niech da znać; pośrednictwo może okazać się nader cenne... Co zaś do Marii...

- Ależ tak, ależ tak - rzekł opiekun. - Pani Bouville to osoba rozumna i bardzo energiczna; wszystko załatwiła wedle waszego życzenia. Bądźcie spokojni.

Wezwał małżonkę, małą, chudą, władczą kobietkę o twarzy w podłużnych bruzdach i suchych, ruchliwych dłoniach. Dotąd Maria czuła się całkowicie bezpieczna, lecz teraz ogarnęły ją natychmiast lęk i niepokój.

- Aha! To was trzeba ukryć wraz z waszym grzechem - rzekła pani de Bouville, przyglądając się jej mało życzliwym okiem. - Oczekują was w klasztorze klarysek. Ksieni nie okazała zbyt skwapliwości, zwłaszcza gdy wymieniłam nazwisko, bo nie wiem jak, ale jest spokrewniona z waszą rodziną i postępowanie wasze wcale jej się nie podoba. W końcu łaska, jaką cieszy się pan Hugo, mój małżonek, przeważała szalę. Trochę pokrzyczałam; przygarną was. Odprowadzę pannę przed nocą.

Mówiła szybko i niełatwo było jej przerwać. Gdy nabierała tchu, Maria odpowiedziała z wielkim szacunkiem, ale i z wielką godnością w głosie.

- Dostojna Pani, nie jestem w stanie grzechu, bo zawarłam ślub w obliczu Boga.

- Dobrze, dobrze - odparła pani de Bouville - nie kaźcie żałować okazanej wam dobroci. Podziękujcie raczej tym, co starają się wam pomóc, zamiast udawać obrażoną księżniczkę.

Dopiero Tolomei podziękował w imieniu Marii. Gdy dziewczyna ujrzała, że bankier zabiera się do wyjścia, w popłochu rzuciła mu się na szyję jak rodzonemu ojcu.

- Powiadomcie mnie o losie Guccia - szepnęła mu na ucho - i zawiadomcie go, że schnę z tęsknoty za nim.

Tolomei odszedł; Bouville'owie również zniknęli. Maria pozostała sama w przedpokoju przez całe popołudnie, nie ważąc się poruszyć, i jedyną jej rozrywką było oglądanie przez okno - przy którym siedziała - odjazdu Dostojnego Pana de Valois i jego świty. Widowisko na chwilę przesłoniło smutek. Nigdy nie widziała tak pięknych rzędów, tak pięknych szat i w tak wielkiej ilości. Myślała o chłopach z Cressay odzianych w łachmany, o ich nogach owiniętych w onuce i mówiła sobie, że to bardzo dziwne, iż istoty, które mają tak samo jedną głowę i dwoje rąk i tak samo stworzone są przez Boga na jego obraz, należą do tak różnych rodzajów, jeśli sędzić po odzieży.

Młodzi giermkowie, widząc dziewczynę wielkiej urody, przesyłali jej uśmiechy, a nawet całusy. Nagle zakrzętnęli się wokół jakiejś osobistości w srebrnych haftach, która - zdawało się - wzbudzała w nich wielki szacunek i przybierała postawę monarchy; po czym cały zastęp ruszył i popołudniowy żar ogarnął dziedzińce i ogrody.

Pod wieczór przysłała po Marię pani de Bouville. Na mułach o siodłach „z ławeczką” i poduszką, na której siadywano bokiem, opierając nogi na deseczce, obie kobiety wraz z towarzyszącymi im pacholkami przejechały przez Paryż. W wielu miejscach widziały zbiegowiska, a nawet ujrzały koniec bójki, która wybuchła na progu oberży między zwolennikami

hrabiego de Valois a ludźmi diuka Burgundii. Straż złożona z sierżantów zaprowadziła ład uderzeniami pałek.

- W mieście gorąco - rzekła pani de Bouville. - Nie dziwiłabym się, gdyby jutro wybuchły zamieszki.

Przez Górę Świętej Genowefy i bramę Świętego Marcelego wyjechały z Paryża. Zmierzch zasnuwał przedmieścia.

- Za czasów mej młodości - mówiła pani de Bouville - było tu najwyżej ze dwadzieścia domów. Ale ludzie nie mają gdzie mieszkać w mieście i wciąż budują się na polach.

Wysoki biały mur otaczał klasztor klarysek, opasywał budynki, ogrody i sady. Koło niskiej bramy widniała wieża, wynurzająca się z kamiennej ściany.

Jakaś kobieta z osłoniętą głową szła przemykając się pod murami; zbliżyła się do wieży i szybko położyła tobolek owiązany płótnem. Potem obróciła drewniany bęben, pociągnęła za sznur od dzwonu i widząc, że ktoś nadchodzi, uciekła biegiem.

- Co ona zrobiła? - spytała Maria.

- Podrzuciła dziecko bez ojca - odparła pani de Bouville, surowo spoglądając na Marię. - W taki to sposób je się przygarnia. Dalejże, pospieszajcie.

Maria popędziła mulicę. Myślała, że i ona w bliskiej przyszłości musiałaby może położyć swe dziecko pod wieżą, i uznała, że los jej jeszcze jest godny zazdrości.

- Bardzo dziękuję wam, Dostojna Pani, za tak wielką troskę o mnie - szepnęła ze łzami w oczach.

- Nareszcie zdobyłyście się na uprzejme słowo - odparła pani de Bouville.





## VII

### Bramy pałacu

Tegoż wieczoru hrabia de Poitiers przebywał w zamku Fontaineblau, gdzie zamierzał przenocować; był to ostatni jego postój przed Paryżem. Razem z delfinem z Vienne, hrabią Sabaudii oraz liczną świtą kończył jeść wieczerzę, gdy oznajmiono przybycie hrabiów de Valois, de la Marche i de Saint-Pol.

- Niech wejdą, niech zaraz wejdą - rozkazał Filip de Poitiers.

Ale nie ruszył się, by wyjść naprzeciw stryja. A gdy ów wszedł marsowym krokiem z uniesionym podbródkiem i w zakurzonej odzieży, Filip raczył powstać i czekał. Zbity z tropu Valois stał kilka sekund w odrzwiach, patrząc na zebranych. Ponieważ Filip uparcie trwał bez ruchu, nie mógł postąpić inaczej, jak podejść bliżej. Wszyscy zamilkli, czujnie ich obserwując. Gdy Valois zbliżył się, hrabia de Poitiers ujął go w ramiona i pocałował w oba policzki. Gest ten mógł ująć za powitanie kochającego bratanka, ponieważ jednak wykonał go człowiek, który nie ruszył się z miejsca, zdał się raczej gestem króla.

Postawa ta rozdrażniła nie tylko Valois, lecz także Karola de la Marche, który pomyślał: „Czyż po to przebyliśmy ten szmat drogi, żeby się spotkać z takim powitaniem? Jestem przecież równy memu bratu, dlaczego on śmie traktować nas tak z góry?”.

Gorzki, zazdrosny grymas wykrzywił mu nieco twarz o rysach regularnych, piękną, lecz bezmyślną.

Filip wyciągnął doń rękę; nie mając innego wyjścia, la Marche dał się uściskać, ale wskazując na Valois rzekł natychmiast tonem, który miał być władczy.

- Filipie, oto nasz stryj, z rodu królewskiego najstarszy. Będziemy z was wielce radzi, gdy się z nim ugodzicie i obejmie on panowanie. Wystawilibyśmy bowiem monarchię na niebezpieczeństwo, oczekując, aż powierzy się ją dziecku, które ma się dopiero narodzić i nie będzie w stanie rządzić królestwem.

Zdanie było dwuznaczne, w nadętym stylu, nie mógł go ułożyć Karol de la Marche. Jasne, że powtórzył je jak pozytywka. Słuchając końca przemówienia, Filip ściągnął brwi. Nie padło słowo: regent. Czy Valois omijając regencję nie zdążył do tronu?

- Kuzyn nasz Saint-Pol - podjął Karol de la Marche - przybył z nami, by wam oświadczyć, że takie jest również zdanie baronów.

Filip powoli przesunął ręką po policzku.

- Wdzięczny wam jestem, bracie, za waszą radę i za długą jazdę, jakąście odbyli, by mi ją przywieźć - odparł chłodno. - Myślę przeto, że jesteście równie jak i ja znużeni, a w stanie zmęczenia nie podejmuje się trafnych postanowień. Proponuję więc, byśmy poszli spać, a jutro ze świeżym umysłem decydowali na ścisłej Radzie. Dobranoc, Dostojni Panowie...

Raulu, Anzelmie, Adamie, proszę was, chodźcie ze mną.

Opuścił salę nie poczęstowawszy gości wieczerzą i nawet nie troszcząc się, gdzie i jak ułożą się oni do snu.

Wyprzedzając Adama Heron, Raula de Presles i Anzelma de Joinville skierował się do sypialni królewskiej. Łoże, nie używane odkąd skonał na nim Król z Żelaza, było przygotowane, prześcieradła zaścielone. Bardzo zależało Filipowi, by zająć tę komnatę, a zwłaszcza by nikt inny jej nie zajął.

Adam Heron gotował się do zdjęcia zeń szat.

- Chyba nie warto się rozbierać - rzekł Filip de Poitiers. - Adamie, szybko wyślijcie giermka do Pana Gauchera de Chatillon, by od wczesnego ranka oczekiwał mnie przy Bramie Piekielnej. A teraz przyślijcie mi zaraz balwierza, bo chcę tam przybyć ogolony... Każcie także, niech dwadzieścia koni stoi gotowych do drogi już koło północy. Siodłać cichcem, kiedy stryj będzie leżał... Wam zaś, Anzelmie - dorzucił zwracając się do syna seneszala de Joinville - wam polecam uprzedzić o mym wyjeździe hrabiego Sabaudii oraz delfina, aby nie byli zaskoczeni i nie myśleli, że im nie dowierzam. Pozostańcie wraz z nimi aż do ranka, i kiedy stryj obudzi się, zagadujcie go, ile wlezie, i opóźniajcie mu wyjazd. Starajcie się, by jak najbardziej marudził w drodze.

Pozostawszy sam na sam z Raulem de Presles, hrabia de Poitiers jakby zatonął w milczącej medytacji, a legista baczył, by jej nie zamącić.

- Raulu - rzekł wreszcie - wyście dzień po dniu działali w służbie mego ojca i znaliście go na wylot. W takiej sytuacji jak by on postąpił?

- Uczyniłby tak jak wy, Dostojny Panie, rękę za to i wcale wam nie schlebiam, ale powiadam, co szczerze myślę. Nazbyt kochałem naszego Miłościwego Pana Filipa i nazbyt wiele przecierpiałem, odkąd go zabrakło, abym dziś miał służyć księciu, który nie przypominałby go w każdym calu.

- Niestety, Niestety, Raulu, jakże mało go przypominam. Mógł on śledzić w powietrzu sokoła, nigdy nie tracąc go z oczu, a ja mam wzrok krótki. Bez trudu skręcał w palcach podkowę. Nie przekazał mi ani swej siły we władaniu bronią, ani owego majestatu oblicza, który każdemu objawiał, że jest on królem.

Mówiąc te słowa uparcie wpatrywał się w łoże.

W Lyonie czuł się w pełni regentem, lecz w miarę zbliżania się do stolicy ta pewność stopniowo go opuszczała, acz tego po sobie nie okazywał. Jakby odpowiadając na pytania jeszcze nie skonkretyzowane Raul de Presles rzekł:

- Brak precedensu do sytuacji, w jakiej się znajdujemy, Dostojny Panie. W ciągu wielu dni już dosyć o tym debatowaliśmy. Przy obecnej słabości królestwa władza przypadnie temu, kto będzie miał moc ją pochwycić. Jeśli to wam się uda, Francja nie będzie cierpiała.

Wkrótce potem odszedł i Filip wyciągnął się na łożu z wzrokiem utkwionym w małą lampkę zawieszoną między zasłonami. Hrabia de Poitiers nie odczuwał żadnej obawy ani przykrości spoczywając na tym posłaniu, które ostatnio gościło trupa. Przeciwnie, czerpał zeń siły; miał wrażenie, że wtapia się w kształt ojcowski, wypełnia i zajmuje jego miejsce na ziemi. „Ojcze, powróćcie we mnie” - modlił się, leżąc nieruchomo ze

skrzyżowanymi na piersiach rękoma i ofiarowując swe ciało, aby wcieliła się weń dusza, która uleciała przed dwudziestu miesiącami.

Usłyszał kroki na korytarzu, głosy i odpowiedź swego szambelana - że hrabia de Poitiers odpoczywa - daną niewątpliwie komuś ze świty Karola de Valois. W zamku zapadła cisza. Niebawem przyszedł balwierz z przyborami. Podczas golenia Filip de Poitiers przypomniał sobie wypowiedziane w tejże komnacie - wobec rodziny i dworu - ostatnie zalecenie ojca, dane Ludwikowi, który się tak mało z nimi liczył: „Zważcie, Ludwiku, co znaczy być królem Francji. Zapoznajcie się jak najszybciej ze stanem waszego królestwa”.

Około północy zawiadomił go Adam Heron, że konie stoją w pogotowiu. Kiedy hrabia de Poitiers wyszedł z komnaty, miał wrażenie, że przepadło bez śladu owe dwadzieścia miesięcy, a on podejmuje sprawy w takim stanie, w jakim znajdowały się po śmierci ojca, jakby bezpośrednio po nim przejmował dziedzictwo.

Księżyc łaskawie oświetlał drogę. Rozgwieżdżona lipcowa noc przypominała płaszcz Świętej Dziewicy. Bór pachniał mchem, leśnym poszyciem i paprocią, wibrował utajonym życiem zwierząt. Filip de Poitiers jechał na świetnym rumaku i rozkoszował się jego wspaniałym chodem. Świeże powietrze smagało mu policzki wrażliwe po ogoleniu.

„Byłaby wielka szkoda - rozważał - oddać tak piękny kraj w niegodne ręce”.

Oddziałek wypadł z lasu, minął cwałem Ponthierry i o brzasku stanął w kotlinie Essonnes, by coś przekąsić i dać koniom wytchnąć. Filip zajadał, przysiadłszy na kamieniu granicznym. Zdawał się szczęśliwy. Miał ledwie dwadzieścia pięć lat, jego wyprawa nabierała cech podboju i z życzliwą radością zwracał się do towarzyszy przygody. Ta wesołość tak rzadka u niego ostatecznie ich pokrzepiła.

Między prymą a tercją, gdy dzwoniły wątle sygnaturki pobliskich klasztorów, dotarł do bram Paryża. Spotkał tu oczekującego go Ludwika d'Evreux i Gauchera de Chatillon. Konetabl miał posępne oblicze. Od razu poprosił hrabiego de Poitiers, by się udał do Luwru.

- A dlaczego mam nie jechać wprost do Pałacu na Cité? - spytał Filip.

- Ponieważ nasi panowie de Valois i de la Marche obsadzili Pałac swymi zbrojnymi. W Luwrze znajdziecie wierne mnie, to znaczy wam, oddziały królewskie i kuszników pana de Galard. Lecz trzeba działać szybko i stanowczo - dorzucił konetabl - aby uprzędzić powrót obu naszych Karolów. Jeśli wydacie mi rozkaz, Dostojny Panie, zdobędę Pałac.

Filip wiedział, że czas jest cenny. Obliczył jednak, że ma sześć do siedmiu godzin przewagi nad Valois.

- Nie chcę nic przedsięwziąć, póki się wpiery nie dowiem, czy dobrze to przyjmą mieszczaństwo i ludność paryska - odpowiedział.

Zaledwie wkroczył do Luwru zaraz posłał do Ratusza po rajców Coquatrixa i Gentiena oraz jeszcze kilku notablów, a także po prewota Wilhelma de la Madeleine, który w marcu objął urząd po prewocie Ployebouche.

Filip w kilku zdaniach zaznaczył im, jaką przywiązuje wagę do paryskiego mieszczaństwa i ludzi kierujących rzemiosłem i handlem.

Mieszczanie poczuli się zaszczytzeni, a zwłaszcza pokrzepieni stylem przemówienia, jakiego nie słyszeli od śmierci Filipa Pięknego. Jakżeż teraz żalowali tego króla, którego lubili oczerniać wówczas, gdy panował!

Odpowiedział Galfryd Coquatrix, sprawujący kontrolę nad mennicami, bijącymi sfałszowaną monetę, poborca subsydiów i kontrybucji, skarbnik oraz intendent wojskowy, inspektor portów i dróg w całym królestwie, rajca w Izbie Obrachunkowej. Nadał mu te stanowiska Filip Piękny, który go nawet wyposażył w dziedziczną rentę, jaką obdarzano wielce zasłużonych wobec Korony. Coquatrix nigdy nie składał sprawozdań ze swych czynności. Obawiał się obecnie, aby Karol de Valois, zawsze wrogi wynoszeniu mieszczan na wielkie stanowiska, nie pozbawił go urzędów i nie zagrabił ogromnej fortuny, jaką sobie zdobył. Coquatrix dziesięciokrotnie tytułując hrabię de Poitiers „panem regentem” zapewnił go o przywiązaniu paryskiej ludności. Słowo jego miało wielką wagę, był on bowiem wszechwładny w Ratuszu i dość bogaty, by w razie potrzeby opłacić wszystkich miejskich opryszków, każąc im wywołać rozruchy.

Wiadomość o powrocie Filipa de Poitiers szybko się rozniosła. Przybiegli do Luwru przychylni hrabiemu baronowie i rycerze. Osobiście zawiadomiona Mahaut d'Artois stawiała się jedna z pierwszych.

- Jak się czuje moja droga Joanna? - spytał teściową Filip, otwierając przed nią ramiona.

- Oczekujemy rozwiązania z dnia na dzień.

- Zaraz pójdę do niej, gdy tylko uporam się z robotą.

Po czym naradził się ze stryjem Ludwikiem d'Evreux i z konetabłem.

- A teraz, Gaucher, możecie ruszyć na Pałac. Usiłujcie, jeśli się da, przed południem. Ale starajcie się, jeśli można, unikać przelewu krwi. Ubolewałbym, gdyby mi przyszło wkroczyć do Pałacu po trupach.

Gaucher objął dowództwo nad zbrojnymi oddziałami, które zebrał w Luwrze, i udał się na wyspę Cité. Jednocześnie posłał przewota do dzielnicy Temple po najlepszych cieśli i ślusarzy.

Pałacowe bramy były zamknięte. Gaucher, mając u boku naczelnego dowódcę kuszników, zażądał otwarcia wrót. W górnym okienku głównej bramy ukazał się starszy wartownik i odparł, że nie wolno mu jej otworzyć bez zezwolenia hrabię de Valois albo hrabię de la Marche.

- Macie jednak otworzyć - odpowiedział konetabl - bo chcę wejść i przygotować Pałac na przyjęcie regenta, który za mną podąża.

- Nie możemy.

Gaucher de Chatillon poprawił się na siodle.

- Więc sami otworzymy - rzekł.

Dał znak, by zbliżył się cieśla królewski, mistrz Piotr z Temple, oraz towarzyszący mu robotnicy, którzy nieśli piły, obcęgi i wielkie żelazne lewary. Jednocześnie kusznicy otrzymali rozkaz stanąć w pogotowiu. Obrócili kusze i włożyli stopy w rodzaj żelaznego strzemia, które ułatwiało im oparcie łuku na ziemi, podczas gdy napinali cięciwę. Następnie umieścili bełty na karbach i stanęli celując w blanki strzelnicy. Łucznicy i włócznicy łącząc tarcze utworzyli ochronny pancerz wokół cieśli i nad ich głowami. W przyległych ulicach, w należytej odległości



zebrali się gapie i chłopacy, by oglądać obłęzenie. Wydawano im piękne widowisko, o którym całymi dniami będą opowiadać. „Naprawdę tam byłem, jak tu stoję... Widziałem, jak konetabl wyciąga swój potężny miecz... Przeszło dwa tysiące, zaklinam się, było ich przeszło dwa tysiące”.

Wreszcie Gaucher, uniósłszy przyłbicę, zawołał jak na polu bitwy.

- Panowie, co tam przebywacie, oto mistrzowie cieśle i ślusarze, co zaraz wysadzą wam bramy. Patrzcie też na kuszników pana de Galard, otaczających Pałac ze wszech stron. Nikt się nie wymknie. Wzywam was po raz ostatni do otwarcia wrót, bo jak nie zdacie się po dobrej woli, utnie się wam wszystkim głowy nie zważając na najszlachetniejszy ród. Regent nie pobłąży nikomu.

Po czym opuścił przyłbicę na znak, że już nie będzie parlamentował.

Za murami chyba zapanowała wielka panika, bo ledwie robotnicy podłożyli lewary, wrota same się uchyliły. Podała się załoga hrabiego de Valois.

- Wielki był czas rozsądnie się poddać - powiedział konetabl, wjeżdżając na dziedziniec Pałacu. - Wracajcie do waszych domów czy siedzib waszych panów, nie gromadźcie się, a nie stanie się wam żadna krzywda.

W godzinę później Filip de Poitiers obejmował w posiadanie apartamenty królewskie. Od razu powziął wszelkie środki ostrożności. Zamknięto zwykle dostępny dla wszystkich dziedziniec pałacowy i obstawiono go wojskiem, gości zaś przesiewano. Kramarzom, którzy mieli przywilej handlowania w wielkiej galerii, polecono zamknąć stoiska na cały dzień.

Gdy hrabiowie de Valois i de la Marche przybyli do Paryża, pojęli, że ponieśli klęskę.

- Filip nas złośliwie wykiwał - rzekli.

Nie mając innego wyjścia pospieszyli do Pałacu, aby pertraktować o swym podporządkowaniu się. Wokół hrabiego de Poitiers zastali licznie zebranych panów, notablów i duchownych, a wśród nich biskupa Marigny, zawsze skorego stanąć po stronie silniejszego.

Stwierdzając z goryczą obecność Coquatrixa, Gentiena i kilkunastu mieszczan, Valois rzekł półgłosem do Karola de la Marche:

- Brat wasz długo nie pociągnie. Niezbyt jest pewny swego, skoro musi opierać się na pospólstwie.

Przybrał jednak bardzo pogodną minę, zbliżając się do Poitiers, i poprosił o wybaczenie za incydent przy bramie.

- Moi giermkowie ze straży nie wiedzieli o niczym. Otrzymali surowe zalecenia... z powodu królowej Klemencji.

Spodziewał się ostrej odprawy i niemal jej pragnął, aby sprowokować otwarty konflikt z Filipem. Ów jednak nie dał mu sposobności do skorzystania z kłótni i odpowiedział tym samym tonem:

- Z zalem musiałem tak postąpić, stryju, aby uprzedzić zakusy naszego kuzyna z Burgundii, przed którym wasz wyjazd otworzył wolne pole. Nocą w Fontainebleau otrzymałem wiadomość, a nie chciałem was budzić.

Usiłując złagodzić swą klęskę, Valois udał, iż wierzy w wyjaśnienie; starał się nawet uśmiechnąć do konetabla, którego uważał za sprawcę podstępu.

Karol de la Marche, gorszy aktor, zaciskał usta.

Hrabia d'Evreux wysunął tedy propozycję, którą uprzednio uzgodnił z Filipem. Podczas gdy ów w kącie sali udawał, że omawia sprawy służbowe z konetabłem i Milesem de Noyers, Ludwik d'Evreux wygłosił przemówienie:

- Szlachetni Panowie i wy, zebrani tu panowie, doradzam wam dla dobra królestwa, a także by uniknąć zgubnych zamieszek, żeby za zgodą wszystkich umiłowany nasz bratanek Filip objął rządy i pełnił obowiązki króla w imieniu mającego się narodzić bratanka, jeśli za wolą Boga królowa Klemencja wyda na świat syna; radzę również, aby zwołać - jak się da najrychlej - zgromadzenie wszystkich dostojnych mężów z całego królestwa oraz parów i baronów, a to celem aprobaty naszego postanowienia i złożenia przysięgi na wierność regentowi.

Była to wyraźna riposta na wczorajsze oświadczenie Karola de la Marche na rzecz Valois. Lecz tym razem lepsi aktorzy wyreżyserowali scenę. Zebranie naszpikowane zwolennikami hrabiego de Poitiers przytwierdziło jednogłośnie. Ludwik d'Evreux natychmiast włożył ręce w dłonie Filipa.

- Przysięgam wam wierność, mój bratanku - rzekł przyklękając.

Filip go podniósł i ściskając szepnął do ucha.

- Wszystko idzie cudownie, wielkie dzięki mój stryju.

Karol de Valois wściekły burczał:

- Król... już się uważa za króla.

Lecz Ludwik d'Evreux właśnie zwrócił się ku niemu mówiąc:

- Wybaczcie, bracie, że uchybiłem prawu starszeństwa.

Valois mógł tylko usłuchać. Podszedł z wyciągniętymi rękoma, lecz hrabia de Poitiers pozwolił, by zawisły w powietrzu.

- Wyświadczyście mi łaskę, stryju - rzekł - zasiadając w mojej Radzie.

Valois zbladł. Wczoraj podpisywał rozporządzenia i kazał przykładać na nich własną pieczęć. Dziś jako wielki zaszczyt ofiarowywano mu miejsce w Radzie, do której należał z tytułu prawa.

- Przekażcie mi także klucze od skarbcza - zniżając głos dorzucił Filip. - Dobrze wiem, że pozostał tam tylko kurz; lecz odtąd jestem gwarantem tej resztki.

Valois cofnął się; wymagano od niego całkowitego wyrzeczenia się władzy.

- Bratanku, nie mogę - odparł. - Muszę na czysto wyprowadzić rachunki.

- Wzbraniam się, stryju, powątpiewać w ich rzetelność! - z ledwie dostrzegalną ironią powiedział Filip. - Oszczędźcie mi zadania wam obelgi żądaniem kontroli. Przekażcie więc klucze, a zwolnimy was od rozrachunku.

Valois zrozumiał pogrózkę.

- Niechaj tak będzie, bratanku, zaraz wam odniosę klucze.

Wówczas Filip wyciągnął ręce, by przyjąć hołd swego najpotężniejszego rywala.

Z kolei zbliżył się konetabl Francji.

- Teraz, Gaucher - szepnął mu Filip - trzeba nam zająć się Burgundczykiem.





## VIII

### Wizyty hrabiego de Poitiers

Hrabia de Poitiers nie żywił złudzeń. Odniósł pierwsze zwycięstwo, efektowne i szybkie, ale wiedział, że przeciwnicy tak łatwo nie złożą broni.

Zaledwie przyjął od Dostojnego Pana de Valois przysięgę wierności, zresztą złożoną tylko słownie, Filip natychmiast pospieszył przez Pałac, aby powitać swoją bratową Klemencję; towarzyszyli mu Anzelm de Joinville i hrabina Mahaut. Zobaczywszy Filipa, Hugo de Bouville rozpląnął się we łzach i całując mu ręce padł na kolana. Były szambelan nie pojawił się na południowym zebraniu, nie zszedł z posterunku, nie wypuścił miecza przez ostatnie godziny i czuł wielką trwogę, kiedy konetabl oblegał Pałac.

- Wybaczcie mi, Dostojny Panie, wybaczcie, to z radości, że was widzę z powrotem - mówił, zraszając łzami palce regenta.

- Ulżyjcie sobie, mój drogi, ulżyjcie - odparł Filip.

Stary pan de Joinville nie poznał hrabiego de Poitiers. Nie poznał zresztą rodzzonego syna, a gdy mu trzykrotnie powtórzono, kim są, splątał ich i uroczyście pokłonił się przed dziedzicem własnego nazwiska.

Bouville otworzył drzwi od komnaty królowej. Ale gdy Mahaut zamierzała wejść za Filipem, opiekun odzyskując energię, rzekł władczo:

- Jedynie wy, Dostojny Panie, jedynie wy!

I zamknął drzwi przed nosem hrabiny.

Królowa Klemencja była blada, znużona, wyraźnie obojętna wobec wypadków, które wstrząsały dworem i mieszkańcami Paryża. Zobaczywszy hrabiego de Poitiers, idącego ku niej z wyciągniętymi rękoma, nie mogła powstrzymać się od myśli: „Gdyby to za niego mnie wydano za męża, nie byłabym dziś wdową. Dlaczego za Ludwika, a nie za Filipa?”. Wzbraniała się przed podobnymi pytaniami, które wydawały się jej wyrzutem wobec Wszechmogącego Stwórcy. Ale nic, nawet pobożność, nie może zabronić dwudziestotrzyletniej wdowie rozważania, dlaczego żyją inni młodzi ludzie, inni mężowie!

Filip zawiadomił ją o objęciu regencji i zapewnił o swym pełnym oddaniu.

- Och! tak, mój bracie, och tak! - szepnęła - pomóżcie mi.

Chciała powiedzieć, nie umiając tego wyrazić: „Pomóżcie mi żyć. Uratujcie od rozpacz, pomóżcie mi wydać na świat dziecko, które noszę, a które jest wszystkim, co mnie jeszcze wiąże z tym światem”.

- Dlaczego stryj Valois - podjęła - prawie siłą kazał mi opuścić mój dom w Vincennes? Ludwik mi go podarował w ostatnim tchnieniu.

- Chcecie więc tam powrócić? - spytał Poitiers.

- To moje jedyne pragnienie, bracie! Czułabym się tam silniejsza. I moje dziecko urodziłoby się bliżej duszy ojca - w tym miejscu, gdzie odeszła ona ze świata.

Filip żadnej decyzji, nawet drugorzędnej, nie podejmował pochopnie. Spojrzał przez okno na strzałę nad Sainte-Chapelle, której kontur trochę niewyraźny rozplątywał się w jego krótkowzrocznych oczach.

„Jeśli udzielię jej tej satysfakcji - myślał - będzie mi wdzięczna, uzna mnie za swego obrońcę i pozwoli decydować o wszystkim w swoim imieniu. Poza tym moi przeciwnicy trudniej osiągną jej w Vincennes niż tutaj i trudniej im będzie wykorzystać ją przeciw mnie. Zresztą w bólu, w jakim jest pogrążona, nie przyda się nikomu”.

- Chciałbym, moja siostrze, zadowolić wszystkie wasze życzenia - odpowiedział. - Skoro tylko zgromadzenie dostojnych mężów zatwierdzi mnie na moim stanowisku, pierwszą moją troską będzie zawieźć was do Vincennes. Dziś mamy poniedziałek, każę przyspieszyć naradę i bez wątpienia odbędzie się ona w piątek. Myślę, że w przyszłą niedzielę wysłuchacie mszy w waszym domu.

- Wiedziałam, Filipie, że jesteście dobrym bratem. Wasz powrót to pierwszy promień łaski, jaki Bóg mi zsyła.

Gdy Filip wyszedł z apartamentu królowej, spotkał oczekującą go teściową oraz Anzelma de Joinville. Mahaut posprzeczała się z Bouville'em i wielkim męskim krokiem stąpała po galerii przed rzędem wartujących giermków.

- Więc jak się czuje? - spytała Filipa.

- Pobożna i zrezygnowana i wielce godna obdarzyć Francję królem - odparł hrabia de Poitiers w taki sposób, aby jego odpowiedź dotarła do nastawionych wokół uszu.

Po czym dorzucił półgłosem:

- Nie sędzę, aby będąc tak słaba, jak wygląda, donosiła do końca dziecko.

- Byłby to najlepszy upominek, jakim by mogła nas obdarzyć, łatwiej dałoby się załatwić sprawy - przelotnie odparła Mahaut. - Skończyłaby się wreszcie ta nieufność i ten otaczający ją nastrój wojenny. Odkąd to parowie Królestwa nie mają dostępu do królowej? Do diabła, ja też byłam wdową i można było przyjść do mnie w sprawach dotyczących rządów!

Filip od swego powrotu jeszcze nie widział żony i towarzyszył Mahaut do pałacu Artois.

- Okres waszej nieobecności bardzo się dłużył mej córce - mówiła Mahaut. - Ale zobaczycie ją zachwycająco świeżą. Nie uwierzyłby nikt, że jest w przeddzień położu. Ja byłam taka sama podczas mych ciąży, zwawa aż do ostatniego dnia.

Spotkanie hrabiego de Poitiers z żoną było wzruszające, chociaż bez łez. Joanna bardzo ociężała z trudem się poruszała, ale wyglądała jak okaz zdrowia i obraz szczęścia. Noc zapadła i światło świec sprzyjało urodzie, zacierając na twarzy młodej kobiety oznaki jej stanu. Miała na sobie naszyjnik z czerwonych koralu, koral bowiem sływał z dobroczynnego wpływu na połóg.

Dopiero przy Joannie Filip naprawdę uświadomił sobie, jakie odniósł zwycięstwo i odczuł zadowolenie z siebie. Obejmując ramieniem małżonkę powiedział:

- Mocno wierzę, moja słodka przyjaciółko, że mogę cię od dziś

tytułować dostojną panią regentową.

- Oby Bóg sprawił, mój Piękny Panie, żebym cię obdarzyła synem - odparła ślaniając się lekko w chudych i silnych ramionach męża.

- Bóg okazałby szczyt łaski - szepnął jej do ucha Filip - gdyby kazał mu się urodzić dopiero po piątku.

Wkrótce wybuchła kłótnia między Mahaut a Filipem. Hrabina d'Artois uważała, że córka winna zaraz przenieść się do Pałacu, aby tam zamieszkać z małżonkiem. Ów zaś był innego zdania i pragnął, by Joanna pozostała w siedzibie Artois. Wysunął kilka argumentów bardzo rozsądnych, lecz nie ujawniających tego, co naprawdę myślał; nie przekonały one zresztą Mahaut. W najbliższych dniach Pałac mógł stać się areną burzliwych zebrań i rozruchów szkodliwych dla położnicy, następnie Filip uważał, że przystoi zaczekać z przeprowadzką Joanny do pałacu królewskiego, aż Klemencja powróci do Vincennes.

- Ależ może się zdarzyć, że Joanna całkiem nie będzie mogła się ruszyć - zauważyła Mahaut. - Czy nie pragniecie więc, aby wasze dziecko ujrzało światło dzienne w Pałacu?

- Właśnie tego chciałbym uniknąć.

- Zaprawdę, wcale was nie rozumiem, synu - rzekła Mahaut, wzruszając potężnymi ramionami.

Sprzeczką ta zmęczyła Filipa. Od trzydziestu sześciu godzin nie spał, poprzedniej nocy przejechał konno piętnaście mil i przeżył najtrudniejszy, najburzliwszy dzień w życiu. Czuł niemiły zarost na brodzie, a powieki chwilami same się zamykały. Ale postanowił nie ustąpić. „Moje łóżko - myślał. - Niech mnie usłucha, a kładę się do łóżka!”

- Zasięgnijmy więc zdania Joanny. A czego ty pragniesz, najmilsza? - spytał.

Mahaut miała rozum męski, wolę męską i nieustannie troszczyła się, by podnieść godność swego rodu. Joanna miała zupełnie inny charakter, była nieporównanie bardziej powściągliwa, los aż dotąd jakby jej wyznaczył drugorzędne miejsce i to zarówno w zaszczytach, jak i dramatach. Zaręczono ją najpierw z Ludwikiem Kłótliwym, aby potem dokonać zamiany i wydać za drugiego syna Filipa Pięknego; przeto przez chwilę - zanim ją zastąpiła kuzynka Małgorzata - mogła sądzić, że dane jej będzie zostać królową i Nawarry, i Francji. Bezpośrednio zamieszana w skandaliczną aferę wieży Nesle otarła się o wiarołomstwo, lecz go nie popełniła, wyrok zaś oszczędził jej dożywotniego odosobnienia. Teraz zaś, gdy Małgorzata zamordowana w więzieniu obróciła się w proch, gdy Blanka wciąż uwięziona próżno czekała, ona odzyskała małżonka, rodzinę i pozycję na dworze. Roczny pobyt w Dourdan nauczył ją ostrożności, usiłowała więc nic nie zepsuć. Nie zależało jej szczególnie, by dziecko przyszło na świat w Pałacu, przede wszystkim pragnęła spodobać się mężowi; sądząc, że jego opór opiera się na ważkich powodach, odpowiedziała:

- Pragnę tu, mamó, odbyć połóg. Będę się lepiej tutaj czuła.

Filip podziękował jej uśmiechem. Siedząc w wielkim krześle o prostym oparciu, wyciągnawszy i skrzyżowawszy nogi, pytał o imiona położnych i peporczyk, które miały pomagać Joannie; chciał się dowiedzieć, skąd

każda pochodzi i czy można im w pełni zaufać. Poleciał, by je zaprzysiężono, co czyniono jedynie przy porodach królewskich.

„Oto dobry małżonek, jak się o mnie troszczy!” - myślała, słuchając go Joanna.

Filip również zażądał, aby zaraz zamknąć drzwi pałacu Artois, gdy bóle schwytają Joannę. Nikt nie będzie miał prawa wyjść z wyjątkiem jednej osoby, tej, której zlecił zawiadomić go o urodzeniu się...

- ...wy - rzekł, wskazując na Beatrycze d'Hirson, która była obecna przy rozmowie. - Mój szambelan otrzyma rozkaz, abyście mogły do mnie dotrzeć o każdej porze, nawet gdybym był na Radzie. Jeśli zaś wokół będą ludzie, zawiadomcie mnie szeptem, nie pisnąwszy słowa nikomu... jeśli to będzie syn. Polegam na was, bo pamiętam, żeście się mnie już dobrze przysłużyła.

- I jeszcze bardziej niż myślicie... Dostojny Panie... - pochylając lekko głowę odparła Beatrycze.

Mahaut spojrzała ze wściekłością na Beatrycze, jakby ją chciała przywołać do porządku. Ta dziewczyna ze swą omdlewającą miną, fałszywą naiwnością, podstępą odwagą, wprawiała ją w drżenie. Ale Beatrycze uśmiechała się nadal. Gra obu twarzy nie umknęła uwagi Joanny. Odczuwała między matką a panną dworu głębię tajemnic, której wolała nie przenikać.

Zwróciła wzrok na męża. On nic nie dostrzegł. Oparłszy kark o wysokie krzesło, zasnął rażony snem zwycięzców. Na jego podłużnej, zazwyczaj surowej twarzy zarysował się uśmiech, pozwalając domyślić się, jak wyglądał jako dziecko. Joanna, wzruszona, podeszła ostrożnym krokiem i złożyła mu na czole leciutki pocałunek.





## IX

### Dziecko w piątek urodzone

Już nazajutrz hrabia de Poitiers jął się szykować do piątkowego zebrania. Jeśli zwycięży, nikt nie zdoła zaprzeczyć mu władzy w ciągu długich lat.

Wysłał gońców i jeźdźców, by zwołać - jak ustalono - wszystkich dostojnych mężów królestwa - w istocie tych wszystkich, którzy przebywali nie dalej jak o dwa dni konnej jazdy; takie załatwienie sprawy dawało podwójną korzyść: po pierwsze nie dopuszczało do pogorszenia się sytuacji, po wtóre eliminowało część wielkich wasali, których wrogiej postawy Filip mógł się obawiać, jak hrabia Flandrii i król Anglii.

Jednocześnie powierzył Gaucherowi de Chatillon, Milesowi de Noyers i Raulowi de Presles opracowanie ustawy regencyjnej, którą zamierzał przedłożyć zgromadzeniu. W oparciu o już powzięte decyzje zostały ustalone następujące zasady: hrabia de Poitiers, z przyznanym mu tymczasem tytułem regenta, rządcy i opiekuna, będzie rządził Francją i Nawarrą oraz będzie pobierał wszystkie dochody z królestwa. Jeśli królowa Klemencja wyda na świat syna, ów oczywiście zostanie królem, a Filip zachowa regencję do czasu pełnoletności bratanka. Ale jeśli Klemencja urodzi córkę... Wszystkie kłopoty rodziły się z tej hipotezy.

W tym bowiem wypadku korona zwykłym trybem winna była powrócić do małej Joanny Nawarry, córki Małgorzaty i Ludwika X. Ale czy była ona rzeczywiście córką Ludwika? W tych dniach cały dwór zadawał sobie to pytanie.

Gdyby Izabela Angielska i Robert d'Artois nie doprowadzili do ujawnienia grzesznych miłostek Małgorzaty, gdyby nie rozgłoszono skandalu, gdyby nie było procesu i wyroków skazujących, to prawa Joanny Nawarry nie podlegałyby dyskusji. W braku męskiego dziedzica zostałaby królową Francji. Ale ciążyły na niej poważne podejrzenia o nieprawie pochodzenie; Karol de Valois i sam Ludwik X - z okazji powtórnego małżeństwa króla - chętnie o tym rozpowiadali, a zwolennicy Filipa nie omieszkali tych plotek wykorzystywać.

- Jest córką Filipa d'Aunay - otwarcie mówiono.

Sprawa wieży Nesle przeto, po dwóch latach - nie mając nigdy cech ohydnej orgii i zbrodni, w jakie ją stroiła ludowa wyobraźnia i będąc zwykłym, banalnym wiarołomstwem - postawiła przed dynastią francuską problem wyjątkowej wagi.

Ktoś wysunął propozycję, aby w każdym wypadku przyznać koronę dziecku Klemencji; czy to dziewczynce czy chłopcu.

Filip de Poitiers skrzywił się na tę sugestię. Oczywiście podejrzenia obciążające Joannę Nawarry były poważnie uzasadnione, lecz brakło przekonującego dowodu. Małgorzata nigdy nie podpisała żadnego oświadczenia, z którego wynikałoby nieprawie pochodzenie Joanny i to

mimo wywieranego na nią nacisku i mimo proponowanych targów. List datowany w przeddzień jej śmierci i wykorzystany w procesie przeciw Marigny'emu twierdził coś wręcz przeciwnego. Jasne, że ani stara Agnieszka Burgundzka, ani jej syn Eudoksusz IV, obecny diuk Burgundii, nigdy nie zgodziliby się podpisać pod wyzuciem z praw wnuczki i siostrzenicy. Hrabia Flandrii nie omieszkałby stanąć po ich stronie, a niewątpliwie wraz z nim hrabia Szampanii. Francja byłaby narażona na niebezpieczeństwo wojny domowej.

- Postanówmy tedy - rzekł Gaucher de Chatillon - po prostu usunąć córki od tronu. Na pewno istnieje jakiś zwyczaj, na którym można by się oprzeć.

- Niestety - odparł Miles de Noyers - już kazałem szukać, bo wasza myśl i mnie przysłała do głowy, lecz nic nie znaleziono.

- Dalej niech szukają. Zaprzęgnijcie do roboty waszych przyjaciół, mistrzów z uniwersytetu i Parlamentu. Ci ludzie, jeśli zadadzą sobie trud, wynajdą prawo zwyczajowe na każdą okoliczność i dla każdej strony. Sięgną aż do Klodwiga, by dowieść, że trzeba wam rozłupać głowę, przypiec stopy lub uciąć ogonek.

- To prawda - rzekł Miles - nie kazałem szukać aż tak daleko. Myślałem tylko o zwyczajach obowiązujących za Hugona. Należałoby sięgnąć do starszych dziejów. Ale nie zdążymy od dziś do piątku.

Uparty konetabl kręcił kwadratowym podbródkiem i mrużąc żółwie powieki ciągnął dalej:

- Zaprawdę byłoby szaleństwem dopuścić, by dziewczyna wstąpiła na tron! Czy wyobrażacie sobie damę czy pannicę na czele armii, nieczystą co miesiąc, w ciąży co rok? I jak będą trzymać za łeb wasali, skoro nie są nawet zdolne poskramiać własnych namiętności? Nie, ja tego sobie nie wyobrażam i zaraz bym oddał miecz. Mówię wam, Dostojni Panowie, Francja jest zbyt szlachetnym królestwem, by przemienić się w kądział i popaść w babskie ręce. Lilie nie przędą!

Ostatnia sentencja sprawiła wielkie wrażenie.

Filip de Poitiers wyraził zgodę na dość zawile opracowaną ustawę, która odkładała na dalekie terminy ostateczną decyzję.

- Uczyńmy tak, by zagadnienie zostało wysunięte, lecz nie przesądzajmy rozstrzygnięcia. Pozostawmy otwartą furkę, żeby nikt nie tracił nadziei, ponieważ wszystko zależy od przyszłości, jeszcze nam nie znanej.

Gdyby więc królowa Klemencja urodziła córkę, Filip miał sprawować regencję aż do pełnoletności Joanny, starszej bratanicy. Dopiero wówczas zostałaby załatwiona sprawa sukcesji albo na rzecz obu księżniczek, które podzieliłyby się wtedy Francją i Nawarrą, albo na rzecz jednej z nich, której przyznano by obie połączone korony, albo obie zostałyby pozbawione tronu, gdyby się zrzekły swych praw lub gdyby zwołana Rada Parów uznała, że kobieta nie może rządzić królestwem Francji. W tym wypadku korona przypadłaby najbliższemu w linii męskiej krewniakowi ostatniego króla... to znaczy Filipowi. Tak więc jego kandydatura została po raz pierwszy wysunięta, lecz obwarowana wstępnymi zastrzeżeniami, iż jawiła się jako ewentualne, kompromisowe wyjście zależne od arbitrażu.

Ustawa przedłożona z osobna najznamienitszym baronom, przychylnym Filipowi, uzyskała aprobatę.



Powściągliwość okazała jedynie Mahaut, co było tym dziwniejsze iż ustawa dopuszczała nadzieję wstąpienia na tron zięcia i córki. Jakieś tam sformułowanie martwiło hrabinę.

- Czy nie można by - rzekła - po prostu oświadczyć: „Jeśli córki zrzekną się...”, nie żądając od parów, aby rozstrzygali, czy kobieta może rządzić?

- O, matko - odpowiedział Filip - nie zrzekłyby się inaczej. Parowie, do których i wy należycie, są jedynym zgromadzeniem odwoławczym. Pierwotnie wybierali oni króla, jak kardynałowie papieża czy palatyni cesarza. Takim sposobem upatrzili sobie naszego przodka Hugona, diuka Francji. Teraz dlatego nie wybierają, że w ciągu trzystu lat nasi królowie zawsze mieli syna następcę tronu<sup>13</sup>.

- To obyczaj przypadkowy - odparła Mahaut. - Wasza ustawa, przewidując odtrącenie od tronu kobiet, w sam raz przysłuży się zakusom mego bratanka Roberta. Zobaczycie, że nie omieszka jej wykorzystać, aby próbować wyzuć mnie z hrabstwa.

Nic jej nie obchodziła Francja, a wyłącznie spór sukcesyjny o Artois.

- Obyczaj związany z koroną nie tyczy lenna, moja matko. Łatwiej zachowacie swoje hrabstwo przy pomocy zięcia regenta, czy może króla niż argumentów jurystów.

Mahaut ustąpiła, lecz bez przekonania.

- Oto piękna wdzięczność zięciów - powiedziała nieco później do Beatrycze d’Hirson. - Truje się króla, by oczyścić im tron, a oni zaraz poczynają wedle swej woli, z niczym się nie licząc.

- Dlatego, Dostojna Pani, że nie wie wcale, co wam zawdzięcza, ani w jaki sposób odszedł nasz miłościwy Pan, Ludwik.

- Na Boga, nie wolno, by się dowiedział - zawołała Mahaut - mimo wszystko to jego brat, a mój Filip miewa nieobliczalne odruchy sumienia. Ty zaś trzymaj język za zębami, proszę cię, powściągnij język.

W tychże dniach Karol de Valois, wspomagany przez Karola de la Marche i Roberta d’Artois, żywo się krzątał. Rozpowiadał wszędzie i kazał powtarzać, że to szaleństwo zatwierdzać regencję hrabiego de Poitiers, a jeszcze większe wyznaczać go na domniemanego następcę tronu. Filip i jego teściowa mają zbyt wielu wrogów, zgon Ludwika X zaś zbyt dobrze przysłużył się ich zamysłom, obecnie ujawnionym, aby ta podejrzana śmierć nie była ich dziełem. On, Valois, daje lepszą porękę. Jako z dawien dawna sojusznik króla Neapolu potrafi lepiej niż ktokolwiek załatwić kłopoty związane z królową Klemencją i dynastią Andegaweską. Służąc ongiś papieżowi rzymskiemu zdobył i zachował zaufanie włoskich kardynałów, a bez ich głosów - wyraźnie widać - nie wybierze się papieża i to mimo niegodnych manewrów, polegających na zamurowaniu całego konklawe. Byli templariusze pamiętają, że Valois nigdy nie pochwałał zniesienia Zakonu; Flamandowie nie kryją, że chcieliby z nim paktować.

Gdy Filip dowiedział się o tej kampanii, polecił swym poplecznikom, aby odpowiadali, że w istocie bardzo to dziwne, iż stryj króla, dążąc do władzy, opiera się na obcych dworach czy też wrogach królestwa; jeśli zaś pragnie się ujrzyć papieża w Rzymie, Francję w rękach Andegawenów, Zakon wskrzeszony, a Flamandów całkowicie uniezależnionych, to należy spieszenie powierzyć regencję hrabiemu de Valois.

Wreszcie nadszedł rozstrzygający piątek, wyznaczony na zebranie. O świcie Beatrycze stawiała się w Pałacu, gdzie nie zwlekając wprowadzono ją do komnaty hrabiego de Poitiers. Panna dworu była zdyszana, pędziła bowiem biegiem z ulicy Mauconseil. Filip podniósł się na łożu.

- Chłopak? - spytał.

- Chłopak, Dostojny Panie, i dobrze zbudowany - trzepocąc rzęsami, odpowiedziała Beatrycze.

Filip szybko się odział i pospieszył do pałacu Artois.

- Drzwi, drzwi! Pozamykać wszędzie drzwi! - powiedział wchodząc. - Czy bacznie przestrzegano moich rozkazów? Czy nikt prócz Beatrycze nie wyszedł? Niech tak będzie przez cały dzień.

Po czym wpadł na schody. Pozbył się sztywności i powagi, do jakich się zwykle trochę przymuszał.

„Komnata położnicy” zgodnie ze zwyczajem w rodzinach książęcych tonęła w przepychu. Cenne arrasy o jaskrawych barwach całkowicie okrywały ściany, podłoga była zasłana kwiatami... idąc po niej deptano irysy, róże i stokrotki. Położnica blada z błyszczącymi oczami i twarzą jeszcze wymizerowaną spoczywała na wielkim, otoczonym jedwabnymi draperiami łożu, pod prześcieradłem ciągnącym się po ziemi aż na łokieć. W kątach pokoju stały dwa posłania również z jedwabnymi zasłonami, jedno przeznaczone dla zaprzysiężonej położnej, drugie - dla dyżurnej piastunki.

Filip od razu podszedł do wspaniałej kołyski i pochylił się bardzo nisko, by się przyjrzeć synowi, który właśnie mu się narodził. Okropny, a jednak rozczulający, jak każde dziecko w pierwszych chwilach życia, czerwony, pomarszczony, ze sklejonymi oczami, zaślinioną wargą i malutkim pędzelkiem jasnych włosów, sterczących na tysej czaszce. Niemowlę spało spowite po ramiona w skrzyżowane i ciasno przylegające pasma płótna.

- Więc oto mój mały Ludwik Filip, tak go pragnąłem i tak w sam czas przyszedł<sup>14</sup>.

Dopiero wówczas hrabia de Poitiers zbliżył się do żony, ucałował ją w oba policzki i wyrzekł z głęboką wdzięcznością:

- Bardzo dziękuję, moja miła, bardzo dziękuję. Sprawiałaś mi wielką radość i to na zawsze wymazuje mi z pamięci nasze dawne nieporozumienia.

Joanna ujęła długą dłoń męża, zbliżyła do ust i przytuliła do twarzy.

- Bóg nas pobłogosławił, Filipie, Bóg pobłogosławił nasze jesienne spotkanie - wyszeptała.

Wciąż nosiła na sobie naszyjnik z koralami.

Hrabina Mahaut z rękawami zakasanyimi na przedramionach, pokrytych gęstym puchem, asystowała jak triumfatorka przy tej scenie. Energicznie uderzyła się po brzuchu.

- Ejże! synu - zawołała - czy wam nie mówiłam? Pyszne są te łona z Artois i Burgundii.

Filip znów podszedł do kołyski.

- Czy nie można go rozpowić, żebym go dokładnie obejrzał? - spytał.

- Dostojny Panie - odpowiedziała położna - nie radzę tego robić. Członeczki dziecka są wielce delikatne i jak najdłużej muszą być

skrępowane, żeby się wzmocniły i nie wykrzywiły. Ale bądźcie spokojni, Dostojny Panie, mocno go natarłyśmy solą i miodem; spowiliśmy w płatki róż, żeby zapobiec lepkiemu humorowi, usta wewnątrz dokładnie wysmarowałyśmy palcem umaczanym w miodzie, żeby mu dodać apetytu. Bądźcie pewni, jest najtroskliwiej pielęgnowany.

- A wasza Joanna także, mój synu - dodała Mahaut. - Kazałam ją namaścić balsamem zmieszonym z zajęczymi bobkami, żeby się jej brzuch skurczył, wedle recepty mistrza Arnolda<sup>15</sup>.

- Ależ matko - powiedziała położnica - myślałam, że to recepta na bezpłodność u kobiet.

- Ba! Zajęcze bobki skutkują na wszystko - odparła hrabina.

Filip nadal wpatrywał się w swego potomka.

- Czy nie uważacie, że bardzo jest podobny do mego ojca? - spytał. - Ma po nim wysokie czoło.

- Może i tak - odrzekła Mahaut. - Ale raczej widzę w nim rysy mego zmarłego dzielnego Ottona. Niech odziedziczy siłę ducha i ciała po obydwóch. Oto, czego mu życzę.

- Przede wszystkim niech przypomina cię, Filipie - tkliwie szepnęła Joanna.

Hrabia de Poitiers wyprostował się z pewną dumą.

- Myślę, że teraz zrozumieliście, moja matko - powiedział - dlaczego was prosiłem o pozamykanie drzwi. Wara, by ktokolwiek dowiedział się, że mam syna. Zaraz poszłaby gadka, że umyślnie przygotowałem ustawę regencyjną, aby mój syn odziedziczył tron po mnie, jeśli Klemencja nie urodzi chłopca. Znam takich - w pierwszym rządzie mego brata Karola - którzy stanęliby dęba widząc, że runęły ich nadzieje. Jeśli więc chcecie, aby to dziecko mogło zostać królem na razie ani słowa nikomu na zgromadzeniu.

- Ach! Prawda, że dziś zgromadzenie! Zapomniałam o tym przez tego gagatka! - wykrzyknęła Mahaut, wyciągając ręce w stronę kołyski. - Wielki mi czas wystroić się i przekąsić co nieco, żeby nabrać krzepy do boju. Czuję czczość, zbudziwszy się tak wcześnie. Czy nie mam racji Filipie? Beatrycze! Beatrycze!

Klasnęła w dłonie i zażądała pasztetu ze szczupaka, jaj na twardo, twarogu z korzeniami, orzechowych konfitur, brzoskwiń i białego wina Chateau-Chalon.

- Dziś piątek, trzeba pościć - powiedziała.

Słońce wyrzało znad dachów miasta i zalało światłem szczęśliwą rodzinę.

- Zjedz troszkę... Pasztet ze szczupaka nie może ci zaszkodzić - powiedziała Mahaut do córki.

Wkrótce Filip powstał, by pójść i dopatrzeć przygotowań do zebrania.

- Moja miła, nie złożą ci dzisiaj powinszowań - powiedział, wskazując na poduszki dla gości, rozłożone półkolem w pobliżu łoża. - Ale ręczę, że jutro przybędą tłumy.

Już przekraczał próg, gdy Mahaut schwyciła go za rękaw.

- Synu mój, pomyślcie o Blance, jeszcze wciąż przebywa w Zamku Gaillard. Przecież to siostra waszej małżonki.

- Pomyślę, pomyślę. Rozważę, jak polepszyć jej los.  
I odszedł unosząc na podeszwie zdeptany irys.  
Mahaut zamknęła drzwi.
- Jazda, piastunki - zawołała - pośpiewajcie trochę.





## X

### Zjazd trzech dynastii

**K**rólowa Klemencja w głębi swych apartamentów słyszała, jak „dostojni mężowie” idą na zebranie; gwar ich głosów odbijał się o sklepienia, docierał z podwórców.

Wczoraj zakończyło się czterdziestodniowe odosobnienie, wedle żałobnego rytuału obowiązujące królową. Klemencja naiwnie sądziła, że data zebrania została celowo wybrana, by mogła w nim uczestniczyć. Z zainteresowaniem przeto przygotowywała się na to uroczyste pojawienie się, zaciekawiona, a nawet niecierpliwa, jakby odzyskała chęć do życia. Ale w ostatniej chwili konsylium lekarskie z udziałem osobistych medyków hrabiego de Poitiers i hrabiny Mahaut zabroniło jej narażać się na zmęczenie niebezpieczne w jej obecnym stanie.

W istocie orzeczenie to zadowalało wszystkie dworskie stronnictwa, nikomu bowiem nie zależało, aby wysuwać jej prawa do regencji. Przeszukując jednak tak uporczywie obyczaje, aby znaleźć precedens do obecnej sytuacji, nie można było pominąć Anny z Kijowa, wdowy po Henryku I, która współrządziła ze swym szwagrem Baldwinem z Flandrii „dzięki niezmazywalnej godności, jakiej udzieliło jej święte pomazanie”; żywy był w pamięci przykład jeszcze bliższej królowej Blanki Kastylijskiej<sup>16</sup>.

Ale delfin z Vienne, szwagier Klemencji, najbardziej powołany do obrony jej praw, trzymał z Filipem de Poitiers.

Ale Karol de Valois, mimo że podawał się za troskliwego opiekuna Klemencji, myślał tylko o sobie.

Ale diuk Eudoksjusz Burgundzki, który tu przybył - jak sam oświadczał - jako reprezentant dziedzictwa po swej siostrze Małgorzacie, pragnął w pierwszym rzędzie odsunięcia Klemencji.

Piękna Andegawenka za krótko zasiadała na tronie, aby dać się poznać i uzyskać wpływ na baronów, a teraz już uważano ją za relikw panowania krótkiego, burzliwego i pod wielu względami pełnego klęsk.

- Nie przyniosła szczęścia królestwu - mówiono.

Choć jeszcze się z nią liczone jako z przyszłą matką, wyraźnie jej okazywano, iż jako królowa przestała istnieć.

Zamknięta w jednym ze skrzydeł pałacu usłyszała cichnące głosy; zebrani zasiedli w sali Wielkiej Rady, od której drzwi zamknięto.

„Mój Boże, mój Boże - rozmyślała - dlaczego nie zostałam w Neapolu!”

Rozszlochała się wspominając dzieciństwo, błękitne morze i rojący się lud, który umiał tak gorąco kochać.

W tym czasie Miles de Noyers czytał baronom ustawę sukcesyjną.

Hrabia de Poitiers zatroszczył się, by nie otaczały go żadne atrybuty majestatu królewskiego. Fotel jego stał pośrodku podium, ale zabronił wznoszenia nad nim baldachimu. Odział się w ciemne szaty bez żadnych

ozdób. Zdawał się mówić: „Panowie, zeszlśmy się na robocze obrady”. Jedyne trzech zbrojnych sierzantów stało za jego krzesłem. Rządził jak monarcha, lecz nie rościł sobie praw do majestatu. Mimo to starannie przygotował salę, każąc szambelanom wyznaczyć miejsca wedle sztywnego a zarazem dowolnego ceremoniału, czym przypominał zebraniem metody Filipa Pięknego.

Po prawej ręce Filipa siedział Karol de Valois, a tuż za nim konetabl Gaucher de Chatillon, aby nadzorować ekscesarza Konstantynopola i odosobnić go od jego klanu; Filipa de Valois odesłano na szóste miejsce za ojcem. Po lewej ręce usadowił Poitiers stryja, Ludwika d'Evreux, a następnie brata, Karola de la Marche, by mu w ten sposób uniemożliwić w czasie obrad kontakty z Valois i cofnięcie hołdu złożonego przed czterema dniami.

Ale uwaga hrabiego de Poitiers była skierowana przede wszystkim na jego kuzyna, diuka Burgundii, któremu wyznaczył miejsce na skrzydle podium i obstawił hrabiną Mahaut, delfinem z Vienne, hrabią Sabaudii oraz Anzelmem de Joinville.

Filip wiedział, że młody diuk będzie przemawiał w imieniu swej matki, diuszesy Agnieszki, a godność jej jako córki Ludwika Świętego, choćby sama była nieobecna, wywierała przemożny urok na panów. Wszystko, co się wiązało ze wspomnieniem Ludwika IX, było przedmiotem czci. Uświęceni poniekąd byli ci nieliczni, co mu służyli, słuchali jego słów lub cieszyli się jego życzliwością.

Wystarczyło, by Eudoksjusz Burgundzki powiedział: „Moja matka, córka naszego miłościwego króla Ludwika Świętego, który pobłogosławił jej czoło, zanim udał się na śmierć w kraju niewiernych”, a zebrani byliby wstrząśnięci.

Przeto, aby zapobiec podobnym fortelom, Filip de Poitiers wydobyl atut całkiem nieoczekiwany: Roberta de Clermont innego, jeszcze żyjącego potomka spośród jedenastu dzieci kanonizowanego króla, szóstego i najmłodszego syna. Żądacie poręki Ludwika Świętego? Proszę, Poitiers ją dostarcza!

Obecność Roberta de Clermont tym bardziej rzucała się w oczy i tym większe sprawiała wrażenie, że już od dawna nie bywał na dworze: ostatnio pojawił się tu prawie przed pięciu laty; niemal zapomniano o nim, a kiedy go wspomniano, nikt nie śmiał mówić inaczej niż szeptem.

Stryjeczny dziadek Robert był bowiem obłąkany od dwudziestego czwartego roku życia, gdy otrzymał na turnieju cios maczugą w głowę. Był furiatem, lecz ataki dzieliły okresy całkowitego spokoju, które wykorzystywał Filip Piękny, by się niekiedy nim posłużyć w celach dekoracyjnych. Człowiek ten nie był niebezpieczny w słowach, prawie nie mówił. Był niebezpieczny w czynach, bo nic nie zapowiadało, czy nie schwyta go atak i czy nie rzuci się z mieczem w dłoni na domowników. Wówczas z przykrością oglądano sześćdziesięciodwuletniego pana równie majestatycznej postawy jak i szlachetnego rodu, gdy łamał sprzęty, pruł opony i gonił służebne, w których widział swych przeciwników na turnieju<sup>17</sup>.

Hrabia de Poitiers wyznaczył mu miejsce po drugiej stronie podium

naprzeciw diuka Burgundii, a w pobliżu drzwi. Dwóch roślących giermków stało tuż przy nim, mając rozkaz związać go w razie najbliższego sygnału. Clermont błędził wokół pogardliwym, znudzonym, nieobecny wzrokiem. Spojrzenie jego z bolesnym niepokojem zatrzymywało się na jakiejś twarzy, nie mogąc jej sobie przypomnieć, po czym gasło. Oglądano go, a widok jego napawał przykrością.

Tuż przy owym obłąkańcu siedział jego syn, Ludwik de Bourbon, dla odmiany kulawy, co mu zawsze przeszkadzało w szarży na wroga, lecz nie w ucieczce, czego dowiódł pod Courtrai. Niekształtny, o nieskoordynowanych ruchach i tchórzliwy Bourbon nie był natomiast pozbawiony politycznej przenikliwości, oddał się przeto swoim zwyczajem pod opiekę silniejszego stronnictwa.

Z tych dwóch książąt, jednego rażonego w głowę, a drugiego w nogi miała się wywodzić długa dynastia Bourbonów.

Na tym więc zebraniu w dniu 16 lipca 1316 roku spotkały się trzy gałęzie rodu Kapetyngów, które w ciągu jeszcze pięciu wieków będą rządziły Francją. Trzy dynastie w owym dniu mogły się oglądać u schyłku bądź w swym zaraniu: dynastia Kapetyngów w linii prostej, która niebawem wygaśnie wraz ze śmiercią Filipa de Poitiers i Karola de la Marche, dynastia Valois, którą zapoczątkuje syn Karola, a obejmie ona trzynastu następnych królów, wreszcie dynastia Bourbonów, gdy po wygaśnięciu rodu Valois trzeba będzie raz jeszcze powrócić do potomków Ludwika Świętego, aby wybrać nowego króla. Wymarciu każdej dynastii będą towarzyszyły wyczerpujące, niszczycielskie wojny. Każdy ród zakończy się trzema braćmi...

Nigdy nie przestanie zdumiewać dziwny splot ludzkich czynów z niespodziewanymi zrządeniami losu. Cała pięciowiekowa historia monarchii francuskiej wraz z jej majestatem i tragediami weźmie początek z owej ustawy sukcesyjnej, którą 16 lipca Miles de Noyers, były marszałek wojsk królewskich i rajca w Parlamencie kończył właśnie czytać „dostojnym mężom królestwa”.

Siedząc rzędem na ławach lub stojąc pod ścianami baronowie, prałaci, wielcy dostojnicy, doktorzy, juryści i przedstawiciele paryskiego mieszczaństwa uważnie słuchali. Filip de Poitiers patrzył na nich, mrużąc oczy, by przezwyciężyć krótkowzroczność, która mu trochę zamazywała twarz i zacierała kontury grup.

„Mam syna, mam syna - powtarzał sobie uszczęśliwiony - a oni dopiero jutro o tym się dowiedzą”. Gotował się odeprzeć atak diuka Burgundii. Napaść zaś nastąpiła z innej strony.

Był na tym zebraniu człowiek, którego nic nie mogło przekonać; nie czyniła na nim wrażenia szlachetna krew, bo w jego żyłach płynęła najlepsza; nie kłonił się przed siłą, bo sam był zdolny powalić wołu i nie miała nań wpływu żadna intryga polityczna poza tą, którą osobiście wykoncypował. Tą osobistością był Robert d'Artois. On to, nie naradziwszy się z nikim, powstał z ławy i podjął walkę, zaledwie Miles de Noyers zakończył swe czytanie.

Ponieważ wszyscy w tym dniu wystawiali na pokaz rodziny, Robert d'Artois przywiódł swą matkę, Blanę Bretońską, małą kobietkę

delikatnej budowy, o szczupłej twarzyczce i siwych włosach jakby wciąż zdziwioną, że wydała na świat tak wspaniałego olbrzyma.

Rozstawiwszy łokcie, kciuki zatknąwszy za srebrny pas, Robert d'Artois zagrział.

- Osłupiałem, Dostojni Panowie, że przedkłada się nam nową ustawę regencyjną, skleconą z dokumentów dobranych do okoliczności, skoro już obowiązują ustawy, wydane przez naszego ostatniego króla.

Wzrok wszystkich skierował się na hrabiego de Poitiers, a poniektórzy z obecnych pomyśleli z niepokojem, czy aby nie wykradziono części testamentu Ludwika X.

- Nie wiem, kuzynie - rzekł Filip de Poitiers - o jakiej ustawie mówicie. Byliście przy ostatnich chwilach mego brata, podobnie jak i wielu tu obecnych panów, i nikt mi nigdy nie wzmiankował, jakoby wyraził jakąś wolę w tej materii.

- Bo gdy rzekłem, „nasz ostatni król”, kuzynie - odparł szyderczym tonem Robert - nie mówiłem o waszym bracie, Ludwiku X, niech w Bogu spoczywa!... ale o waszym ojcu, a naszym wielce umiłowanym monarsze Filipie Pięknym... wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! Król Filip zaś postanowił, napisał i kazał uroczyście zaprzysiąc parom, że jeśli umarł, zanim jego syn dorośnie, by objąć rządy, obowiązki króla i stanowisko regenta zostaną przekazane jego bratu, Dostojnemu Panu Karolowi de Valois. Przeto, kuzynie, skoro żadna inna ustawa od jego czasu nie została wydana, sądzę, że tę właśnie należy stosować.

Blanka Bretońska z uśmiechem na bezzębnych ustach kiwała głową i wodziła wokół błyszczącym wzrokiem, zachęcając spojrzeniem sąsiadów, by poparli wystąpienie jej syna. Każde bez wyjątku słowo tego krzykacza, każde jego pieniactwo, każdy gwałt i łotrstwo tego nicponia pochwałała i podziwiała, jakby objawienie żywego cudu. Otrzymała nieme podziękowanie hrabiego de Valois, wyrażone mrugnięciem powiek.

Filip de Poitiers, lekko przechylony nad poręczą swego fotela, spokojnie pokiwał ręką.

- Podziwiam, Robercie, podziwiam - rzekł - że tak skwapliwie podążacie za wolą mego ojca, choć kiedy żył, niezbyt chętnie słuchaliście jego wyroków. Z biegiem lat nabieracie roztropności, mój kuzynie! Bądźcie spokojni. Właśnie wolę króla Filipa staramy się uszanować. Prawda, stryju? - dorzucił, zwracając się do Ludwika d'Evreux.

Ludwik d'Evreux, który od sześciu tygodni zwalczał zakusy Valois i Roberta d'Artois, zabrał głos:

- Ustawa, na jakiej się opieracie, Robercie, ważna jest dla potomności ze względu na zasadę, lecz nie osobę. Niechże podobny wypadek przydarzy się Koronie za pięćdziesiąt lub sto lat, nikt nie zwróci się do mego brata Karola, by objął rządy w królestwie... choć życzę mu jak najdłuższego życia... Bóg, Nasz Pan, nie stworzył w drodze wyjątku Karola nieśmiertelnym. Ustawa zakłada, że regencja przypada najstarszemu wiekiem bratu, przeto Filipowi, i dlatego przed paru dniami złożyliśmy jemu hołd. Nie kwestionujcie więc sprawy już rozstrzygniętej.

Nie znałby Roberta ten, kto by sądził, że dostał mata. Pochylił on głowę, podstawiając miedziane włosy, ułożone w loki na szerokim karku, pod



promienie słońca, które przenikało przez szyby. Jego cień rozpostarł się na płytach jak groźba, sięgając stóp hrabiego de Poitiers.

- Wola króla Filipa - podjął - nie zawierała nic o córkach królewskich - ani że mają zrzec się swych praw, ani że decyzja ma być przekazana Radzie Parów.

Szmer aprobaty przebiegł wśród szeregów panów z Burgundii i Szampanii, a sam diuk Eudoksjusz zawołał na podium:

- Oto słuszne słowa, mój kuzynie, właśnie to samo chciałem przedstawić!

Blanka Bretońska znów powiodła wokół iskrzącym się wzrokiem. Konetabl poruszył się na krześle. Usłyszano, jak warczy, i ci, co go dobrze znali, przewidywali wybuch.

- Odkąd to - podjął powstając młody diuk - wprowadzono tę nowinkę do naszych zwyczajów. Od wczoraj, sądzę! Odkąd to córki, gdy zabraknie synów, winne zrzec się posiadłości i koron swego ojca?

Z kolei powstał konetabl.

- Od tego czasu, panie diuku - rzekł z wyrachowanym spokojem - odkąd pewna córka nie daje królestwu gwarancji, iż spłodził ją ojciec, po którym chce się przekazać jej dziedzictwo. Dowiedzcie się wreszcie, co wszyscy mówią, a nasz kuzyn Valois często sam powtarzał na ścisłej Radzie. Francja jest pięknym i zbyt wielkim krajem, panie diuku, żeby można było bez wnikliwej narady parów oddać koronę księżniczce, o której nie wiadomo, czy jest córką króla, czy giermka.

Eudoksjusz Burgundzki zbladł. Zebrani struchleli. Sądzieli, że diuk rzuci się na Gauchera de Chatillon, który czekał zebrawszy swe siły doświadczonego wojownika. Lecz gniew Burgundczyka zwrócił się na Karola de Valois.

- Więc to wy, kuzynie - krzyknął - wy, co wybraliście na małżonkę swego najstarszego syna jedną z moich sióstr, gorliwie staracie się zhańbić umarłą?

- Ejże, kuzynie! - rzekł Valois - co do tej hańby, to wasza siostra Małgorzata... niech Bóg wybaczy jej grzechy... wcale nie potrzebowała mojej pomocy.

I ciszej dorzucił w stronę Gauchera de Chatillon:

- Po co wam było mieszać mnie w tę sprawę?

- A wy, mój szwagrze - ciągnął Eudoksjusz, wskazując Filipa de Valois - czy też pochwalacie oszczerstwa, jakie tu padają?

Długi Filip de Valois, jakby spętany i próżno szukając wzrokiem rady ojca, wznosił ręce bezradnym gestem i ledwo bąknął:

- Trzeba przyznać, mój bracie, że skandal to był wielki.

Zebranie jeło huczeć. Z głębi sali dochodziły odgłosy kłótni; część panów opowiadała się za nieślubnym pochodzeniem Joanny, część - za prawnym. Karol de la Marche, blady, zmartwiony, pochylił głowę, jak za każdym razem, gdy wspomniano tę przykrą sprawę. „Małgorzata umarła, Ludwik umarł - rozmyślał - ale moja żona Blanka wciąż żyje i ja noszę nadal na czole znamię mojej hańby”.

W tejże chwili hrabia de Clermont, na którego już nikt nie zwracał uwagi, raptem się ożywił:

- Wzywam was, panowie, wszystkich was wzywam! - krzyknął niespodziewanie.

- Później, ojczy, później pójdziemy na turniej - rzekł Ludwik de Bourbon, usiłując mówić głosem spokojnym i naturalnym.

Jednocześnie skinął na dwóch olbrzymich giermków, aby w razie potrzeby byli gotowi skrepować szaleńca.

Robert d'Artois zachwycony sobą rozkoszował się tumultem, jaki wywołał.

Diuk Burgundii rzucił w stronę Karola de Valois.

- Pragnę oczywiście, żeby Bóg wybaczył Małgorzacie jej grzechy, jeśli je popełniła, lecz nie życzę sobie, żeby wybaczył jej zabójcom.

- Nasłuchaliście się kłamstw, Eudoksjuszu - odparł Valois - wiecie dobrze, że siostra wasza zmarła li tylko ze wstydu i wyrzutów sumienia.

Teraz, gdy hrabia de Valois i diuk Burgundii pokłócili się na dobre i nie było żadnej nadziei, by przez długi czas pojednali się w imię wspólnej sprawy, Filip de Poitiers uspokajającym gestem wyciągnął rękę.

Ale Eudoksjusz nie pragnął zgody, wprost przeciwnie.

- Dość się dziś nasłuchałem obelg na Burgundię, kuzynie - powiedział. - Odmawiam uznania was regentem oraz wobec wszystkich potwierdzam i podtrzymuję wszystkie prawa mojej siostrzenicy Joanny.

Po czym, skinąwszy na panów burgundzkich, by poszli za nim, opuścił salę.

- Dostojni Panowie i wy, panowie - rzekł hrabia de Poitiers - tego właśnie pragnęli uniknąć nasi legiści, przekazując Radzie Parów, by później rozstrzygnęła sprawę córek, jeśli zajdzie potrzeba. Skoro bowiem królowa Klemencja da królestwu męskiego potomka, cały spór stanie się bezprzedmiotowy.

Robert d'Artois, podparłszy się w boki, stał przed podium.

- Zapamiętam z waszego zarządzenia, kuzynie - zawołał - że odtąd we Francji zwyczaj zaprzecza kobietom prawa następstwa. Żądam więc zwrotu hrabstwa Artois, bezprawnie przekazanego mojej stryjnie Mahaut. I dopóki nie otrzymam zadośćuczynienia w tej sprawie, nie pokwapię się pojawić na waszej Radzie.

Po czym również skierował się ku wyjściu, a za nim podreptała jego matka, dumna z niego i siebie.

Hrabina Mahaut wzniosła w górę rękę, jakby zamierzała powiedzieć: „Ha! Miałam rację!”

Zanim Robert przekroczył próg, przechodząc za plecami hrabiego de Clermont, szepnął mu złośliwie do ucha:

- Do kopii, kuzynie, do kopii!

- Przeciąć sznury! Ogłosić spotkanie!<sup>18</sup> - wrzasnął powstając Clermont.

- Wieprzu nieczysty, niech cię czart porwie! - rzucił do Roberta Ludwik de Bourbon.

A do swego ojca szepnął:

- Zostańcie z nami. Trąbki jeszcze nie zagrały.

- Ach, jeszcze nie zagrały? Więc niech zagrają! Robi się późno - rzekł Clermont.

Rozrzuciwszy ramiona, z pustym wzrokiem oczekiwał.

Bourbon kuśtykając podszedł do hrabiego de Poitiers i szeptem poprosił, by przyspieszyć ceremoniał. Filip skinął głową.

Bourbon powrócił do chorego, wziął go za rękę i powiedział:

- Hołd, mój ojczu, teraz hołd.

- Ach tak! Hołd.

Kulawy pod rękę z obłąkanym przeszli przez podium.

- Dostojni Panowie - rzekł Ludwik de Bourbon - oto mój ojciec, najstarszy z rodu Ludwika Świętego, pochwała we wszystkim tę ustawę, uznaje pana Filipa regentem i przysięga mu wierność.

- Tak, panowie, tak... - powiedział Robert de Clermont.

Filip zadrżał z obawy przed słowami, które stryjeczny dziadek może dorzucić. „Jeszcze nazwie mnie swoją damą i zażąda wstęgi”.

Ale Clermont mówił donośnym głosem:

- Uznaję was, Filipie, posiadacie bowiem największe prawa i jesteście najmądrzejszy. Niech czuwa nad wami z nieba święta dusza mego ojca, by móc wam zachować pokój w królestwie i bronić naszej świętej wiary.

Szeregi baronów poruszyły się w radosnym podziwieniu. Cóż to działo się w głowie tego człowieka, że przechodził nagle od bredni do rozumu, od śmieszności do majestatu?

On zaś nader powoli, nader godnie ukląkł przed swym stryjecznym wnukiem i wyciągnął dłonie; a gdy powstał i otrzymawszy uścisk odwrócił się, jego wielkie błękitne oczy były skąpane we łzach.

Wszyscy zebrani powstali i długo wiwatowali na cześć obu książąt.

Całe królestwo uznało Filipa regentem z wyjątkiem jednej prowincji - Burgundii - i jednego człowieka - Roberta d'Artois.





## XI

### Narzeczeni bawią się w kotka i myszkę

Wyjście z trzaskiem z zebrania politycznego na znak protestu nigdy nie przeszkadza oponentowi zjeść potem obiadu z przeciwnikami przy wspólnym stole.

Diuk Burgundii - mimo że rano wybuchnął gniewem - zaproszony z należnymi mu względami, raczył pojawić się na uczcie rodzinnej, którą hrabia de Poitiers wydawał tegoż dnia w zamku Vincennes.

Panujący ród królewski wraz z kuzynami i dostojnikami liczył przeszło sto osób; przybyły one do Vincennes i między nieszporami a kompletą, to jest około piątej po południu, zasiadły przy stołach na krzyżakach, zasłanych białymi obrusami.

Obecność diuka Burgundii podkreślała nieobecność Roberta d'Artois.

- Syn mój zasłabł wychodząc z Pałacu, tak go wzburzyło wszystko, co usłyszał - powiedziała pani Blanka Bretońska.

- Zasłabł, naprawdę zasłabł? - spytał Filip de Poitiers.

- Tuszę, że się nie zranił, padając z tak wysoka!

Nikogo natomiast nie zdziwiła nieobecność hrabiego de Clermont, którego spiesznie odprowadzono do domu zaraz po złożeniu hołdu. Gratulowano Ludwikowi de Bourbon znakomitego wrażenia, jakie wywołał jego ojciec, i ubolewano, że choroba hrabiego, zresztą choroba szlachetna, bo powstała ze zbrojnego starcia, nie zezwala mu na częstszy udział w obradach królestwa.

Biesiadnicy zasiedli do stołu w niezłych humorach. Konetabl i diuk Burgundii mieli miejsca wyznaczone w takiej od siebie odległości, by skra między nimi nie mogła znów skoczyć. Valois rozprawiał o sobie.

Najbardziej zdumiewała na tym obiedzie wielość dzieci. Ponieważ diuk Burgundii postawił za warunek swego przybycia zaproszenie Joanny Nawarry w zadośćuczynieniu za rzuconą na nią obelgę podczas obrad, hrabia de Poitiers uważał za stosowne przyprowadzić trzy córki, a także hrabia de Valois - swe najmłodsze potomstwo, hrabia d'Evreux - syna i córkę którzy jeszcze się bawili kukielkami, delfin z Vienne - „delfinka” Guiguesa, zaręczonego z trzecią córką regenta, a Ludwik de Bourbon - swoje dzieci, które umiały już chodzić. Nie sposób było połapać się w imionach; roilo się od Blanszetek, Izabelek, Karolków i Filipków; kiedy ktoś wołał: „Joanno!” sześć główek odwracało się naraz.

Było z góry przesądzone, że ci wszyscy kuzyni pobiorą się między sobą, aby wesprzeć polityczne plany rodziców, którzy swego czasu również zawarli małżeństwa z najbliższymi krewnymi. O ile dyspens trzeba będzie zabiegać u papieża, aby ambicje rodowe przeważały nad zakazami religii! Iluż znowu kulawców, iluż znowu pomyleńców w przyszłości! Potomstwo Adama tylko tym się różniło od potomków Kapeta, że ci jeszcze unikali płodzenia się między rodzeństwem.

Delfinek i jego narzeczona, Izabelka de Poitiers - którą już niebawem zwać będą Izabelą Francuską - okazywali sobie jak najczulszy sentyment. Jedli ze wspólnej misy; delfinek wyszukiwał dla przyszłej małżonki co smakowitsze kąski potrawy węgorza, maczał je starannie w sosie i wpychał przemocą do ust narzeczonej, mażąc jej całą buzię. Inne dzieciaki bardzo im zazdrościły, że stanowią już parę; wkrótce będą posiadali własny pałacyk w rezydencji regenta, własnego pacholka konnego, pieszego i pokojowca.

Joanna Nawarry nic nie jadła. Obecność jej na ucztach była narzucona, a ponieważ dzieci w mig odgadują uczucia rodziców, z przesadą je demonstrując, wszyscy kuzynkowie odwracali się od nieszczęśliwej sierotki. Joanna należała do najmłodszych; miała ledwie pięć lat. Choć była blondynką, stawała się coraz bardziej podobna do matki, miała jej wypukłe czoło, wysoko osadzone kości policzkowe. Samotna dziewczuszka nie umiała się bawić, przecie mieszkała tylko wśród służby w olbrzymich, pustych salach pałacu Nesle, nigdy nie widziała aż tylu osób naraz, nie słyszała takiego gwaru głosów i brzęku naczyń; patrzyła z podziwem a zarazem przestraszona na góry jadła dla żarłoków, wciąż stawiane na stołach opatrzonych wcięciem na brzuch. Czuła, że nie jest kochana; gdy o coś pytała, nikt jej nie odpowiadał; choć liczyła niewiele latek, była dość rozumna, by pomyśleć: „Mój ojciec był królem, a mama królową; oboje umarli i już nikt ze mną nie rozmawia”. Na zawsze miała zapamiętać ten obiad w Vincennes. W miarę jak rósł gwar, jak rozlegały się śmiechy, smutek i rozpacz małej Joanny na tej biesiadzie olbrzymów stawały się ciężkie nie do zniesienia. Ludwik d'Evreux, widząc z daleka, że jest bliska płaczu, napomniął syna:

- Filipie, zaopiekuj się kuzynką Joanną.

Mały Filip, idąc za przykładem delfinka, wepchnął w usta sąsiadki kawałek jesiotra w sosie pomarańczowym, który ona z pogardą wypluła na obrus.

Podczasowie bez przerwy napełniali puchary i niebawem stało się jasne, że rozchoruje się cała ta dzieciarnia wystrojona w brokaty; przeto przed szóstą zamianą półmisków wysłano ją na zabawy na podwórcach. Spotkało więc dzieci królewskie to, co i wszystkie na świecie dzieci podczas świątecznych przyjęć; zostały pozbawione swych ulubionych dań, słodczy, tortów i deserów.

Natychmiast po ucztach Filip de Poitiers ujął pod ramię diuka Burgundii mówiąc, że pragnie z nim prywatnie porozmawiać.

- Pójdziemy na konfekty w miejsce jakieś ustronne, mój kuzynie. Chodźcie i wy, stryju, z nami - dorzucił zwracając się do Ludwika d'Evreux.

Zaprosił też Wilhelma de Mello, doradcę diuka, aby obie strony liczyły równą liczbę osób. Powiódł trzech mężczyzn do przyległej salki i podczas gdy podawano im słodzone wina i korzenne na miodzie konfekty, począł wyjaśniać, jak bardzo pragnie pojednania i jakie dla wszystkich korzyści wynikają z ustawy regencyjnej.

- Zamierzałem odłożyć ostateczną decyzję do pełnoletności Joanny, ponieważ wiem, jak dziś ludzie są wzburzeni - powiedział. - Do tego czasu

minie dziesięć lat, a obydwaj wiemy, że w ciągu dziesięciu lat poglądy wielce się zmieniają, choćby dlatego, że mogą umrzeć ci, którzy je wypowiadają w gwałtownym uniesieniu. Myślałem więc, kuzynie, że postępując w ten sposób przysłużę się wam i sądzę, żeście zamiary me pojęli niewłaściwie. Ponieważ Valois i wy nie możecie na razie dojść do zgody, niech każdy z was pojedna się ze mną.

Diuk Burgundii dąsał się nadal. Nie miał lotnego umysłu; wciąż się obawiał, czy ktoś go nie zechce oszukać, co mu się nierzadko zdarzało. Nie zaślepiona miłością macierzyńską diuszesa Agnieszka przed odjazdem kładła mu do głowy:

- Uważaj, nie daj się wywieść w pole. Nie mów, zanim nie pomyślisz, a jeśli o niczym nie myślisz, milcz i pozwól, żeby mówił za ciebie pan de Mello, bo jest od ciebie bystrzejszy.

Dwudziestodwuletni Eudoksjusz Burgundzki, piastując godność i stanowisko diuka, żył jeszcze w strachu przed matką i drżał, że będzie musiał przed nią się tłumaczyć. Nie śmiał odpowiedzieć samodzielnie na zagajenie Filipa.

- Moja matka, kuzynie, przekazała wam list, w którym pisała do was... O czym mówił ten list, panie de Mello?

- Dostojna Pani Agnieszka żądała, aby powierzyć jej opiece Panią Joannę Nawarry i wyrażała zdziwienie, że nie otrzymała od was dotychczas odpowiedzi.

- Ale jakżem mógł to uczynić, kuzynie? - odparł Filip, wciąż zwracając się do Eudoksjusza, jakby Mello był tłumaczem z obcego języka. - Taka decyzja zależy od regenta. Dziś dopiero jestem w stanie uwzględnić tę prośbę. Kto was przekonywał, kuzynie, że zamierzam odmówić? Myślę, że zabierzecie ze sobą waszą siostrzenicę.

Diuk zaskoczony, że nie spotyka się z odmową, spojrział na Mella, a wyraz jego twarzy jakby mówił: „Ależ z tym człowiekiem można dojść do ładu!”.

- Pod warunkiem, kuzynie - podjął hrabia de Poitiers - pod warunkiem, oczywiście, że wasza siostrzenica nie zostanie wydana za męża bez mojej zgody. Rzecz to oczywista: sprawa nazbyt wiąże się z Koroną i wy nie moglibyście obyć się bez naszej zgody, i dać małżonka dziewczynie, która pewnego dnia może zostać królową Francji.

Drugie zdanie przyćmiło pierwsze. Eudoksjusz naprawdę uwierzył, że w głowie Filipa powstał zamiar ukoronowania Joanny, gdyby królowa Klemencja nie urodziła syna.

- Oczywiście, oczywiście - wyrzekł - co do tego punktu jesteśmy najzupełniej zgodni.

- Więc nic nas już nie dzieli i podpiszemy zaraz pakt przyjaźni - powiedział Filip.

Nie zwlekając kazał wezwać Milesa de Noyers, który miał najlepsze pióro do układania takich traktatów.

- Raczcie, panie - zlecił mu - zapisać na pergaminie, co następuje: „My, Filip, par i hrabia de Poitiers, z łaski Boga regent obu królestw, i nasz umiłowany kuzyn, jasnie oświecony i wielce możny pan Eudoksjusz IV, par i diuk Burgundii, przysięgamy na Pismo święte świadczyć sobie dobre

usługi i wierną przyjaźń...” To są z grubsza myśli, które pragnę wyrazić, panie de Noyers. „I w dowód tej przyjaźni, którą sobie zaprzysięgliśmy, wspólnie postanawiamy, aby pani Joanna Nawarry...”

Wilhelm de Mello pociągnął diuka za rękaw i coś mu szepnął do ucha, z czego diuk wywnioskował, że znów dał się wystrychnąć na dudka.

- Ależ, kuzynie - zawołał - moja matka nie upoważniła mnie do uznania was regentem!

I tak utknęli w ślepym zaułku. Filip nie zgadzał się oddać dziecka, jeśli diuk nie przełknie ustawy regencyjnej. Podsuwał różnorakie rękojmie. Lecz tamten upierał się; żądał formalnego zabezpieczenia praw do korony.

„Gdyby nie ten chytrus Mello - rozmyślał hrabia de Poitiers - Eudoksjusz już by skapitulował”. Udał zmęczenie, wyciągnął długie nogi, założył jedną na drugą, potarł podbródek.

Ludwik d'Evreux patrzył i rozważał, jak bratanek wybrnie z kłopotu. „Widzę już, jak kopie łyskają pod Dijon” - mówił sobie ten roztropny mąż. Zamierzał właśnie doradzić: „Zgoda, ustąpmy z praw do Korony”, kiedy Filip spytał niespodziewanie Burgundczyka:

- Posłuchajcie, kuzynie, czy nie zamierzacie się ożenić?

Diuk otworzył szeroko oczy, sądząc najpierw - bystrością bowiem nie grzeszył - że Filip zamierza zaręczyć go z Joanną Nawarry.

- Ponieważ przysięgliśmy sobie dozgonną przyjaźń - podjął Filip, który uważał już za uzgodnione te kilka wierszy, które zawisły w próżni - i udzielacie mi wielkiego poparcia, chciałbym i ja z kolei wam się odwdzięczyć; byłoby mi miło wzmocnić nasze więzy życzliwości bliższym pokrewieństwem. Czy nie wzięlibyście za żonę mojej najstarszej córki Joanny?

Eudoksjusz IV spojrział na Mella, potem na Ludwika d'Evreux, wreszcie na Milesa de Noyers, który czekał z uniesionym piórem.

- Ależ, kuzynie, ile ona ma lat? - zapytał.

- Osiem, mój kuzynie - odpowiedział Filip i po chwili milczenia dorzucił - może też otrzymać w wianie hrabstwo Burgundii, które nam przypadło po jej matce.

Eudoksjusz podniósł głowę jak koń, co poczuł owies. Od czasów Roberta I, wnuka Hugona Kapeta, dziedziczni diukowie nie przestawali marzyć o połączeniu obu Burgundii, księstwa i hrabstwa, dworów w Dôle i Dijon. Zjednoczyć ziemie od Auxerre do Pontarlier, od Maçon do Besançon, jedną rękę położyć na Francji, a drugą sięgnąć po Święte Cesarstwo, bo hrabstwo było palatynatem, czy ten sen miał się nagle ziścić? Otwierała się droga do korony cesarskiej i dawnej chwały Karolingów...

Podziw dla bratanka ogarnął Ludwika d'Evreux; w grze, która zdawała się stracona, ważył się na gruby hazard. Lecz przyjrawszy się bliżej, rozumowanie Filipa było jasne; ostatecznie proponował tylko ziemie Mahaut. Z krzywdą Roberta oddano jej Artois w zamian za hrabstwo; następnie w wianie żony podsunęto je Filipowi, aby mógł się ubiegać o koronę cesarską. Teraz Filip zdążył do tronu francuskiego albo przynajmniej do regencji na dziesięć najbliższych lat; hrabstwo więc miało dlań mało uroku, pod warunkiem, że przypadłoby własnemu wasalowi, co

miało miejsce w tym wypadku.

- Czy mógłbym zobaczyć panią waszą córkę? - spytał wnet Eudoksjusz, już nie myśląc o powoływaniu się na matkę.

- Widzieliście ją przed chwilą na ucztach, kuzynie.

- No tak, ale się jej nie przyjrzałem... to znaczy nie spoglądałem na nią w tych zamiarach.

Posłano po najstarszą córkę hrabiego de Poitiers, która bawiła się z innymi dziećmi w kotka i myszkę<sup>19</sup>.

- Czego ode mnie chcą? Ja chcę się bawić - mówiła mała dziewczynka goniąc delfinka koło stajni.

- Prosi was Dostojny Pan, wasz ojciec - brzmiała odpowiedź.

Zaczekano, nim złapała małego Guiguesa i krzyknęła: „kot”, uderzając go po plecach, a potem nadszana i niezadowolona poszła za szambelanem, który wziął ją za rączkę.

Jeszcze zdyszana, ze spoconymi policzkami, włosami opadającymi na twarz i w przetykanej złotem, pokrytej kurzem sukience stanęła przed starszym od niej o czternaście lat kuzynem Eudoksjuszem. Mała dziewczynka, ani brzydka ani ładna, jeszcze chudziutka, nie przypuszczała wcale, że los jej łączy się w danej chwili z losem Francji. Rysy niektórych dzieci wcześniej zdradzają, jak będą wyglądały, gdy dorosną; z jej twarzyczki nic nie można było wyczytać. Widoczne było tylko otoczone aureolą hrabstwo Burgundii.

Prowincja to piękny kąsek, ale i żona nie powinna być ułomna. „Zgadzę się, jeżeli ma proste nogi” - rzekł sobie diuk. Miał wszelkie dane, aby się obawiać tego rodzaju niespodzianki, siostra jego, młodsza od Małgorzaty, wydana za Filipa de Valois, miała jedną nogę krótszą<sup>20</sup>. Dla Valois zawziętych obecnie na Burgundię ułomność ta, nie ujawniona w umowie ślubnej, wchodziła dziś w rachubę. Diuk poprosił - co nie zdziwiło nikogo - aby uniesiono spódniczki dziewczynki, chciał bowiem sprawdzić, czy ma ona zgrabne nogi. Mała nie miała tłuściutkich ud i łydek, wdała się w ojca, lecz kości były proste.

- Macie rację, kuzynie - stwierdził diuk. - Dobrze byłoby takim sposobem przypieczętować naszą przyjaźń.

- A widzicie? - rzekł Poitiers. - Czyż to nie lepsze niż wieść spór? Odtąd będę was nazywał zięciem.

Otworzył ramiona; zięć był około dwu i pół roku młodszy od teścia.

- Chodźcie, córeczko, pocałujcie i wy waszego narzeczonego.

- Ach! Więc on jest moim narzeczoną? - spytała mała.

Wyprostowała się z dumną miną.

- Oho! - dorzuciła - ale on jest dużo większy od delfinka!

„Jak dobrze postąpiłem przed miesiącem - myślał Filip - dając delfinowi dopiero trzecią córkę, a zachowując najstarszą, która może rozporządzać hrabstwem”.

Diuk Burgundii musiał podnieść przyszłą małżonkę aż do twarzy, by mogła wycisnąć na niej mocny, wilgotny pocałunek, po czym ledwo stanęła na ziemi, zaraz pobiegła na dziedziniec, by dumnie obwieścić pozostałym dzieciom:

- Jestem zaręczona!



Przerwano zabawę.

- I nie z takim małym narzeczoną jak twój - powiedziała do siostry, wskazując delfinka - mój jest duży jak nasz ojciec.

Potem spostrzegłszy małą Joannę Nawarry, która dąsała się na uboczu, zawołała do niej:

- Teraz będę twoją ciotką.

- Dlaczego moją ciotką? - spytała sierotka.

- Bo będę żoną twojego wuja Eudoksjusza.

Jedna z najmłodszych córek hrabiego de Valois - już wdrożona, by wszystko powtarzać - pobiegła do zamku, gdzie znalazła swego ojca, spiskującego z Blanką Bretońską i kilku swymi stronnikami, i doniosła mu, co usłyszała. Karol zerwał się, wywracając krzesło i wpadł rozwścieczony do salki, gdzie przebywał regent.

- O! Najdroższy stryju, jak dobrze, żeście przyszli - zawołał Filip de Poitiers - zamierzałem was zaprosić na świadka naszego układu.

I podał mu akt, który Miles de Noyers przed chwilą ukończył pisać:

„...aby stwierdzić wspólnie ze wszystkimi naszymi krewnymi, iż zawarliśmy układ z naszym zacnym kuzynem z Burgundii, który to układ został między nami w całości uzgodniony”.

Gorzki tydzień przeżywał ekscesarz Konstantynopola, wciąż się musiał zgadzać. Po nim przyłożyli pieczęcie pod układem: Ludwik d'Evreux, Mahaut d'Artois, delfin z Vienne, Amadeusz Sabaudzki, Karol de la Marche, Ludwik de Bourbon, Blanka Bretońska, Guy de Saint-Pol, Henryk de Sully, Wilhelm d'Harcourt, Anzelm de Joinville i konetabl Gaucher de Chatillon.

Późny lipcowy zmierzch ogarniał Vincennes. Ziemia i drzewa jeszcze dyszały południowym upałem. Większość gości odjechała.

Regent przechadzał się pod dębami, towarzyszyli mu jego stronnicy, ci najwierniejsi, którzy szli za nim od Lyonu i zapewnili mu zwycięstwo. Podzartowywali nie mogąc odnaleźć drzewa Ludwika Świętego. Nagle regent rzekł:

- Szlachetni panowie, błogo mi na duszy; moja zacna małżonka powiła dzisiaj syna.

Odetchnął głęboko, ze szczęściem, z rozkoszą, jakby naprawdę doń należało całe powietrze królestwa Francji.

Usiadł na mchu. Oparł plecy o pień i wpatrywał się w liście rysujące się na tle jeszcze różowego nieba, kiedy szybkim krokiem nadszedł konetabl Chatillon.

- Przynoszę wam złe wieści - rzekł.

- Już?

- Wasz kuzyn Robert przed chwilą ruszył do Artois.





## CZĘŚĆ DRUGA

# Hrabstwo Artois i konklawe



### I

## Przyjazd hrabiego Roberta

**D**wunastu jeźdźców, pędząc z Doullens pod wodzą olbrzyma w rycerskiej szacie barwy krwi, cwałem minęło wioskę Bouquemaison i przejechawszy sto sążni, stanęło. Roztaczał się stąd widok na wielki płaskowyż falujący łanami zboża. Przecinały go dolinki i bukowe zagajniki, a dalej opadał tarasami ku lasom na widnokręgu.

- Tu się zaczyna Artois, Dostojny Panie - oznajmił jeden z rycerzy, pan Jan de Varennes, zwracając się do wodza zastępu.

- Moje hrabstwo! Nareszcie moje hrabstwo - zawołał olbrzym. - Oto moja zacna ziemia, po której nie stapałem od czternastu lat.

Żar lał się z nieba. Południowa cisza ogarniała pola. Przerywało ją tylko sapanie koni zdyszanych biegiem i lot trzmieli pijanych skwarem.

Robert d'Artois nagle zeskoczył z konia i rzuciwszy wodze w ręce pachołka Lormeta, deptąc trawę, wdrapał się na wzgórze i wszedł na pierwsze z brzegu pole. Towarzysze jego znieruchomieli, by nie zakłócać przeżywanej przezeń radości. Robert stapał krokiem kolosa między ocieżałymi, złocistymi kłosami, które sięgały mu po uda. Gładził je dłonią jak sierść posłusznego konia lub płowe włosy kochanki.

- Moja ziemia, moje zboże - powtarzał.

Nagle padł na ziemię, wyciągnął się, tarzał i przewracał w zbożu niby szalenię, jakby chciał z nim się złączyć; żarłocznie rozgryzał kiście żeby poczuć mleczny smak, jaki mają na miesiąc przed żniwami; nie czuł, że wasy pszenicy ranią mu wargi. Upajał się błękitem nieba, suchą ziemią, zapachem łamanego źdźbła i sam czynił tyleż spustoszenia, ile stado dzików. Powstał wspaniały, w wymiętej szacie i wrócił do kompanów, ściskając w garści brutalnie wyrwaną kiść.

- Lormet - nakazał pachołkowi - rozepnij mi szatę, rozwiąż kaftan<sup>21</sup>.

Potem wsunął garść zboża pod koszulę, wprost na nagie ciało.

- Przysięgam Bogu, Dostojni Panowie - rzekł grzmiącym głosem - że kłosa te nie opuszczą mej piersi, póki nie odzyskam mego hrabstwa po ostatnią piędź ziemi. A teraz, na wojnę!

Skoczył na koń i puścił się cwałem.

- Prawda, Lormet - krzyczał w wichurze pędu - że ziemia dźwięczy tu milej pod kopytami naszych koni?

- Oczywiście, oczywiście, Dostojny Panie - odpowiedział zabójca o tkliwym sercu, który podzielał każde zdanie swego pana. - Ale rozwiewa się wasza szata, zwolnijcie, niech ją wam poprawię.

Chwilę jechali obok siebie. Potem płaskowyz nagle obniżył się i Robert zobaczył na ogromnej łące skrzącą się w słońcu armię, złożoną z tysiąca ośmuset pancernych, którzy przybyli go powitać. Nigdy by nie uwierzył, że spotka go aż tylu stronników.

- Ejże, Varennes! Kawał roboty odwaliłeś, kumie! - krzyknął olśniony Robert.

Skoro tylko poznali go rycerze z Artois, z szeregów ich buchnął wrzask:

- Witajcie nam, hrabio Robercie! Niech żyje nasz miły suzeren!

Najskwapliwsi skoczyli na koniach ku niemu. Szczękały żelazne nakolanki, kopie kołysały się jak długie łan zboża.

- Ach! Oto Caumont! Oto Souastre! Poznają was po tarczach, druhowie! - wołał Robert.

Spod uchylonej przyłbicy wyzierały twarze jeźdźców ociekające potem, lecz rozjaśnione rycerską ochotą. Wielu wiejskich panków nosiło stare, wyszłe z użycia, odziedziczone po ojcu lub stryjecznym dziadku zbroje, które kazali jako tako dopasować na swą miarę. Pod wieczór będą mieli poranione w stawach ręce i nogi, a krwawiące strupy pokryją ich ciało. Każdy zresztą miał zbrojnego pachołka, który wioził w tobołkach garnek z balsamem i płótna opatrunkowe.

Przed Robertem defilowały wszystkie okazy wojskowej mody z całego wieku, wszystkie rodzaje hełmów i misiurek. Poniektóre kolczugi i oburęczne miecze pochodziły jeszcze z ostatniej wyprawy krzyżowej. Prowincjonalni wykwintnisie wystroili się w kity z piór kogucich, bażancich lub pawich, na kilku głowach błyszcząły złociste smoki, a jeden nawet przyśrubował do hełmu popiersie nagiej kobiety, czym się wielce wyróżniał.

Wszyscy mieli świeżo odmalowane tarcze, na których występowały w jaskrawych kolorach ich znaki herbowe, proste lub złożone, zależnie od starożytności rodu. Godła najprostsze należały oczywiście do najstarszej szlachty.

- Oto Saint-Venant, oto Longvillers, oto Nedonchel - prezentował rycerzy Robertowi Jan de Varennes.

- Wasz lennik, Dostojny Panie, wasz lennik - mówili odpowiadając na wezwanie.

- Lennik Nedonchel... Lennik Baillencourt... Lennik Picquigny... - odpowiadał przechodząc przed nimi Robert.

Przyrzekł kilku młodym - sztywno wyprostowanym i bardzo dumnym, iż się po raz pierwszy wysztafirowali na wojnę - że pasuje ich osobiście na rycerzy.

Później postanowił mianować natychmiast dwóch marszałków jak w wojsku królewskim. Wybrał najpierw pana de Hauteponlieu, który wielce się napracował, by zebrać tę rycerską hałastwę.

- A teraz mianuję... kogo... ciebie, Beauval! - oświadczył Robert. - Regent ma za marszałka Beaumonta, a ja będę miał Beauvala\*.

Mali panowie łasi na żarty i kalambury, śmiejąc się wiwatowali na cześć Jana de Beauval, który swemu nazwisku zawdzięczał nominację.

- A teraz, Dostojny panie Robercie - zapytał Jan de Varennes - jaką drogą chcecie jechać? Czy udamy się najpierw do Saint-Pol, czy też wprost do Arras? Całe Artois należy do was, raczcie tylko wybierać.

- Jaka droga wiedzie do Hesdin?

- Ta, na której stoicie, Dostojny panie. Wiedzie ona przez Frevent.

- Świetnie, chcę najpierw pojechać do zamku moich ojców.

Rycerze poruszyli się niespokojnie. Naprawdę pech, że Robert, ledwie przybył, już chce pędzić do Hesdin.

Odpowiedział mu pan de Souastre, ten, co nosił na głowie nagą kobietę, i ostatniej jesieni wielce się wyróżnił w najazdach.

- Boję się, Dostojny Panie, że zamek nie jest w godnym stanie, by was przyjąć.

- A czemu? Czy wciąż w nim przebywa pan de Brosse, wysłany tam przez mego kuzyna Kłótliwego?

- Nie, nie, wypędziliśmy Jana de Brosse, ale też mimochodem podniszczyliśmy zamek.

- Podniszczyliście? - spytał Robert - aleście go nie spalili?

- Nie, Dostojny Panie, nie; mury się ostały.

- Aleście go trochę ograbili, prawda, moi mili? Ej, jeśli tylko to, dobrzeście zrobili. Wszystko co jest własnością Mahaut łajdaczki, Mahaut maciory, Mahaut wywłoki, należy do was, Waleczni Panowie, dzielę się tym z wami.

Jakże nie kochać suzerena tak szczodrego! Sojusznicy znów zawrzasnęły, życząc długiego żywota wielce miłemu panu Robertowi i zbuntowana armia ruszyła pochodem do Hesdin.

Nim wieczór zapadł, stanęli przed czternastu basztami warowni hrabiów Artois, gdzie sam zamek zajmował dwanaście „miar”, czyli prawie pięć hektarów.

Ileż podatków, trudu i potu kosztowała tak kolosalna budowla przeznaczona - jak wmawiano poddanym - żeby ich bronić od nieszczęść wojny! Wojny zaś szły po sobie, lecz opiekuństwo nie na wiele się zdało; ponieważ zaś walczono głównie o zamek, ludność wolała zakopać się w ziemiankach i prosić Boga, aby lawina przetoczyła się obok.

Na ulicach nie było nikogo, aby wiwatować na cześć pana Roberta. Mieszkańcy ukryli się po wczorajszej łupieży grodu.

Przedmurza zamku też nie wyglądały wesoło; załoga królewska powieszona na blankach jęła zalatywać ścierwem. Przy głównym wejściu, zwanym Bramą Kurczą, zwodzony most był spuszczonej. Wnętrze przedstawiało opłakany widok. Wino płynęło z rozbitych w spiżarniach kadzi; martwy drób leżał tu i ówdzie; z obór rozlegał się ponury ryk nie wydojonych krów; na ceglach zaś, którymi były wybrukowane wewnętrzne podwórca - rzadki zbytek - historia ostatniej rzezi zapisała się wielkimi kałużami zaschłej krwi.

---

\* Gra słów: Beaumont – Pieknogórski, Beauval – Pieknojarski.

Budynki mieszkalne rodu Artois składały się z pięćdziesięciu apartamentów; zaci ni sojusznicy pana Roberta nie oszczędzili żadnego. Wszystko, czego nie mogli zabrać, aby ozdobić sąsiednie zamki, zostało na miejscu zniszczone.

Z kaplicy znikł wielki krzyż ze złoczonego srebra, a także popiersie Ludwika IX z okrucnem kości i kilku włosami świętego króla. Znikł wielki złoty kielich, który sobie przywłaszczył Ferry de Picquigny, kielich ten znalazł się później wystawiony na sprzedaż u pewnego paryskiego kramarza. Ulotniło się dwanaście ksiąg z biblioteki, zwędzono szachownicę z jaspisu i chalcedonu. Szaty, peniuary i bielizna Mahaut posłużyły drobnym pankom na piękne dary dla dam ich serca. Nawet z kuchni wyprzątnięto zapasy pieprzu, imbiru, szafranu, cynamonu<sup>22</sup>...

Chodziło się po stłuczonych naczyniach, poszarpanych brokatach; widać było jeno zasłony na łóżach, które się zawaliły, połamane sprzęty, pozrywane opony. Wodzowie rebelii trochę zmartwieni szli za zwiedzającym zamek Robertem, ale przy każdym ujawnieniu szkód olbrzym wybuchał śmiechem tak donośnym, tak szczerym, że niebawem uczuli się pokrzepieni.

W sali z tarczami stały na pilastrach, zamówione przez Mahaut, rzeźbione w kamieniu wizerunki hrabiów i hrabin d'Artois od założenia rodu aż do niej włącznie. Wszystkie twarze były do siebie dość podobne, lecz całość wyglądała majestatycznie.

- Tu, Dostojny Panie - stwierdził Picquigny - nie śmieliśmy na nic podnieść ręki.

- I źleście zrobili, kumie - odparł Robert - bo widzę tu niejedną głowę, co mi się nie podoba. Lormet! Buławę!

Schwyciwszy ciężką, bojową maczugę, podaną mu przez pacholka, po trzykroć nią zakręcił i potężny cios spadł na wizerunek Mahaut. Posąg zachwiał się na podstawie i głowa odbita od szyi rozprysła się na kamiennych płytach posadzki.

- Niechajże to spotka i głowę żywej, potem, jak się na nią wysikają wszyscy sojusznicy z Artois - krzyknął Robert.

Kto lubi niszczyć, wystarczy mu zacząć. Żelazna buława najeżona kolcami chwiała się groźnie przy barku olbrzyma.

- Ach! moja stryjno, setna łajdaczko, wyzułyście mnie z mego hrabstwa, bo ten, co mnie spłodził...

I Robert odwalił głowę posągu swego ojca hrabiego Filipa.

- ...zrobił głupstwo umierając przed tym...

I ściał głowę swego dziadka hrabiego Roberta II.

- I ja miałbym żyć wśród tych wizerunków, któreście zamówili, żeby sobie przynieść, do jakiego nie mieliście prawa? Precz! Precz, moi przodkowie; zaczniemy od nowa!

Mury drżały, odłamki kamienia zasłały podłogę. Baronowie z Artois milczeli, z zapartym tchem patrząc na to szaleństwo, które o wiele przewyższało ich własne gwałty. Jak zaprawdę, jak żywiolowo nie słuchać takiego wodza!

Kiedy Robert skończył ścinać własny ród, wyrzucił buławę przez witraż w oknie i przeciągając się powiedział:

- No, teraz możemy porozmawiać swobodnie... Panowie, moi wasale, moi kompani, chcę najpierw, żeby we wszystkich miastach, okręgach, kasztelaniach, które uwolnimy spod jarzma Mahaut, spisano żale, jakie ktokolwiek przeciw niej żywi. Ten rejestr jej nikczemności sporządzić dokładnie, żeby ścisły raport wysłać do jej zięcia, pana Klucznika... bo ten człowiek ledwie się zjawi, zamyka wszystko, miasta, konklawe, Skarb... do pana Niedowidka, czyli naszego suzerena Filipa Ślepego<sup>23</sup>, który ogłasza się regentem i był przyczyną, że przed czternastu laty wyzuto mnie z hrabstwa, żeby on mógł utuczyć się Burgundią. Niech zdycha bydlak z szyją okreconą we własne flaki!

Obeznanym z procedurą mały Gerard Kierez, który przed sądem królewskim bronił sprawy baronów z Artois, zabrał wówczas głos i powiedział:

- Istnieje zarzut, dotyczący nie tylko Artois, Dostojny Panie, ale i całego królestwa; zaręczam, że nie byłoby obojętne dla regenta, gdyby się stało wiadome, w jaki sposób zginął jego brat, Ludwik X.

- Do stu diabłów, Gerardzie, wierzysz więc w to, co i ja? Czy masz dowód, że moja stryjna i w tej sprawie maczała palce?

- Dowód, dowód, Dostojny Panie, to za szybko powiedziane! Ale na pewno mocne podejrzenie, które może być poparte przez świadków. Znam w Arras pewną damę, zwaną Izabelą de Feriennes, i jej syna Jana; oboje handlują przyborami do magii; oni to dostarczyli niejakiej pannie d'Hirson, Beatrycze...

- Tę wam podaruję któregoś dnia, moi kompani - rzekł Robert. - Widziałem ją kilka razy i wystarczy na nią spojrzeć, żeby się domyślić, że jej udka to prawdziwy specjał.

- Ferienne'owie więc na dwa tygodnie przed śmiercią króla za jej pośrednictwem dostarczyli Pani Mahaut trucizny na jelenie. To, co mogło posłużyć na jelenie, równie dobrze mogło posłużyć i na króla.

Baronowie mlaskając językiem okazali, że przypadł im do gustu ten żarcik.

- W każdym razie to trucizna dla rogatej zwierzyny - podkreślił Robert. - Niech w Bogu spoczywa dusza mego kuzyna Ludwika Rogacza.

Śmiechy zabrzmiały donośniej.

- I wydaje się to tym bliższe prawdy, Panie Robercie - podjął Kierez - że dama de Feriennes przechwalała się w ubiegłym roku, iż sporządziła filtr miłosny, który pogodził pana Filipa, zwanego przez was Ślepym, z panią Joanną, córką Mahaut...

- ...dziwka jak i matka! Złe zrobiliście, moi baronowie, żeście nie zadusili tej zmił, kiedy mieliście ją w garści, zeszłej jesieni, tutaj - rzekł Robert. - Potrzebna mi ta kobieta Feriennes a także jej syn. Dopilnujcie, żeby ich pojmano, kiedy już będziemy w Arras. A teraz podjedźmy, bo jestem wściekle głodny po dzisiejszym dniu. Zabić najtłustszego w oborze wołu i upiec w całości, wypróżnić staw z karpia Mahaut i podać nam wina któregoście nie dopili.

Po dwóch godzinach, gdy wieczór już zapadł, cała chwacka kompania była pijana na umór. Robert wysłał Lormeta, który dość dzielnie znosił mieszanekę wytrawnych, aby na czele zbrojnych pachołków zagarnął w

mieście dziewczki dla ukontentowania dziarskich baronów. Sługusy nie baczyli, czy wyciągają z łóżek dziewice czy też matrony. Lormet popędził do zamku beczące z przerażenia stado w nocnych koszulach. Splądrowane komnaty Mahaut stały się polem jurnych zapasów. Wrzaski kobiet dodawały zapachu rycerzom, którzy spieszyli do ataku, jakby szarżowali na niewiernych, prześcigali się w zabawie walecznością i walili się po trzech na jeden łup. Robert taszczył za włosy najsmakowitsze kąski dla siebie i nie trudził się zbyt wiele rozdzielaniem. Ponieważ ważył przeszło dwieście funtów, brankom jego brakło tchu, by krzyżeć. W tymże czasie pan de Souastre, zagubiwszy swój piękny hełm, zgięty wpół przyciskał pięści do serca i wymiotował jak rzygacz w czasie burzy.

Potem ci wszyscy waleczni jęli jeden po drugim chrapać; tej nocy wystarczyłby jeden człowiek, by lekko poderznąć gardła całej szlachcie z Artois.

Nazajutrz wojsko na miękkich nogach, z obłożonymi językami i kociokwikiem ruszyło do Arras. Jedyne Robert był rzeński niby szczupak świeżo wyjęty z rzeki, czym zdobył ostatecznie podziw swych zastępów. Zatrzymywali się po drodze, bo Mahaut posiadała w okolicy jeszcze kilka zamków których widok pobudził baronów do czynu.

Ale gdy w dzień świętej Magdaleny Robert przybył do Arras, damy de Feriennes próżno szukano. Znikła.





## II

### Lombardzki bankier dworzaninem papieża

**W** Lyonie kardynałowie zamknięci byli nadal. Sądziło się, że znużą regenta; odosobnienie ich trwało od miesiąca. Siedmiuset zbrojnych hrabiego de Forez wciąż czuwało wokół kościoła i klasztoru braci kaznodziejów; a choć szanując przepisy, hrabia Savelli, marszałek konklawe, nosił stale przy sobie klucze, nie służyły one do niczego, bo otwierały tylko drzwi już zamurowane.

Kardynałowie dzień w dzień łamali konstytucję gregoriańską i to z tym czystszy sumieniem, że stali się ofiarą przemocy i gwałtu. Dzień w dzień nie omieszkali zarzucać to hrabiemu de Forez, gdy ów wtykał głowę okrytą hełmem w otwór do wsuwania jadła. Na co hrabia de Forez dzień w dzień odpowiadał, że winien szanować regulamin konklawe. Ten dialog głuchych mógł się długo ciągnąć.

Kardynałowie nie przebywali we wspólnym pomieszczeniu, jak nakazywała konstytucja; bo choć nawa Jakobitów była obszerna, gdyby w niej na wiązkach słomy leżało przeszło sto osób, życie wnet stałoby się nie do zniesienia, przede wszystkim na skutek smrodu, którym zionęła w czasie letnich upałów.

- Z tego powodu, że Pan Nasz urodził się w żłobie, nie wynika, ażebyśmy Jego następcę wybierali w chlewie - powiedział któryś włoski kardynał.

Pralaci zagarnęli więc klasztor połączony z kościołem, a znajdujący się w obrębie tych samych murów. Usunąwszy mnichów, rozgościli się jako tako po trzech w celi lub w którejś z izb, należących do gospody zamkniętej oczywiście dla podróżnych. Spowiednicy i dworzanie zajęli refektarze.

Nie przestrzegano również stosowania coraz chudszej diety, gdyby to nastąpiło, konklawe wkrótce by się zmieniło w obrady szkieletów. Kardynałowie kazali więc dostarczać z miasta przysmaki, rzekomo przeznaczone dla opata klasztoru i zakonników. Używali rozlicznych forteli, by uporczywie łamać tajemnicę obrad; listy co dzień przychodziły na konklawe lub zeń wychodziły, wsunięte bądź w chleb bądź między puste półmiski. Pora posiłków stała się przeto porą wymiany korespondencji, pisma zaś które ponoć miały na celu dobro chrześcijaństwa, były obficie poplamione tłuszczem.

Hrabia de Forez zawiadamiał regenta o wszystkich uchybieniach, ów zaś zdawał się radować: „Im więcej popełnią błędów i wykroczeń - oświadczał Filip - tym łatwiej nam będzie wystąpić z całą surowością, gdy poweźmiemy ku temu decyzję. Listy zaś przepuszczajcie, otwierając je po drodze tak często, jak zdołacie, aby ujawnić mi ich treść”.

Stało się przeto wiadome, że cztery kandydaty upadły prawie natychmiast po ich wysunięciu. Najpierw kandydatura Arnolda Nouvela,



byłego opata w Fontfroide - hrabia de Poitiers bowiem dobitnie oświadczył za pośrednictwem Jana de Forez, iż „nie uważa, by ten kardynał był dostatecznie przychylny królestwu Francji”; następnie upadły kandydatury Wilhelma de Mandagout, Arnolda de Pelagruie oraz Berengera Fredol starszego. Gaskończycy i Prowansalczyki nawzajem się szachowali. Stało się również wiadome, iż groźny Gaetani podłością swych intryg i obłudem kalumnii jął budzić wstręt wśród niektórych Włochów, a nawet zniechęcił do siebie własnego kuzyna Stefaneschiego.

Czyż nie doradzał żartobliwie - ale wiadomo, co takie słowa znaczyły w jego ustach! - iż należałoby wywołać diabła i zdać się na niego przy wyborze papieża, ponieważ Bóg jakby się wyrzekł objawienia swej woli?

Na to Dueze, charakterystycznym dlań szeptem, odpowiedział:

- Nie po raz pierwszy, Przewielebny Panie Francesco, zasiadłby wśród nas Szatan.

Kiedy Gaetani żądał świecy, wnet szeptano, że zamierza topić wosk, aby przystąpić do rzucenia uroku.

Aż do swego niespodziewanego uwięzienia kardynałowie nienawidzili się ze względu na doktrynę, sławę lub karierę. Ale teraz wspólnie w ciągu miesiąca w zamkniętym pomieszczeniu znienawidzili się z powodów czysto osobistych, niemal fizycznych. Poniektórzy opuścili się, nie golili i nie myli się i popuszczali wodze wszelakim żądzom. Już nie obietnicą gotówki czy beneficjów dany kandydat zabiegał o głosy, lecz dzieląc swe porcje z żarłokami - czyn prawnie wzbroniony. Denuncjacje przeto biegły od ucha do ucha:

- Kamerling zjadł jeszcze trzy posiłki swych stronników...

Choć brzuchy dzięki tym rozrachunkom mogły się prawie nasycić, gorzej było z innymi zachciankami. Część kardynałów nie zwykła zachowywać ślubu czystości, co poczęło wściekle rozjuszać niektórych prałatów. Wśród Prowansalczyków krążył żarcik:

- Jeśli Auch gotów na wszystko dla dobrego jadła, Colonnom gładka skórka do gustu przypadła.

Obaj bowiem Colonnowie i stryj, i bratanek, dwaj krzepcy mężowie, raczej stworzeni do pancerza niż sutanny, uganiali się po klasztornych korytarzach za dworzanami, obiecując im pełne rozgrzeszenie.

Wciąż się obrzucano starymi zarzutami:

- Gdybyście nie kanonizowali Celestyna... Gdybyście nie zaparli się Bonifacego... Gdybyście nie zgodzili się na wyjazd z Rzymu... Gdybyście nie skazali templariuszy...

Kardynałowie oskarżali się wzajem o tchórzostwo w obronie Kościoła, o pychę i przedajność. Słuchając, co mówią o sobie, można by rzec, że żaden z nich nie zasługuje nawet na wiejskie probostwo.

Jedynie Przewielebny Dueze był jakby nieczuły na wszelkie niewygody, intrygi i obmowy. W ciągu dwóch lat tak powikłał stosunki między kolegami, że już nie potrzebował w nic się mieszać i mógł pozwolić, aby jego perfidne maszyny toczyły się własnym rozpędem. Nie doskwierało mu skąpe jadło, był bowiem wstrzemięźliwy i z natury, i z nawyku. Wybrał sobie wspólną celę z dwoma normandzkimi kardynałami sprzymierzonymi z Prowansalczykami, Mikołajem de Freauville, byłym spowiednikiem

Filipa Pięknego, oraz Michałem du Beca byli oni za słabi, żeby utworzyć własne stronnictwo i nie figurowali wśród kandydatów. Nikt się ich nie obawiał, a wspólne zamieszkanie z Dueze'em nie mogło przybrać pozorów spisku. Dueze zresztą mało widywał swych obu towarzyszy. O wyznaczonej godzinie przechadzał się po klasztornym wirydarzu, wsparty zwykle na ramieniu Guccia, który mu wciąż przypominał:

- Przewielebny Panie, nie idźcie tak szybko! Patrzcie, z trudem za wami nadążam z tą nogą sztywną po wypadku w Marsylii. Wicie przecież, że wasze szanse - jeśli wierzyć w to co słyszę - będą tym większe, im będą was uważali za słabszego.

- To prawda, to prawda - odpowiadał kardynał, usiłując pochylić kark, uginać kolano i okiełznać swe siedemdziesiąt dwa lata.

Resztę czasu czytał lub pisał. Mógł się zaopatrzyć w to, co mu było najpotrzebniejsze na świecie: księgi, świece, papier. A gdy go zawiadamiano o zebraniu na chórze kościelnym? Udawał, że z żalem odchodzi od pulpitu, a tam słuchając, jak koledzy obrzucają się obelgami i wytykają sobie wiarołomstwo, ograniczał się do szeptu ledwie dosłyszalnym głosem;

- Modłę się, moi bracia, modłę się do Boga, aby natchnął nas wyborem najgodniejszego.

Ci, co go znali od dawna, uważali, że bardzo się zmienił. Zdawał się usilnie oddawać umartwieniom i służył każdemu przykładem życzliwości i miłosierdzia. Gdy ktokolwiek mu o tym mówił, skromnie odpowiadał szeptem ze znużonym gestem:

- Śmierć się zbliża... wielki mi czas przygotować się...

Ledwie kosztował potraw i kazał je zanosić któremuś ze swych rywali. Przeto Guccio przychodził obładowany do kamerlinga - który tył jak tuczny wół - mówiąc:

- Jego Przewielebność pan Dueze kazał wam to podać. Dziś rano zauważył, że Wasza Dostojność schudł.

Guccio należał do tych spośród dziewięćdziesięciu sześciu uwięzionych, którzy najswobodniej porozumiewali się ze światem. Udało mu się istotnie nawiązać łączność z przedstawicielem banku Tolomei w Lyonie. Tą drogą szły nie tylko listy Guccia do wuja, ale również najtajniejsza korespondencja Dueze'a przeznaczona dla regenta. Tym pismom oszczędzono niełaski spoczywania na zatłuszczonych półmiskach; były przesyłane w księgach niezbędnych dla pobożnych studiów kardynała.

W istocie Dueze nie miał żadnego powiernika poza młodym Lombardem, jego przebiegłość z każdym dniem była użyteczniejsza. Losy ich ściśle wiązały się ze sobą; bo jeśli jeden chciał wyjść jako papież z tego upalnego zaduchu klasztornego, drugi pragnął jak najrychlej wyjechać otoczony potężną opieką, aby pomóc swej najdroższej. Guccio jednakże był trochę spokojniejszy o Marię, odkąd Tolomei mu napisał, iż czuwa nad nią jak rodzony wuj.

Gdy w lipcu, w pierwszych dniach ostatniego tygodnia, Dueze spostrzegł, że jego koledzy są bardzo znużeni i wielce udęczeni upałem, postanowił odegrać komedię, którą obmyślił i wyreżyserował do spółki z Gucciem.

- Czy dość powłóczę nogą? Czy dość się wypościłem? Czy wyglądam dość nędznie? - pytał swego przygodnego dworzanina. - Czy moi kumotrzy dość sobie wzajem obrzydli, aby się poddać decyzji spowodowanej zmęczeniem?

- Chyba tak, Wasza Wielbność, myślę, że są już gotowi.

- Sądzę więc, że już czas, mój młody towarzyszu, abyś popracował językiem; ja zaś położę się i już nie wstanę.

Guccio począł więc rozsiewać wieści wśród sług pozostałych kardynałów że Przewielebny Dueze jest trochę wyczerpany, że wygląda na chorego i należy się obawiać, biorąc pod uwagę jego sędziwy wiek, iż nie wyjdzie żywy z konklawe.

Nazajutrz Dueze nie zjawił się na codziennym zebraniu, kardynałowie zaś szeptali między sobą powtarzając pogłoski, które Guccio puścił w obieg.

Następnego dnia kardynał Orsini, po ostrej sprzeczce z Colonnami, spotkał Guccia i zapytał, czy naprawdę Wielbny Dueze jest tak bardzo słaby.

- O tak, Przewielebny Panie, przecie widzicie, że serce mi się kraje - odparł Guccio. - Czy wiecie, że mój przezacny pan nawet czytać przestał? Inaczej mówiąc, niewiele czasu mu teraz pozostało do końca życia.

Po czym dorzuczał z naiwną śmiałością, którą umiał się tak dobrze posługiwać:

- Gdybym był na waszym miejscu, Przewielebny Panie, wiem, co bym zrobił. Wybrałbym Jego Dostojność Dueze'a. W ten sposób moglibyście nareszcie wyjść z tego konklawe i obradować wedle własnego upodobania, zaraz jak on umrze co, powiadam wam, prędko nastąpi. To jedyna sposobność, którą może za tydzień stracicie.

Tegoż wieczoru Guccio zobaczył Napoleona Orsiniego na pokątnej naradzie ze Stefaneschim, Albertem da Prato i Gwidonem de Longis, Włochami przychylnymi dla Dueze'a. Nazajutrz ta sama grupa spotkała się jakby przypadkowo w klasztorным wirydarzu, ale dołączyli się do niej Hiszpan Luca de Flisco, przyrodni brat Jakuba II Aragońskiego, oraz Arnold de Pelagru, przywódca stronnictwa gaskońskiego.

Guccio, przechodząc mimo, dosłyszał słowa Gaskończyka:

- A jeśli nie umrze?

- Byłoby to mniejszym złem - odparł jeden z Włochów - niż tkwić tu jeszcze sześć miesięcy, jak to nam grozi, jeśli przegapimy okazję, by wybrać konającego.

Guccio wnet posłał list do wuja doradzając mu, żeby odkupił od kompanii Bardich wszystkie skrypty dłużne Dueze'a, jakie ów bank posiadał. „Możecie je uzyskać bez trudu za połowę wartości, bo dłużnik uchodzi za umierającego, a wierzyciel będzie was uważał za szaleńca. Kupujcie nawet po osiemdziesiąt liwrów za sto, sprawa, mówię Wam, warta zachodu - albo nie jestem waszym siostrzeńcem”. Poza tym radził Tolomeiowi, by, najrychlej jak będzie mógł, przybył do Lyonu.

29 lipca hrabia de Forez oficjalnie przekazał kardynałowi kamerlingowi pismo regenta. Aby wysłuchać jego treści, Jakub Dueze zwał się ze swego barłogu i miast iść kazał raczej zanieść się na zebranie.

List hrabiego de Poitiers był surowy. Drobiazgowo opisywał wszystkie uchybienia wobec regulaminu papieża Grzegorza... Przypominał obietnicę zniesienia dachu nad kościołem. Zawstydział kardynałów, wypominając im właśnie oraz doradzał, aby wybrali najstarszego spośród siebie, jeśli nie mogą dojść do zgody. Najstarszy zaś był Jakub Dueze.

Gdy ów usłyszał te słowa, pokiwał powoli słabymi drżącymi rękami i szepnął:

- Godniejszego, moi bracia, godniejszego! Cóż byście poczęli z pasterzem, co nie może iść o własnych siłach, a którego miejsce jest raczej w Niebie, o ile Pan Nasz raczy go tam przyjąć, niż na tym padole?

Kazał się odprowadzić do celi, wyciągnął się na posłaniu i obrócił do ściany.

Po dwóch dniach Dueze jakby odzyskał trochę sił, zbyt uporczywe osłabienie mogło wzbudzić podejrzenia. Lecz gdy nadeszły zalecenia króla Neapolu, wspierające rady hrabiego de Poitiers, staruszek począł żałośnie kasłać; musiał być w bardzo ciężkim stanie, skoro się zaziębił przy tak wielkich upałach.

Targi szły nadal ostro, bo wszystkie nadzieje jeszcze nie wygasły.

Ale hrabia de Forez stawał się coraz surowszy. Teraz kazał ostentacyjnie przeszukiwać żywność, którą zresztą ograniczył do jednego posiłku dziennie i zabierał listy albo je kazał wrzucać do wnętrza kościoła.

5 sierpnia Napoleon Orsini zdołał zjednać dla Dueze'a groźnego Gaetaniego we własnej osobie, a także kilku członków stronnictwa gaskońskiego. Prowansalczyki zwietrzyli woń zwycięstwa.

6 sierpnia obliczono, że Wielebny Dueze może liczyć na osiemnaście głosów, czyli o dwa więcej niż słynna większość absolutna, której w ciągu dwóch lat i trzech miesięcy nikt nie mógł uzyskać. Ostatni przeciwnicy widząc wówczas, że wyłom dokona się poza nimi i obawiając się, aby nie wzięto im za złe ich oporu, z miedzianym czołem uznali wielkie chrześcijańskie cnoty kardynała-biskupa Porto i oświadczyli, że są gotowi oddać nań swe głosy.

Nazajutrz, 7 sierpnia 1316 roku, postanowiono głosować. Wybrano czterech skrutatorów. Dueze pojawił się na rękach Guccia i swego drugiego dworzanina.

- Niewiele waży - szepnął Guccio kardynałom, którzy patrzyli, jak przechodzą i usuwali się z szacunkiem, podkreślając tym ruchem swój wybór.

W kilka minut potem Dueze został jednogłośnie obrany papieżem, a jego dwudziestu trzech kolegów zrobiło mu owację.

- Ponieważ chcesz tego, Panie Nasz, ponieważ tego chcesz - westchnął Dueze.

- Jakie imię wybierasz sobie? - zapytano.

- Jan... Będę nosił imię Jana... Jana XXII.

Guccio zbliżył się, aby podnieść wątłego staruszka, który stał się najwyższym w całym świecie autorytetem.

- Nie, mój synu, nie - rzekł nowo obrany papież. - Postaram się iść o własnych siłach. Oby Bóg podtrzymał me kroki.

Wówczas naiwni pomyśleli, że są świadkami cudu, podczas gdy reszta

pojęła, że dała się wywieść w pole. Sądziła, że głosują na nieboszczyka, a oto ich wybraniec swobodnie i podrygując krążył wśród nich rzeński jak pstrąg. Ale nie wyobrażali sobie, jakie surowe życie każe jeszcze im wieść w ciągu następnych osiemnastu lat.

Tymczasem kamerling już spalił w kominie kartki z głosami i biały dym obwieścił światu wybór najwyższego kapłana. Wówczas uderzenia kilofów rozbrzmiały przy murze zamykającym główny portal. Lecz hrabia de Forez był ostrożny; skoro tylko odwalono dość kamieni, sam wsunął się w otwór.

- Tak, tak, mój synu, to na pewno ja - rzekł mu Dueze, który szybciotko aż ku niemu podreptał.

Wtedy murarze skończyli odbijać mur; otworzono szeroko podwoje i po raz pierwszy od czterdziestu dni słońce przeniknęło do kościoła Jakobitów.

Olbrzymi tłum oczekiwał na dziedzińcu; mieszczanie i pospólstwo z Lyonu, konsulowie, wielmoże, obserwatorzy z zagranicznych dworów, wszyscy cisnęli się i klękali, podczas gdy kardynałowie oraz inni obecni na konklawe wychodzili tworząc procesję. Gruby mężczyzna o smagłej cerze, który stał obok hrabiego de Forez, schwytał kraj szaty nowego papieża, gdy ów przed nim przechodził, i przycisnął rąbek do ust.

- Wujku Spinello! - zakrzyknął Guccio Baglioni, który szedł za papieżem.

- Ach, to wy jesteście wujem! Bardzo miłuję waszego siostrzeńca, mój synu - rzekł Dueze do klęczącego grubasa, dając mu znak, aby powstał. - Wiernie mi służył i pragnę zatrzymać go przy sobie. Uściskajcie go, uściskajcie!

Kapitan generalny Lombardów powstał, a Guccio go objął.

- Wszystko wykupiłem, jak mi pisałeś, i po sześć za dziesięć - szepnął Tolomei do ucha Guccia, podczas gdy Dueze błogosławił tłumy. - Ten papież jest nam teraz winien kilka tysięcy liwrów. Świetnieś się spisał, mój chłopcze. Moja krew płynie w twoich żyłach.

Ktoś za nim miał równie kwaśną minę jak kardynałowie; był to signor Boccaccio, główny przedstawiciel Bardich.

- Ach! Więc ty byłeś w środku, nieponiu - rzekł do Guccia. - Gdybym o tym wiedział, nigdy nie odprzedałbym wiarygodności.

- A Maria? Gdzie Maria? - z niepokojem pytał Guccio wuja.

- Twoja Maria czuje się dobrze. Jest równie piękna, jak ty chytry, i jeżeli mały Lombard co jej wydyma łono po was dziedziczy, da on sobie radę w życiu. Ależ idź prędko, idź mój chłopcze! Widzisz przecie, że Ojciec Święty cię woła.





### III

## Zapłata za zbrodnię

Obecność na koronacji była dla regenta Filipa sprawą zasadniczej wagi; pragnął wystąpić jako opiekun chrześcijaństwa.

- Elekcja Dueze'a - mówił - kosztowała mnie dość trudów i trosk. Słusznie się należy, aby mi teraz pomógł umocnić moje rządy. Chcę być w Lyonie na jego koronacji.

Ale wieści z Artois wciąż budziły niepokój. Robert bez trudu zajął Arras, Avesnes, Therouanne i nadal zdobywał prowincję. W Paryżu Karol de Valois skrycie go popierał.

Wierny swej zwykłej taktyce okrażania regent począł działać w okolicach graniczących z Artois, aby uniknąć rozszerzenia rebelii. Napisał do baronów w Pikardii przypominając o przysiędze wierności złożonej francuskiej Koronie; uprzejmie dał im do zrozumienia, iż nie ścierpi żadnego uchybienia w wypełnianiu ich obowiązków; wysłał do poszczególnych okręgów zacieźne zastępy oraz zbrojnych sierżantów, aby nadzorowali tamte okolice. Flamandom, po upływie roku drwiącym nadal z nieudanej wyprawy Kłótliwego, który wpakował swe wojska w bagna, Filip zaproponował nowy traktat pokojowy bardzo dla nich korzystny.

- W tym rozprężeniu, z którego mamy wybrnąć, trzeba trochę stracić, aby uratować całość - wyjaśnił regent swoim doradcom.

Hrabia Flandrii świadom, że nigdy mu się nie zdarzy tak dobra sposobność do zawarcia układu, zgodził się na pertraktacje i pozostał neutralny w sprawach sąsiedniego hrabstwa, mimo że zięć jego Jan de Fiennes był jednym z pierwszych namiestników Roberta.

Filip więc istotnie zamknął granice hrabstwa Artois. Wysłał wówczas Gauchera de Chatillon, aby prowadził układy bezpośrednio z przywódcami rebelii i zapewnił ich o życzliwych intencjach hrabiny Mahaut.

- Wysłuchajcie mnie uważnie, Gaucher. Wcale nie powinniście rozmawiać z Robertem - zalecił konetablowi - byłoby to bowiem uznaniem praw, których się domaga. Uważamy nadal, że jest pozbawiony hrabstwa Artois, zgodnie z wyrokiem mego ojca. Jedziecie wyłącznie w celu załatwienia sporu między hrabiną a jej wasalami. Robert zaś; naszym zdaniem, nie ma z tym nic do czynienia.

- Czy naprawdę, Dostojny Panie, chcecie zapewnić całkowity triumf waszej teściowej? - spytał konetabl.

- Wcale nie, Gaucher, wcale nie, jeżeli nadużyła swych praw, tak jak przypuszczam. Pani Mahaut jest bardzo władcza i sądzi, że każdy urodził się po to, by służyć jej po ostatni obol<sup>24</sup> w trzosie i ostatnią kroplę potu. Chcę pokoju - ciągnął dalej regent - a w tym celu trzeba oddać każdemu, co mu się sprawiedliwie należy. Wiemy, że ludność miejska sprzyja hrabinie, ponieważ mieszczaństwo stale kłóci się ze szlachtą, rycerze zaś stanęli po stronie Roberta, aby poprzeć własne pretensje. Rozpatrzcie więc, czy

skargi są uzasadnione i postarajcie się uczynić im zadość, wszelako bez uszczerbku dla Korony; usiłujcie też oderwać baronów od naszego kuzyna warchoła, przekonując ich, że więcej osiągną u nas drogą sprawiedliwości niż razem z nim gwałtem.

- Mądrym jesteście człowiekiem, Dostojny Panie, wybornie znacie się na rzeczy - rzekł konetabl. - Nie myślałem, że będzie mi dane na stare lata służyć z taką ochotą księciu tak mądrymu, a który jeszcze nie osiągnął jednej trzeciej mego wieku.

Jednocześnie regent kazał hrabiemu de Forez prosić papieża, by opóźnił nieco termin koronacji. Jan XXII mimo uzasadnionego pośpiechu, aby uświęcić swą elekcję, wielce uprzejmie zgodził się na dwutygodniową zwłokę.

Ale po upływie dwóch tygodni daleko jeszcze było do uregulowania konfliktu w Artois, układ zaś z Flamandami nie mógł być ratyfikowany przed 1 września. Filip tym razem za pośrednictwem delfina z Vienne poprosił o ponowne odłożenie uroczystości. Jednakże ku zdziwieniu regenta Jan XXII okazał się bardzo stanowczy i prawie nieuprzejmy, wyznaczając swą koronację nieodwołalnie na 5 września.

Zależało mu na tej dacie z bardzo ważnych powodów, które krył w tajemnicy, a zresztą ogół by ich nie pojął. Istotnie 5 września roku 1300 został wyświęcony na biskupa Frejus; w pierwszym tygodniu września 1309 roku odbyła się koronacja jego protektora króla Roberta Neapolitańskiego, a jeśli dzięki sfałszowaniu pisma królewskiego uzyskał mitrę biskupa Awinionu, to fortel ten udał się właśnie 4 września 1310 roku.

Nowo obrany papież był w zażyłych stosunkach z gwiazdami i umiał posługiwać się koniunkcjami słonecznymi przy planowaniu poszczególnych etapów swej kariery.

„Jeśli obowiązki wobec królestwa - dał odpowiedź - przeszkodzą wielce umiłowanemu przez nas Dostojnemu Panu regentowi znaleźć się u naszego boku w tym uroczystym dniu, wielce będziemy nad tym boleli, lecz wówczas nie lękając się dlań zbyt długiej drogi, udamy się do Awinionu, aby włożyć tiarę”.

Filip de Poitiers podpisał układ z Flamandami 1 września rano. Piątego o świcie przybył do Lyonu wraz z hrabiami de Valois i de Marche, których nie chciał pozostawić w Paryżu bez swego nadzoru, oraz z hrabią Ludwikiem d'Evreux.

- Zmusiliście nas do jazdy z szybkością kurierów, bratanku - rzekł Valois zsiadając z konia.

Zaledwie mieli czas przebrać się w szaty, specjalnie przygotowane na uroczystość, a zamówione przez skarbnika Galfryda de Fleury. Regent włożył rozciętą z przodu szatę z tkaniny barwy kwiatów brzoskwini, podbitą futrem z dwustu dwudziestu sześciu brzuszków popielic. Karol de Valois, Ludwik d'Evreux, Karol de la Marche, a także Filip de Valois, który również przybył na uroczystość, otrzymali w darze po szacie z kamchy podobnie podbitej futrem.

Lyon tonął w chorągwiach, roił się niezliczonym tłumem, który zjechał, aby oglądać pochód.

Jan XXII przybył na koniu pod prymasowską katedrę Świętego Jana, poprzedzał go regent Francji. Wszystkie dzwony w mieście były z pełnym rozmachem. Wodze papieskiego rumaka trzymał z jednej strony hrabia d'Evreux, a z drugiej hrabia de la Marche. Monarchia francuska otoczyła papieża ze wszystkich stron. W ślad za nimi szli kardynałowie w czerwonych kapeluszach włożonych na kaptury, a związanych na wstęgi pod brodą. Skrzyły się w słońcu mitry biskupów.

Potomek rzymskiego patrycjatu kardynał Orsini włożył tiarę na głowę Jakuba Dueze, syna mieszczan z Cahors.

Guccio miał dobre miejsce w katedrze i podziwiał swego pana. Mały staruszek o chudym podbródku i wąskich ramionach, przed czterema tygodniami uważany za konającego, dźwigał bez trudu ciężkie kapłańskie insygnia, które nań wkładano. Iście faraonński rytuał tej niezmiernie długiej ceremonii, wynoszącej go ponad bliźnich, czyniącej zeń symbol bóstwa, działał na jego osobę niemal poza świadomością i okrywał rysy niespodziewanym, wruszającym majestatem, coraz bardziej widocznym w miarę celebrowania obrzędu. Nie mógł jednakże powstrzymać lekkiego uśmiechu, gdy mu wkładano papieskie sandały.

„Scarpinelli! Zwali mnie Scarpinelli... kardynał Cizemkowicz... - rozmyślał. - Wmawiali, że jestem synem szewczyny. Teraz mam na nogach cizemki... O Panie! Wyniosłeś mnie tak wysoko, że już niczego więcej nie pożądam. Pragnę tylko oddać wszystkie me siły, aby dobrze rządzić Twoim Kościołem”.

Obecnie ten ambicjusz, gdy zostały zaspokojone wszystkie jego ambicje, ten oszust, gdy udały się wszystkie jego oszustwa, stawał się posłusznym narzędziem dla doskonałego pełnienia najwyższej władzy.

Tego samego dnia regent doręczył jego bratu, Piotrowi Dueze, akt nobilitacyjny. Rodzina papieża wedle panującego zwyczaju otrzymywała herb. Ale dokument, który podyktował osobiście Filip de Poitiers, choć miał na celu czcić Ojca Świętego poprzez jego brata, precyzował także odbiegające od tradycji poglądy i postawę młodego księcia w zakresie prawa do szlachectwa. „Ani dobra rodowe - głosił dokument - ani nabyte bogactwo, ani jakiegokolwiek inne względy fortuny nie nadają słusznego prawa cnót i zasług; zwykły przypadek obdarza nimi tak zasłużonych, jak i nie zasłużonych, tak godnych jak i niegodnych... Natomiast każdy staje się synem własnego dzieła i własnych zasług, podczas gdy nie ma żadnego znaczenia, skąd pochodzimy, jeśli nawet jest wiadome, od kogo pochodzimy...”

Valois drżał z oburzenia, słysząc takie tezy, które uważał za wywrotowe i gorszące.

Regent jednak nie po to odbył tak długą podróż i obdarzył nowego papieża tak wielkimi oznakami szacunku, aby w zamian nic nie uzyskać. Między owymi dwoma mężami, których dzieliło pół wieku... „wy jesteście świtem, Dostojny Panie, a ja jestem zmierzchem” mówił Filipowi Dueze... istniało pewne powinowactwo i subtelne zrozumienie. Ani Jan XXII nie zapomniał obietnic Jakuba Dueze'a, ani regent przyrzeczeń hrabiego de Poitiers. Gdy regent przystąpił do sprawy beneficjów kościelnych, z których annaty, czyli dochód za pierwszy rok, miały wpływać do Skarbu,



nowy papież natychmiast kazał przynieść przygotowane do podpisu dokumenty. Ale zanim przyłożono pieczęcie, Filip przeprowadził prywatną rozmowę z Karolem de Valois.

- Stryju - spytał - czy macie powód uskarżać się na mnie?

- Nie, nie, bratanku - odparł ekscesarz Konstantynopola.

Jak inaczej odpowiedzieć komuś, wobec którego jedynym zarzutem jest samo jego istnienie.

- Więc, stryju, jeśli się na mnie nie uskarżacie, dlaczego mnie nie podtrzymujecie? Kiedy przekazywaliście mi klucze od Skarbca, zapewniłem, że nie będę żądał od was rozliczenia i dotrzymałem słowa. Ale wyście złożyli mi hołd i przysięgli wierność, lecz nie dochowaliście wiary, mój stryju, bo popieracie sprawę Roberta d'Artois.

Valois zaprzeczył gestem.

- Źle rachujecie - ciągnął dalej Filip - bo Robert będzie was kosztował bardzo drogo. Nie ma ani solda, czerpie swe zasoby z przychodów, jakie mu wypłaca Skarb, a te mu obetną. Do was więc zwróci się o subsydia. Gdzie je znajdziecie, skoro już nie rządzą finansami Królestwa? Spokojnie, nie jeźcie się, nie czerwieńcie, nie rzucajcie groźnych słów, których pożałujecie, bo chcę waszego dobra. Zapewnijcie mnie, że nie będziecie wspomagać Roberta, a ja poproszę Ojca Świętego, żeby annaty z Valois i Maine zostały wpłacone bezpośrednio wam, a nie do Skarbu.

Przez chwilę nienawiść i chciwość rozdzierały serce hrabiego de Valois.

- Ile wynoszą te annaty? - spytał.

- Od dziesięciu do dwunastu tysięcy liwrów, drogi stryju, bo należy wliczyć dochody nie pobierane w ostatnich latach rządów mego ojca i przez całe panowanie Ludwika.

Dla tonącego w długach Valois owe dziesięć czy dwanaście tysięcy liwrów, które miał otrzymać w ciągu roku, były manną z nieba.

- Jesteście zycznym bratankiem i rozumiecie moje potrzeby - odpowiedział. - Nakazę Robertowi, aby się z wami pojednał, a jeśli nie usłucha, zagrozę mu, iż cofnę moje poparcie.

Filip wracał wolno, załatwiając po drodze różne sprawy; ostatni postój wyznaczył w Vincennes, aby przekazać Klemencji błogosławieństwo nowego papieża.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała królowa - że nasz przyjaciel Dueze przybrał imię Jana, bo ja także wybrałam to imię dla mojego dziecka, kiedy podczas burzy złożyłam ślub na okęcie, co mnie przywiózł do Francji.

Nadal jakby okazywała obojętność wobec spraw dotyczących władzy, pochłaniały ją wspomnienia małżeńskie i macierzyńskie troski. Pobyt w Vincennes sprzyjał jej zdrowiu; odzyskała urodę i w tuszy siódmego miesiąca rozkwitła, jak to niekiedy widuje się pod koniec trudnej ciąży.

- Jan to imię nieodpowiednie dla króla Francji - rzekł regent - nigdy nie mieliśmy Jana.

- Bracie mój, powiadam, że złożyłam ślub.

- Tedy go uszanujemy... Jeśli urodzicie chłopca, będzie się zwał Janem Pierwszym.

W pałacu na wyspie Cité Filip spotkał swą żonę; bardzo szczęśliwa przewijała małego Ludwika Filipa, który wrzeszczał z całych sił

dwumiesięcznego niemowlęcia. Ale zawiadomiona o przybyciu zięcia przybyła z pałacu Artois hrabina Mahaut z zakasnymi rękawami, twarzą w ogniu i wściekłym wzrokiem.

- Ach, zdradzają mnie, synu, jak was tu nie ma! Czy wiecie, co wyprawia w Artois wasz łajdak Gaucher?

- Gaucher jest konetabłem, matko, i niedawno wcale nie uważałyście go za łajdaka. Co wam takiego zrobił?

- Odmówił mi racji! - huknęła Mahaut. - Całkiem potępił. Wasi wysłannicy kumają się jak przekupki na targu z moimi wasalami, a ci wymogli na nich oświadczenie, że nie wrócę do Artois... czy rozumiecie, zabronić mi wstępu do mego hrabstwa!... dopóki nie przypieczętuję tej nikczemnej ugody, czego właśnie odmówiłam Ludwikowi w ubiegłym grudniu; a co więcej chcą, żebym zwróciła nie wiadomo jakie podatki, które wedle nich nieprawnie pobrałam.

- To wszystko wydaje mi się słuszne. Wysłannicy właśnie wypełniali moje rozkazy - spokojnie odpowiedział Filip.

Oniemiała ze zdziwienia Mahaut, otworzywszy szeroko oczy, stała chwilę z półotwartymi ustami. Po czym podjęła, krzyżąc jeszcze głośniej:

- Słusznie plądrować moje zamki, wieszać moich sierżantów, niszczyć moje plony! I to na wasz rozkaz popierają mych wrogów? Wasze rozkazy! Pięknie mi odpłacacie za wszystko, co zrobiłam dla was!

Gruba fioletowa żyła nabrzmiewała jej na czole.

- Poza tym, że dałyście mi waszą córkę - odparł Filip - nie wiem, coście takiego dla mnie zrobiła, żebym musiał krzywdzić moich poddanych i dla waszej korzyści narażać pokój w całym królestwie.

Mahaut zawahała się chwilę pomiędzy ostrożnością a gniewem. Ale użyte przez zięcia słowa „moich poddanych” - zwrot królewski - ukłuły ją do żywego. Pod naporem wściekłości wyjawiała tajemnicę, tak umiejętnie skrywaną w ciągu dziesięciu tygodni.

- A wyprawienie twego brata na tamten świat to nic nie znaczy? - spytała maszerując na niego.

Filip nie podskoczył, nie krzyknął; po prostu poszedł zamknąć drzwi. Przekręcił klucze w zamku i wsunął je za pas. Dogadzała mu walka tylko w zamkniętych szrankach. Przerazenie ogarnęło Mahaut, a zwłaszcza gdy zobaczyła wyraz twarzy, z jakim ku niej się zwrócił.

- A więc to wy - rzekł półgłosem - i to, o czym poszeptuje się w królestwie, jest prawdą!

Mahaut stawiała czoło, bo w naturze jej leżało atakować.

- A wy byście chcieli, żeby to był kto, mój zięciu? Myślicie, że komu zawdzięczacie stanowisko regenta i to, że może pewnego dnia przywłaszczycie sobie koronę? Dalejże. Nie udawajcie tak naiwnego. Wasz brat odebrał mi Artois; Valois judził go przeciw mnie, a wy, wy byliście w Lyonie i zajmowaliście się papieżem... wciąż ten papież, co wpada w moje sprawy jak śliwka w kompot! Nie róbcie z siebie świętoszka i nie mówcie mi, że żałujecie Ludwika! Wcale nie żywiście do niego sentymentu, byliście bardzo radzi, że dostarczyłam wam jeszcze ciepłe miejsce po nim, trochę przygotowując mu migdały i nie obciążając niczym waszego sumienia. Ale nie spodziewałam się, że będziecie wobec mnie jeszcze

bardziej niezyczliwi niż on.

Filip usiadł, splótł długie ręce i rozmyślał.

„Musiało do tego dojść dziś czy jutro - rozważała Mahaut. - Poniekąd może i lepiej, mam go teraz w garści”.

- Czy Joanna wie? - spytał nagle Filip.

- Nic nie wie.

- Kto wie oprócz was?

- Beatrycze, moja panna dworu.

- Za dużo - rzekł Filip.

- Ach, tej nie ruszajcie! - zawołała Mahaut. - Ma możną rodzinę.

- Oczywiście, ta rodzina zdobyła wam wielką miłość w Artois! A poza Beatrycze? Kto wam dostarczył tej jak to nazywacie, przypraw?

- Czarownica z Arras; nigdy jej nie widziałam, ale Beatrycze ją zna. Udałam, że chcę się pozbyć jeleni, które zanieczyszczają mój park, postarałam się zresztą, żeby wiele z nich zdechło.

- Trzeba by poszukać tej kobiety - rzekł Filip.

- Czy rozumiecie teraz - podjęła Mahaut - że nie możecie mnie opuścić? Bo jeśli wrogowie uwierzą, że pozostawiliście mnie bez oparcia, nabiorą odwagi, pomnożą się oszczerstwa...

- Plotki, matko, plotki... - sprostował Filip.

- ... i jeśli oskarżą mnie o to, o czym wiecie, ciężar winy spadnie i na was, bo nie omieszkają rozpowiadać, że zrobiłam to dla was, co jest prawdą, a wielu pomyśli, że działałam na wasz rozkaz.

- Wiem, matko, wiem. Właśnie już o tym wszystkim myślałem.

- Rozważcie, Filipie, że narażałam w tym przedsięwzięciu zbawienie mojej duszy. Nie bądźcie niewdzięcznikiem.

Filip parsknął krótkim śmiechem i na równie krótko wybuchnął gniewem.

- Ach! Tego za wiele, matko! Czy wkrótce zażądacie, żebym całował wasze stopy za otrucie brata? Gdybym wiedział, że taka jest cena regencji, nigdy bym jej nie przyjął! Potępiam mord; nigdy nie trzeba zabijać, żeby osiągnąć swe cele; to sposoby podłej polityki i rozkazuję wam, abyście nigdy się nimi nie posługiwały, dopóki będę waszym suzerenem.

Przez chwilę kusiła go uczciwość. Zebrać Radę Parów, wyjawic zbrodnię, zażądać kary... Mahaut domyślając się, jakie miotają nim myśli, przeżyła ciężkie chwile. Ale Filip nigdy nie ulegał impulsom, nawet chwalebny. Postępując tak, jak sobie wyobrażał, zniesławiłby i żonę, i siebie. A do jakich oskarżeń byłaby zdolna Mahaut, żeby bronić siebie albo zgubić wraz ze sobą tego, kto jej nie bronił? Siłą rzeczy odnowiłyby się spory wokół ustawy regencyjnej. Filip za wiele uczynił dla królestwa i za wiele marzył o tym, co uczyni, aby się narażać na ryzyko utraty władzy. Rozważywszy wszystko, brat jego Ludwik był marnym królem, a ponadto mordercą. Może było wolą Opatrzności ukarać mordercę mordem i oddać Francję w godniejsze ręce.

- Bóg was osądzi, matko, Bóg osądzi was - rzekł. - Chciałbym tylko uniknąć, aby z powodu was płomienie piekielne nie jeły nas lizać za życia. Muszę zapłacić należność za waszą zbrodnię, a nie mogąc was wtrącić do lochu, w istocie muszę was poprzeć. Pan Gaucher otrzyma pojutrze inne

wskazówki. Nie kryję przed wami, że sprawia mi to wielką przykrość.

Mahaut chciała go uściskać. Odepchnął ją.

- Ale zapamiętajcie - podjął - że odtąd trzykrotnie będę próbować moich potraw i przy pierwszym bólu żołądka, jaki mi trochę dokuczy, godziny waszego życia będą dokładnie policzone. Módlcie się więc o moje zdrowie.

Mahaut pochyliła czoło.

- Synu mój, będę ci tak służyć - rzekła - że znów mnie obdarzysz synowską miłością.





## IV

### „Ponieważ wypada nam wszcząć wojnę”

Nie pojął nikt, a zwłaszcza Gaucher de Chatillon, nagłego zwrotu Filipa de Poitiers w sprawach Artois. Regent niespodziewanie odwołał swych wysłanników oświadczając, że przygotowana przez nich ugoda jest nie do przyjęcia i zażądał opracowania nowej umowy bardziej korzystnej dla Mahaut. Wynik nie dał na siebie czekać. Negocjacje zostały zerwane, a przedstawiciele szlachty z Artois, reprezentujący umiarkowany odłam, natychmiast dołączyli się do zwolenników rokoszu. Oburzenie ich nie znało granic; konetabl oszukał ich nikczemnie; naprawdę jedyna ucieczka była w przemocy.

Hrabia Robert triumfował.

- Czyż nie mówiłem wam, że nie można wieść układów z takimi zdrajcami? - powtarzał wszystkim.

Na czele rebelianckich wojsk znów ruszył na Arras.

Gaucher, któremu w mieście towarzyszyła tylko skromna eskorta, ledwie miał czas wymknąć się przez bramę Peronne, podczas gdy Robert z rozwiniętymi sztandarami wśród grzmiących fanfar wkraczał przez bramę Saint-Omer. Jeszcze kwadrans, a konetabl Francji zostałby pojmany w niewolę. Zajście to miało miejsce 22 września. Tegoż dnia Robert wysłał do swej stryjny list następującej treści:

„Do Jaśnie Oświeconej i Wysoce Szlachetnej Damy Mahaut d’Artois hrabiny Burgundii - Robert d’Artois, rycerz. Ponieważ niegodnie zaprzeczyłyście mi prawa do hrabstwa Artois, co wciąż mnie wielce krzywdzi i gnębi, a której to sprawy ani mogę, ani chcę ścierpieć, czynię wam wiadomym, iż zaprowadzę tu ład i jak najrychlej odzyszczę me dobra”.

Robert nie miał talentu do pisania listów; subtelność nie była jego zaletą, lecz radował się wielce z tej epistoły, bo wyrażała właśnie to, co chciał powiedzieć.

Kiedy konetabl ze skwaszoną miną dotarł do Paryża, on również wygarnął hrabiemu de Poitiers to, co myślał. Nie onieśmiała go osoba regenta, widział był tego młodzieńca jako niemowlę, gdy moczył pieluszki; rzekł wszystko prosto w oczy dorzucając, że nie postępuje się tak z dobrym sługą i wiernym krewniakiem, który ma za sobą dwadzieścia lat służby na stanowisku wodza wojsk królewskich i nie wysyła się go na pertraktacje wraz z gwarancjami, które się następnie cofa.

- Do dziś, Dostojny Panie, uchodziłem za człowieka honoru, którego słowo nie mogło budzić wątpliwości. Wyście zmusili mnie grać rolę zdrajcy i łotra. Kiedy popierałem wasze prawa do regencji, sądziłem, że odnajdę w was cośkolwiek z mojego króla, waszego ojca, do którego dotąd wykazywaliście podobieństwo. Widzę, że się okrutnie zawiodłem. Czy tak podpadliście pod wpływ nienawiści, że zmieniacie teraz zdanie jak

rękawice?

Filip usiłował uspokoić konetabla oskarżając siebie, że początkowo mylnie osądził sprawę i dał błędne instrukcje. Wdawać się w układy ze szlachtą z Artois na nic się zda, póki Robert nie zostanie pokonany. Robert stanowi groźbę dla królestwa i niebezpieczeństwo dla honoru królewskiego. Czyż to nie on podszczuwał do tej oszczerczej kampanii, która wskazywała na Mahaut jako trucicielkę Ludwika X?

Gaucher wzruszył ramionami.

- Kto uwierzy w te bzdury? - wykrzyknął.

- Nie wy, Gaucher, nie wy - rzekł Filip - ale inni nadstawiają ucha aż nazbyt radzi, że w ten sposób nam zaszkodzą; jutro zaś powiedzą, iż ja i wy przyczyniliśmy się do tego zgonu, który chcą przedstawić jako podejrzany. Ale Robert zrobił fałszywy krok - czegoś się spodziewał. Patrzcie, co napisał do hrabiny.

Podał konetablowi odpis listu z 22 września i mówił dalej:

- Robert odrzuca w liście wyrok który ojciec mój kazał wydać Parlamentowi w 1309 roku. Aż dotąd wspierał tylko przeciwników hrabiny, a teraz już buntuje się przeciw prawom królestwa. Jutro wracacie do Artois.

- O nie, Dostojny Panie! - zawołał Gaucher. - Zbyt się tam zhańbiłem! Musiałem uciekać z Arras jak stary dzik przed psami, nie mając nawet czasu, żeby się wysiusiać. Raczcie łaskawie wybrać kogoś innego do dalszego prowadzenia tej sprawy.

Filip splótnął ręce przysłonił nimi usta. „Gdybyś wiedział, Gaucher - rozmyślał - gdybyś wiedział, jak mi ciężko cię oszukiwać! Ale gdybym ci wyznał prawdę, jeszcze bardziej byś mną gardził!” Znowu podjął z uporem:

- Wróćcie do Artois, Gaucher, ponieważ mnie miłujecie i dlatego, że was o to proszę. Zabierzcie ze sobą waszego krewniaka, pana Milesa i tym razem silny zastęp rycerzy oraz ludzi z pospólstwa, pobierając posiłki z Pikardii; wezwiecie Roberta, aby się stawił przed Parlamentem i zdał sprawę ze swego postępowania. Równocześnie wesprzecie pieniędzmi i zbrojnymi mieszczan w tych grodach, które dochowały nam wierności. Jeśli zaś Robert nie podda się, wtedy rozważę, jak go zmusić w inny sposób... Książę jest takim samym człowiekiem jak inni ludzie, Gaucher - ciągnął dalej Filip, biorąc za ramiona konetabla - może początkowo błądzić, ale popełniłby większy błąd, gdyby się upierał. Rzemiosła królewskiego należy się uczyć jak każdego innego i ja muszę się jeszcze go uczyć. Wybaczcie mi przykrą sytuację, w jakiej się znaleźliście z mego powodu.

Nic tak nie wzrusza starszego człowieka jak przyznanie się przez młodszego do braku doświadczenia, a zwłaszcza gdy ten jest jego przełożonym. Oczy Gauchera zwilgotniały pod żółwimi powiekami.

- Ach! Zapomniałem - podjął Filip. - Postanowiłem, że będziecie opiekunem dziecka pani Klemencji... naszego więc króla, jeśli Bóg zechce, że to będzie chłopak... i zaraz po mnie jego drugim ojcem chrzestnym<sup>25</sup>.

- Dostojny Panie, Dostojny Panie Filipie... - rzekł przejęty wzruszeniem konetabl.

Wtulił się w ramiona regenta, jakby sam był winowajcą.

- Postanowiliśmy z panią Klemencją - dodał Filip - że na matkę chrzestną zaprosimy hrabinę Mahaut, żeby uciąć wszystkie złośliwe plotki.

W tydzień później konetabl znów ruszył w drogę do Artois.

Robert, jak można było przewidzieć, odmówił stawienia się na wezwanie i grasował nadal na czele swych pancernych band. Ale październik nie był dlań przychylny. Choć był walecznym rycerzem, nie był dobrym strategiem; bez ładu i składu wysyłał oddziały dziś na północ, jutro na południe, zależnie od kaprysu. Ten historyczny poprzednik rajtarów i kondotierów był raczej stworzony, aby zaciągnąć się w czyjąś służbę niż samemu dowodzić. W hrabstwie, które uważał za swoją ziemię, postępował jak w nieprzyjacielskim kraju, prowadził życie, jakie lubił, zbójckie, niebezpieczne i rozpasane. Radował się strachem, jaki zbliżając się budził, lecz nie dostrzegał nienawiści, którą za sobą zostawiał. Drogę jego znaczyło nazbyt wielu wisielców na gałęziach, nadmiar świętych głów, za wielu żywcem pogrzebanych wśród głośnych, okrutnych śmiechów; zbyt wiele zgwałconych dziewcząt, które zachowały na ciele blizny od kolczugi, za częste łuny pożarów. Matki napominając dzieci, aby były grzeczne, straszyły je, że przyzwą hrabiego Roberta, lecz skoro wieść nadchodziła że się zbliża, natychmiast wsadzały dzieciaki do zarzuconej przez ramię spódnicy i biegły do najbliższego lasu.

Barykadowały się miasta; rzemieślnicy pouczeni przykładem gmin flamandzkich ostrzyli noże, a ławnicy utrzymywali łączność z wysłannikami Gauchera. Robert lubił bitwy na otwartym polu, nie cierpiał oblężenia. A jeśli mieszczanie z Saint-Omer lub Calais zamykali mu bramy przed nosem? Wzruszał ramionami mówiąc:

- Wrócę któregoś dnia i powyrzynam was wszystkich. - I szedł baraszkować nieco dalej.

Ale pieniędzy poczęło brakować. Valois nie odpowiadał na prośby, zaś jego nieliczne listy zawierały tylko wyrazy przyjaznych uczuć oraz nawoływanie do rozsądku. Tolomei, drogi bankier Tolomei, także udawał głuchego. Podróżował; jego urzędnicy nie mieli polecenia... Sam papież interweniował, napisał osobiście do Roberta i kilku baronów w Artois, aby przypomnieć im o obowiązkach...

Pewnego ranka pod koniec października regent przewodnicząc radzie oświadczył z wielkim spokojem, jaki zwykle cechował wszelkie jego decyzje.

- Wasz kuzyn Robert zbyt długo drwi z naszej władzy. Ponieważ wypada nam wszcząć wojnę, ruszemy nań z oriflamą którą weźmiemy z opactwa Saint-Denis w ostatnim dniu bieżącego miesiąca; jako że pan Gaucher jest nieobecny, sam poprowadzę wojska, nad którymi obejmie dowództwo nasz stryj...

Oczy wszystkich skierowały się w stronę Karola de Valois, lecz Filip mówił dalej:

- ... nasz stryj, Dostojny Pan d'Evreux. Chętnie powierzylibyśmy to stanowisko Dostojnemu Panu de Valois, który dowiódł swych talentów wielkiego wodza, gdyby nie musiał on udać się do swych dóbr w Maine, aby pobrać kościelne annaty.

- Dziękuję wam bratanku - odparł Valois - bo wiecie, że bardzo lubię Roberta i mimo że potępiam jego rebelię, która wynika z jego głupiego uporu, byłoby mi przykro występować zbrojnie przeciw niemu.

Armia powołana przez regenta na wyprawę do Artois w niczym nie przypominała olbrzymich wojsk, które przed szesnastu miesiącami brat jego pogrążył w bagnach Flandrii. Wojska królewskie w wyprawie na Artois składały się z zaciężnych oddziałów oraz poboru w dobrach królewskich. Żołd był wysoki: trzydzieści soldów dziennie dla chorążego, piętnaście - dla rycerza, trzy - dla piechura. Powołano nie tylko szlachtę, lecz i chłopów. Zwołali chorągwie dwaj marszałkowie: Jan de Corbeil i Jan de Beaumont, pan na Clichy, przezwany Oskubkiem. Kuznicy Piotra de Galard stali w pogotowiu. Galfryd Coquatrix już przed dwoma tygodniami otrzymał poufne rozkazy, aby przygotować furgony i spyżę dla wojska.

30 października Filip de Poitiers wziął oriflamę w Saint-Denis. 4 listopada był w Amiens, skąd natychmiast wysłał swego drugiego szambelana Roberta de Gamaches wraz z kilku giermkami, aby zawiózł hrabiemu d'Artois ostatnie wezwanie.







## V

### Wojska regenta pojmały jednego jeńca

Szarawa słoma gniła na gliniastych, ogołoconych polach, ciężkie chmury przetaczały się po jesiennym niebie i można by rzec, że tam na skraju płaskowyżu świat się kończył. Ostre podmuchy wiatru niosły posmak dymu.

Przed wioską Bouquemaison, w tym samym miejscu gdzie przed trzema miesiącami hrabia Robert wkroczył do Artois, w rozwiniętym szyku bojowym stały wojska regenta, a proporczyki na kopiach łopotały wzdłuż półmilowego frontu.

Pośrodku, o kilka kroków od drogi, otoczony najwyższymi dowódcami stał Filip de Poitiers. Ręce w żelaznych rękawicach skrzyżował na łęku siodła; głowę miał obnażoną. Z tyłu za nim giermek trzymał jego hełm.

- Oświadczył więc tobie, że tutaj przybędzie oddać się w niewolę? - spytał regent Roberta de Gamaches, który rankiem powrócił z misji.

- Tak, tutaj, Dostojny Panie - odpowiedział drugi szambelan. - Sam wybrał miejsce... Rzekł: „na polu obok kopca granicznego z krzyżem na szczycie...” Zapewnił, że przybędzie o tercji.

- Czy jesteś pewien, że nie ma w okolicy innego kopca granicznego z krzyżem? Bo stać go, aby nas okpić, gdzie indziej stawić się i twierdzić, że mnie nie było... Myślisz, że naprawdę przybędzie?

- Tak sędzę, Dostojny Panie, był bowiem bardzo poruszony. Wyliczyłem mu wasze wojska; wyjaśniłem także, że Dostojny Pan konetabl obsadził granice Flandrii oraz miasta na Północy, zostanie więc ujęty jak w kleszcze i nie zdoła nawet wymknąć się przez bramę. Wręczyłem mu również list Dostojnego Pana de Valois z radą, aby się poddał bez walki, bo tak czy owak zostanie pokonany, oraz z wiadomością, że jesteście tak nań rozgniewany, iż grozi mu ścięcie głowy, jeśli zostanie ujęty z bronią w ręku. Zdaje się, to go bardzo zasepiło.

Regent pochylił długi tułów nad karkiem konia. Stanowczo nie lubił nosić zbroi, gdy dwadzieścia funtów żelastwa obciążało mu ramiona i nie pozwalało przeciagnąć się.

- Odszedł wówczas wraz z baronami - ciągnął dalej Gamaches - naprawdę nie wiem, o czym ze sobą mówili. Ale wyraźnie pojąłem, że część go odstąpiła, podczas gdy inni błagali, aby ich nie opuszczał. Wreszcie powrócił i dał mi tę odpowiedź, którą wam powtórzyłem, a także zapewnił, że zbyt wiele żywi szacunku dla Dostojnego Pana regenta, aby w czymkolwiek mu nie dać posłuchu.

Filip de Poitiers nie dowierzał nadal. Niepokoiła go ta zbyt łatwa uległość i kazała obawiać się zasadzki. Mrużąc oczy, spoglądał na smutny krajobraz.

- Okolica nadaje się, aby nas okrążyć i napaść od tyłu, podczas gdy my tu czekamy. Corbeil! Clichy! - zwrócił się do obu marszałków. - Wysłać

kilku chorążych na zwiad po obu skrzydłach, każcie przeszukać jary, żeby się upewnić, czy jakiś oddział tam się nie zaczął i czy nie podchodzi drogą od tyłu. Jeśli zaś dzwonnica za nami wybije tercję - dorzucił zwracając się do Ludwika d'Evreux - a Robert nie stawi się, ruszymy w drogę.

Ale niebawem w szeregach rozległy się okrzyki.

- Oto on! On ci to!

Regent znów zmrużył powieki, lecz nikogo nie dostrzegł.

- Naprzeciw, Dostojny Panie - powiedziano mu - wprost na prawo od waszego wierzchowca. Na szczycie.

Robert d'Artois przybywał bez towarzyszy, bez giermka, nawet bez pacholka. Jechał stępą, wyprostowany na ogromnym koniu i w tym osamotnieniu wydawał się jeszcze bardziej olbrzymi, niż był w istocie. Jego płomienna sylwetka odcinała się od skłębionego nieba i zdawało się, że ostrze kopii zahacza o chmury.

- Takie przybycie do was, to jeszcze jeden dowód szyderstwa, Dostojny Panie.

- Niech tam szydzi ze mnie, niech szydzi! - odparł Filip de Poitiers.

Rycerze wysłani na zwiad wrócili cwałem, zapewniając, że okolice są całkiem spokojne.

- Myślałem, że się bardziej zaciął w rozpacz - rzekł regent.

Ktoś inny niewątpliwie wydałby widowisko i sam by podjechał ku samotnemu mężowi. Ale Filip de Poitiers inaczej pojmował własną godność; zamierzał postąpić nie jak rycerz lecz jak król. Czekał więc nie ruszając się na krok, aż Robert d'Artois zabłocony stanie przed nim w obłoku pary.

Cała armia powstrzymała dech, rozlegał się tylko szczeł wędzideł w końskich pyskach.

Olbrzym cisnął na ziemię kopię; regent zapatrzył się w nią bez słowa.

Robert odpiął od siodła hełm, długi, oburęczny miecz i rzucił je obok kopii.

Regent wciąż milczał i nie podnosił oczu na Roberta: jakby jeszcze na coś czekając, wpatrywał się w oręż.

Robert d'Artois postanowił zsiąść z konia, postąpił dwa kroki naprzód i z napiętymi z gniewu nerwami przykleknął wreszcie na ziemi, aby spojrzeć regentowi w oczy.

- Szlachetny kuzynie - zawołał otwierając ramiona.

Lecz Filip go pohamował.

- Kuzynie, czy nie jesteście głodny? - zapytał.

A jako że tamten zamarł w osłupieniu, spodziewając się wielkiej sceny z wymianą szlachetnych słów, podniesieniem i rycerskim uściskiem, przeto Filip dorzucił:

- Siadajcie więc na koń i jak najszybciej pędźmy do Amiens, gdzie wam podyktuję warunki pokoju. Będziecie jechać u mego boku, a zjemy po drodze... Heron! Gamaches! Weźcie oręż mego kuzyna.

Robert d'Artois zwlekał z wskoczeniem na konia i rozglądał się wokół.

- Czego szukacie? - spytał jeszcze regent.

- Niczego nie szukam, Filipie. Patrzę na to pole, żeby go nie zapomnieć - odparł d'Artois.

Położył dłoń na piersi w tym miejscu, gdzie przez kaftan mógł wyczuć aksamitny woreczek, do którego włożył jak relikwie sproszkowane dziś kłosa, zerwane w tymże miejscu ongiś letniego dnia. Uśmiech pełen buty przemknął mu po wargach.

Kłusując obok regenta, odzyskał zwykłą pewność siebie.

- Piękną armię wystawiliście tutaj, kuzynie, aby pojmać tylko jednego jeńca - rzekł z drwiną.

- Pojmanie dwudziestu chorągwi, kuzynie - odparł takimże tonem Filip - mniej by mnie radowało niż dzisiejsze wasze towarzystwo. Ale powiedzcie mi, co was skłoniło, aby się tak szybko poddać, bo ostatecznie choć mam wojska liczniejsze, dobrze wiem, że odwagi wam nie brak.

- Myślałem, że tocząc zbrojne walki, zadalibyśmy zbyt wiele cierpień biedakom.

- O, jaka nagła wrażliwość, Robercie - rzekł Filip de Poitiers. - Ostatnie raporty wcale nie mówiły, abyście dawali zbyt liczne dowody miłosierdzia.

- Nasz Ojciec Święty, nowo obrany papież raczył do mnie pisać, aby mnie oświecić.

- Jaki on teraz pobożny! - zawołał regent.

- Ponieważ słowa jego listu wiernie przypominały wasze napomnienia, zrozumiałem, że zarazem z niebem i ziemią walczyć niepodobna, postanowiłem przeto okazać się zarówno wiernym poddanym, jak i dobrym chrześcijaninem.

- Miłosierdzie, religia, wierność! Bardzo się zmieniliście kuzynie.

Filip spoglądając z ukosa na szeroki podbródek olbrzyma, jednocześnie rozważał: „Drwij sobie, drwij, za chwilę będziesz mniej zuchowaty, gdy dowiesz się o warunkach pokoju, jakie ci narzucę”.

Ale na Radzie zwołanej natychmiast po przybyciu do Amiens Robert zachował tę samą postawę. Zgodził się na wszystko, czego odeń żądano, nie buntował się, nie spierał, zdałoby się, że nawet nie słuchał czytanego mu traktatu.

Zobowiązał się oddać „wszystkie zamki, twierdze, włości oraz cokolwiek zagarnął był lub zajął”. Poręczył zwrot wszystkich warowni zdobytych przez swoich stronników. Zawarł zawieszenie broni z Mahaut aż do przyszłej Wielkanocy. Do tego czasu hrabina miała wyrazić swą wolę, a Rada Parów wypowiedzieć się co do praw obu stron. Na razie regent miał bezpośrednio rządzić hrabstwem Artois, osadzić tam jakich zechce, zarządców, urzędników i kasztelanów. Wreszcie aż do postanowienia parów dochody z hrabstwa mają pobierać hrabia d'Evreux... i hrabia de Valois.

Po wysłuchaniu ostatniej klauzuli Robert pojął, za jaką cenę Filip kupił odstęstwo jego najważniejszego sojusznika. Ale nawet wówczas nie drgnął i wszystko podpisał.

Owa niesłychana uległość jęła niepokoić regenta. „Jaki podstępny cios on szykuje?”, rozważał Filip.

Ponieważ spieszno mu było wracać do Paryża na połów królowej, polecił obu marszałkom, żeby wraz z częścią zacieężnych wojsk zastąpili w Artois konetabla i czuwali na miejscu nad wykonaniem traktatu. Robert z uśmiechem asystował przy odjeździe marszałków.

Rachunek jego był prosty. Oddając się sam w niewolę, uniknął rozbrojenia swych zastępów. Fiennes, Souastre, Picquigny oraz inni będą dalej prowadzić podjazdową, nekającą wojnę. Regent nie zdoła wystawić co dwa tygodnie podobnej armii; Skarb by nie podołał. Robert miał więc przed sobą kilka spokojnych miesięcy. Chwilowo wołał wrócić do Paryża i uważał tę sposobność za korzystną. Mogło się bowiem wkrótce zdarzyć, że zabraknie i regenta, i Mahaut.

W istocie - i to był prawdziwy powód jego uśmiechu - Robert zdołał odnaleźć damę de Feriennes, dostawczynię trucizny hrabinie d'Artois. Odnalazł ją, każąc śledzić dwóch szpiegów regenta, którzy jej również szukali. Izabela de Feriennes wraz z synem zostali aresztowani, gdy sprzedawali przybory potrzebne do rzucania uroku. Ludzie Roberta zgładzili szpiegów regenta, a teraz czarownica, złożwszy piękne i pełne zeznanie, znajdowała się pod strażą w jednym z zamków w Artois.

„Pięknie będziesz wyglądał, kuzynku - mówił sobie, spoglądając na Filipa - kiedy rozkażę Janowi de Varennes przyprowadzić mi tę kobietę i przedstawię ją Radzie Parów, żeby zeznała, w jaki sposób teściowa potrafiła zamordować dla ciebie twojego brata! I twój zacny papież w niczym ci nie pomoże”.

Przez całą drogę regent jechał u boku Roberta; na postojach jedli przy wspólnym stole; nocą w klasztorze lub królewskich zamkach spali drzwi w drzwi, a liczni słudzy regenta otaczali Roberta czujnym nadzorem. Ale pijąc, jedząc i śpiąc obok wroga, nie można obronić się przed braterskim poniekąd uczuciem; obaj kuzynowie nigdy nie zaznali podobnej zażyłości. Regent jakby nie miał za złe Robertowi kłopotów i kosztów, jakich mu ów przyczynił i jakby go nawet bawiły tłuste żarty i rzekomo szczere miny olbrzymia.

„Jeszcze trochę, a łajdak pokocha mnie na dobre! - mówił sobie Robert. - Jak go pysznie omotałem, jak go można wyprowadzić w pole!”

Gdy 11 listopada rankiem dotarli do bram Paryża, Filip nagle zatrzymał konie.

- Zacny kuzynie, przed paru dniami w Amiens poręczyliście, że wszystkie zamki zostaną przekazane moim marszałkom. Otóż z przykrością dowiaduję się, że kilku waszych przyjaciół nie podporządkowało się warunkom układu i odmawia zwrotu warowni.

Robert uśmiechnął się i bezradnym gestem rozłożył ręce.

- Poręczyliście - powtórzył Filip.

- A tak, kuzynie podpisałem się pod wszystkim, czegoście ode mnie żądali. Ponieważ jednak odebraliście mi całą władzę, rzeczą waszych marszałków jest zmusić ich do posłuchu.

Regent w zamyśleniu pogładził kark konia.

- Czy to prawda, Robercie - podjął - że wymyśliście dla mnie przyzwoite Klucznik?

- To prawda, kuzynie to prawda - odparł ze śmiechem d'Artois - bo żeby dojść do władzy, wciąż manewrowaliście różnymi drzwiami.

- Przeto, kuzynie - rzekł regent - zamieszkacie w więzieniu Chatelet i tam pozostaniecie, póki ostatni zamek w Artois nie zostanie mi wydany.

Po raz pierwszy od chwili oddania się w niewolę Robert przybladł. Cały

jego plan zawalił się. Nie posłuży się tak rychło damą de Feriennes.





## CZĘŚĆ TRZECIA

# Od żałoby do koronacji



### I

## Potrzebna mamka dla króla

**J**an I, król Francji, pogrobowiec Ludwika X Kłótliwego, narodził się w zamku Vincennes w nocy z 13 na 14 listopada 1316 roku.

Wiadomość tę ogłoszono natychmiast; panowie przywdziali jedwabne szaty. W karczmach włączęgi i opoje, dla których do wypitki każda okazja jest dobra, już od południa jęli zalewać pałę i wznosić okrzyki. Handlarze misternymi wyrobami, złotnicy, tkacze cennych sukien i pasmanterii, sprzedawcy korzeni, rybnych rarytasów i zamorskich towarów zacierali ręce, marząc o dostawach na różne fety.

Ulice promieniały radością. Rozochoceni ludzie wzajem się zagadywali, pokrzykując:

- Ano, mamy króla, kumie!

Powszechna radość przenikała nawet do klasztorów, gdzie opaci i jałmużnicy obwieszczali wiadomość, zaopatrując ją w komentarze.

W klasztornej gospodzie klarysek Maria de Cressay przed czterema dniami powiła synka, który ważył dobre osiem funtów, wzorem matki zapowiadał się na blondyna i zamknąwszy oczka ssał żarłocznie jak szczeniak.

Co chwila nowicjuszeki w białych kapturkach wchodziły do celi Marii, żeby zobaczyć, jak przewija dziecko, wpatrywać się w jej promienną twarzyczkę, gdy karmiła, spoglądać na różową pierś pełną i rozkwitłą; przeznaczone na wieczne dziewictwo podziwiałały cud macierzyństwa który znały tylko z witraży.

Chociaż bowiem trafiało się, że mniszka zgrzeszyła, nie zdarzało się to tak często jak zapewniają w swych piosenkach jarmarczni wierszokleci, a noworodek w klasztorze klarysek nie był częstym zjawiskiem.

- Król ma na imię Jan, jak moje dziecko - mówiła Maria. - W mojej rodzinie obowiązuje zwyczaj tak nazywać pierworodnego.

W tym zbiegu okoliczności upatrywała szczęśliwy omen. Nowe pokolenie chłopców będzie nosiło imię króla, tym bardziej zwracające uwagę, iż nie spotykane dotąd w rodzie królewskim. Po wszystkich

Filipkach i Ludwisiach pojawią się w całym królestwie tłumy Jasiów. „Mój będzie pierwszy” - myślała Maria.

Wczesny jesienny zmierzch począł zapadać, gdy weszła do celi młoda zakonnica.

- Pani Mario - rzekła - matka przeorysza prosi was do rozmównicy. Ktoś was tam oczekuje.

- Kto oczekuje?

- Nie wiem, nie widziałam. Lecz myślę, że odjedziecie.

Krew uderzyła Marii do twarzy.

- To Guccio, to Guccio! To ojciec... - wyjaśniła nowicjuszkom. - To na pewno mój małżonek po mnie przyjechał.

Zawiązała tasiemkę u stanika, szybko upięła włosy, przejrzała się w ciemnej szybie, która służyła jej jako zwierciadło narzuciła opończę na ramiona, zawahała się chwilę przed postawioną na ziemi kołyską. Czy zanieść dziecko, aby natychmiast sprawić Gucciowi cudowną niespodziankę?

- Patrzcie, jak ten aniołek śpi - mówiły małe nowicjuszki. - Biegnijcie, my go dopilnujemy.

- Nie wyjmujcie go z kolebki, nie ruszajcie go! - rzekła Maria. - Nie budźcie go, nie zaziębcie!

Gdy zbiegała po schodach, już ją dręczył macierzyński niepokój. „Oby się nim nie bawiły i nie upuściły go na ziemię!” Ale nogi same ją niosły do rozmównicy i zadziwiła ją własna lekkość.

Białą aulę zdobił tylko wielki krucyfiks, oświetlały ją dwie świece. Każdy przedmiot, każda postać rzucały dwa olbrzymie cienie. Matka przeorysza, wsunawszy dłonie w rękawy, rozmawiała z panią de Bouville.

Zobaczywszy żonę opiekuna łona królowej, Maria doznała uczucia wielkiego zawodu; zaraz powzięła niewytłumaczalne niezbite przekonanie, że ta wyschła osoba o twarzy posiekanej pionowymi bruzdami sprowadza jej nieszczęście.

Inna dziewczyna pomyślałaby po prostu, że nie lubi pani de Bouville, lecz u Marii wszystkie uczucia miały przebieg gwałtowny i we wszystkich swych odruchach sympatii czy wstrętu wyczuwała ostrzeżenie losu. „Jestem pewna, że przynosi mi nieszczęście” - mówiła sobie.

Pani de Bouville ostrym, nieżyczliwym wzrokiem zmierzyła ją od stóp do głów.

- Ledwie przed czterema dniami odbył się połów, a już świeżutka i różowa jak polna róża! - zawołała. - Winszuję, moja ślicznotko, rzekłoby się, że już panna gotowa zacząć od nowa. Zaprawdę Bóg traktuje z większym pobłażaniem te, co lekceważą jego przykazania, a ciężkie próby jakoby zachowuje dla najgodniejszych. Bo czy uwierzycie, moja matko - ciągnęła dalej pani de Bouville, zwracając się do przeoryszy - że nasza biedna królowa przeszło trzydzieści godzin wiała się w bólach? Jeszcze w uszach mi dźwięczą jej krzyki. Król z trudem przychodził na świat i trzeba było założyć kleszcze. Mało brakowało, by dziecko nie skonało, a wraz z nim i matka. Spowodowała to rozpacz Miłościwej Pani Klemencji po śmierci małżonka; ja zaś uważam za prawdziwy cud, że dziecko urodziło się żywe. Jak los wmiesza się, wszystko idzie na opak. Otóż Eudelina,

szafarka... wiecie dobrze...

Przeorysza dyskretnie kiwnęła głową. Chowwała w klasztorze razem z małymi nowicjuszkami jedenastoletnią dziewczynkę, nieślubną córkę Klótlwego i Eudeliny.

- ...bardzo była pomocna królowej, która wciąż ją wzywała do siebie - gadała dalej pani de Bouville. - A tu Eudelina złamała sobie rękę, spadłszy ze stołka; trzeba było zawieźć ją do szpitala. A teraz na domiar złego mamka, którą sprowadziliśmy i co czekała już od tygodnia, stwierdziła, że traci pokarm. Coś podobnego zrobić nam w takiej chwili! Bo królowa oczywiście nie jest w stanie karmić; dostała gorączki. Mój biedak Hugo miota się, kręci, dyszy i nie wie, co i jak załatwić, bo to niemęskie sprawy; zaś pan de Joinville ani krzty nie widzi i nic nie pamięta, możemy tylko pragnąć, żeby nie skonał nam na rękę. Innymi słowy, moja matko, muszę sama dbać o wszystko.

Maria de Cressay właśnie rozważała, dlaczego czynią ją powiernicą królewskich dramatów, kiedy pani de Bouville, wygłaszając nadal swą tyradę i zbliżając się do niej, powiedziała:

- Na szczęście mam głowę na karku i właśnie przypomniałam sobie, że dziewczyna, którą tu zaprowadziłam, miała rodzić... Wy sama oczywiście karmicie, wasze dziecko, jak widać, korzysta.

Zdało się, że ma za złe młodej matce jej dobre zdrowie.

- Zobaczymy z bliska - dorzuciła.

Wprawna ręką, jakby ważyła owoce na targu, obmacała piersi Marii. Dziewczyna w odruchu wstrętu skoczyła w tył.

- Śmiało możecie karmić dwoje - powiedziała pani de Bouville. - Pójdziecie ze mną, moja droga, i będziecie karmić króla.

- Nie mogę, Pani! - krzyknęła Maria, zanim nawet pomyślała jak usprawiedliwić odmowę.

- A dlaczego nie możecie? Z powodu waszego grzechu? Jesteście jednak dziewczyną ze szlchetnego rodu, a grzech nie przeszkodził wam mieć dużo mleka. Odkupicie w ten sposób waszą winę.

- Nie zgrzeszyłam, Pani, jestem zameżna!

- Tylko wy tak mówicie, moja biedaczko! Przede wszystkim nie byłoby was tutaj, gdybyście była zameżna. Zresztą nie w tym rzecz. Potrzebna nam mamka...

- Nie mogę, bo właśnie oczekuję mojego męża, który ma mnie stąd zabrać. Zawiadomił mnie, że wkrótce przyjedzie, a papież mu przyobiecał...

- Papież!... Papież!... - krzyknęła żona opiekuna. - Ale ona straciła rozum, daję słowo! Myśli, że jest mężatką, wierzy, że papież się o nią troszczy. Przestańcie nam bajać bzdury i nie bluźnijcie, używając imienia Ojca Świętego. W tej chwili pojedziecie do Vincennes.

- Nie, nie pojadę - sprzeciwiła się z uporem Maria.

Mała pani de Bouville wpadła w gniew, chwyciła Marię za kołnierz i jęła ją potrzasać.

- Patrzcie mi, co za niewdzięcznica! Puszczaj się, zachodzi w ciążę. Człek się o nią troszczy, ratuje od sądów, umieszcza w najlepszym klasztorze, a kiedy wzywa, żeby karmiła króla Francji, głupia dziewczyna



staje dęba. Nie ma co, dobra poddana! Czy wiecie, że daje wam się zaszczytne stanowisko, o które byłyby się najpierwsze w królestwie damy?

- Och, Pani! - rzuciła jej Maria prosto w twarz - dlaczego nie zwracacie się właśnie do tych najpierwszych dam, co są godniejsze ode mnie!

- Bo nie zgrzeszyły w odpowiedniej chwili, błaznice! Ach! Co też ja wygaduję. Basta, idziecie ze mną.

Gdyby wuj Tolomei albo sam hrabia de Bouville przyszli prosić o to samo Marię de Cressay, na pewno by się zgodziła. Miała szlachetne serce i chętnie by karmiła każde niemowlę zagrożone niebezpieczeństwem, a tym bardziej dziecko królowej. Skłoniły ją do tego duma i nadzieja osiągnięcia korzyści, w równej mierze co własna dobroć. Ona mamką króla, a Guccio dworzaninem papieża; wszelkie kłopoty usunięte i kariera zapewniona. Lecz żona opiekuna nie podeszła do niej z odpowiedniej strony. Ponieważ traktowała ją nie jak szczęśliwą matkę, lecz winowajczynię, nie jak godną kobietę, lecz niewolną, Maria widziała nadal w pani de Bouville zwiastunkę nieszczęścia i zacięła się w bezmyślnym uporze. Jej wielkie, szafirowe oczy skrzyły się oburzeniem pomieszany z lękiem.

- Mleko zachowam dla mojego syna - powiedziała.

- Zobaczmy to jeszcze, złośnico! Jeśli nie posłuchacie mnie dobrowolnie, wezwę giermków, którzy czekają i zabiorą was siłą.

Wmieszała się matka przeorysza; klasztor stanowi azyl i ona nie pozwoli go pogwałcić.

- Nie zamierzam wcale pochwalać postępowania mojej krewniaczki - rzekła - ale została powierzona mojej opiece...

- Przeze mnie, moja matko! - krzyknęła pani de Bouville.

- To jeszcze nie powód, żeby zadawać jej gwałt w tych murach. Maria wyjdzie dobrowolnie albo na rozkaz Kościoła.

- Albo króla! Bo jesteście klasztorem królewskim, nie zapominajcie. Występuję w imieniu mego małżonka, jeśli chcecie rozkazu konetabla, opiekuna króla, a który właśnie powrócił do Paryża albo też rozkazu samego regenta, pan Hugo potrafi go uzyskać. Zajmie to nam trzy godziny czasu, lecz zmuszę do posłuchu.

Przeorysza odwiodła na stronę panią de Bouville, aby ją zapewnić, że wypowiedź Marii tycząca papieża nie była całkowicie pozbawiona podstaw.

- A co mnie to obchodzi - powiedziała pani de Bouville. - Ja muszę króla utrzymać przy życiu i tylko ją mam pod ręką.

Wyszła, wezwała ludzi ze świty i kazała im ująć buntownicę.

- Jesteście pani świadkiem - rzekła przeorysza - że nie wyraziłam zgody na to porwanie.

Maria szamotała się na podwórku między dwoma giermkami i krzyczała:

- Moje dziecko! Chcę do mojego dziecka!

- To prawda - rzekła pani de Bouville - trzeba jej pozwolić, aby zabrała dziecko. Tak się buntuje, że tracimy przez nią głowę.

W kilka minut później, pospiesznie spakowawszy manatki, z przytulonym do piersi dzieckiem Maria przekroczyła ze szlochom próg gospody.

Za furtaa czekały dwie zaprzężone lektyki.

- Patrzcie! - zawołała pani de Bouville. - Przyjeżdża się po nią z lektyką jak po księżniczkę, a ona krzyczy i sprawia tysiące kłopotów.

Otoczona mrokiem nocy, w wysłanym kobiercami drewnianym pudle o łopocących zasłonach, przez które wnikał listopadowy chłód, wstrząsana przeszło godzinę klusem mułów Maria dziękowała w myśli braciom, że wyjeżdżając z Cressay, zmusili ją do zabrania grubej opończy. Czyż nie dość cierpiała, wyjeżdżając do Paryża w ciężkim okryciu? „Czyż nigdy nie opuszczę żadnego miejsca bez rozpacz i łez? - rozmyślała. - Czy zasłużyłam, żeby los tak się nade mną pastwił?”

Niemowlę spało owinięte w fałdy grubego płaszcza. Czując tę małą, spokojną i nieświadomą istotkę wtuloną między piersi, Maria powoli odzyskiwała rozsądek. Zobaczy królową Klemencję, opowie jej o Gucciu, pokaże relikwiarzyk. Królowa jest młoda, jest piękna i litościwa dla biedaków... „Królowa... będę karmić dziecko królowej” - myślała Maria, nareszcie uprzytamniając sobie dziwną i niespodziewaną przygodę, jaką pani de Bouville, władcza i napastliwa, ukazała jej wyłącznie w ohydny światło...

Zgrzyt zwodzonego mostu, który opuszczano, głucho stąpanie koni po drewnianych dylach, a potem dźwięk kopyt na flizach podwórca... Kazano Marii wysiąść, przeszła między grupą uzbrojonych żołnierzy, minęła kamienny, ledwo oświetlony korytarz, zobaczyła grubego mężczyznę w kolczudze, poznała w nim hrabiego de Bouville. Wokół Marii rozległy się szepty; usłyszała kilkakrotnie powtórzone słowo: „gorączka”. Dano jej znak, by szła na palcach; uniosła się zasłona.

Mimo choroby zwyczajne w komnacie położnicy zostały zachowane. Ale pora kwiatów minęła i na podłodze można było rozsypać jedynie późne pożółkłe liście, które jeły gnić pod nogami. Wokół łoża ustawiono krzesła dla gości, którzy nie nadejdą. Stała tu położna, rozcierając w palcach wonne zioła. W kominie na żelaznych trójnogach kipiały szarawe wywary.

Z ustawionej w kącie kołyski nie dochodził żaden szmer.

Królowa Klemencja leżała na wznak, uniesione bólem uda tworzyły garb pod prześcieradłem. Policzki jej były czerwone, oczy błyszcząły. Maria zauważyła przede wszystkim gęstwinę złotych włosów, rozsypanych na poduszkach i gorączkowy wzrok, który zdawał się nie widzieć tego, w co się wpatrywał.

- Pić, bardzo chcę pić... - jęczała królowa.

Położna szepnęła do ucha pani de Bouville:

- Miała dreszcze dobrą godzinę: szczękała zębami, a wargi miała fioletowe jak u nieboszczyka. Myślałyśmy, że kona. Mocno natarłyśmy całe ciało, wtedy skóra zaczęła parować, jak teraz widzicie. Spociała się tak bardzo, że trzeba by zmienić pościel, ale od izby z prześcieradłami nie można znaleźć kluczy, które miała Eudelina.

- Zaraz wam je dam - odparła pani de Bouville.

Zaprowadziła Marię do przyległej komnaty, gdzie również palił się ogień.

- Tutaj się rozgościcie - powiedziała.

Przyniesiono królewską kołyskę. Król był ledwie widoczny wśród otaczających go powijaków. Miał malutki nosek, grube i zamknięte

powieki; drzemał wåtłutki, pogrążony w miękim bezwładzie. Należało podejść bardzo blisko, żeby się przekonać, że oddycha. Od czasu do czasu nieznaczny grymas, bolesny skurcz nadawał jakiś wyraz jego twarzycze.

Ogromna litość ogarnęła Marię na widok tej małej istotki, która dawała tak słabe oznaki życia, straciła ojca, a może niebawem stracić i matkę. „Uratuję go, ja to zrobię, że będzie duży i silny” - pomyślała.

Była jedna kołyska, więc położyła własne dziecko obok króla.





## II

### „Spuśćmy się na Boga”

Gniew nie opuszczał hrabiny Mahaut od dwudziestu czterech godzin.

Wyładowywała swą wściekłość, wylewała rozczarowanie na Beatrycze, która pomagała jej przyodziać się na chrzest króla.

- Któż by przypuszczał, że Klemencja taka cierpiąca donosi to dziecko. Silniejsze przecież roniły. Nie! Przettrzymała dziewięć miesięcy. Czy nie mogła nam urodzić martwego dzieciaka? Także nie! Bachor żyje. Czy chociaż nie mogła to być córka? Akurat! Musiał być chłopiec. Czy warto było, moja Beatryczko, tyle się krzątać, narażać się na takie wielkie niebezpieczeństwa, które jeszcze wcale nie minęły, żeby zostać wystrychniętą na dudka przez los i to w taki sposób!

Mahaut bowiem głęboko była obecnie przekonana, że otruła Kłótliwego wyłącznie w tym celu, aby udostępnić swemu zięciowi koronę Francji. Niemal żałowała, że za jednym zamachem wraz z mężem nie zabiła i żony, a cała jej nienawiść kierowała się obecnie ku niemowlęciu, którego jeszcze nie widziała, ku dzieciątku, które za chwilę miała trzymać do chrztu, gdyż ledwo wykluta istotka kielznała jej ambicje.

Kobieta ta przepotężna, arcybogata, despotyczna była urodzoną zbrodniarką. Mord był jej ulubionym sposobem, aby podporządkować los swym zamysłom; z upodobaniem pieściła plan, wdychała woń sukcesów, podniecała się cudzą trwogą, podstęp napawał ją rozkoszą, radością - sekretne triumfy. Jeśli pierwsze zabójstwo nie przyniosło spodziewanych korzyści, całkiem zwyczajnie szukała stojącej na przeszkodzie nowej głowy, którą mogłaby zmieść.

Beatrycze d'Hirson, odgadując myśli hrabiny, opuściła długie rzęsy i wycedziła:

- Zachowałam, Dostojna Pani... trochę tej przedniej mączki która się nam tak bardzo przydała do migdałów dla króla... tej wiosny.

- Dobrze zrobiłaś, dobrze zrobiłaś - odparła Mahaut - zawsze lepiej mieć zapasik, tylu mamy wrogów!

Beatrycze, mimo słusznego wzrostu, musiała podnosić ręce, by poprawić podwikę hrabiny i nałożyć płaszcz na jej ramiona.

- Będziecie trzymać dziecko, Dostojna Pani... taka sposobność może się wam rychło nie trafić... - podjęła. Tylko mączka, wiecie... ledwie ją widać na palcu.

Mówiła głosem słodkim, kuszącym, jakby chodziło o łakocie.

- O nie! - zawołała Mahaut - nie podczas chrztu, to by sprowadziło na nas nieszczęście!

- Tak sądzicie? Przecież bezgrzeszną duszę zwróciłybyście niebu.

- A potem Bóg wie, jak zięć mój przyjąłby tę rzecz do wiadomości! Nie zapomniałam wyrazu jego twarzy, kiedy mu otworzyłam oczy na śmierć brata, i oziębłości, jaką mi odtąd okazuje. Starczy jednego króla na rok;

ścierpmy na razie tego, co się nam narodził.

Nędzna, prawie potajemna kawalkada ruszyła do Vincennes, aby zaliczyć Jana I w poczet chrześcijan; a baronów - którzy oczekując zaproszenia na uroczystość przyszykowali paradne stroje - spotkał zawód.

Choroba królowej, narodziny dziecka poza Paryżem, zimowa szaruga, a wreszcie niewielka radość, jaką okazywał regent z powodu przyścia na świat bratanka, złożyły się na to, aby chrzest odprawić szybko jak zwykłą formalność.

Filip przybył do Vincennes wraz z żoną Joanną, Mahaut, Gaucherem de Chatillon oraz kilku giermkami. Nie raczył zawiadomić pozostałej rodziny. Valois zresztą objeżdżał lenna, aby zdobyć pieniądze; d'Evreux przebywał w Amiens, żeby doprowadzić do końca sprawy hrabstwa Artois. Wczoraj zaś Filipa z Karolem de la Marche poróżniła ostra sprzeczka. Karol bowiem ku uczczeniu narodzin króla zażądał od brata tytułu para, jak również powiększenia dochodów.

- Ach! Mój bracie - odparł Filip - jestem tylko regentem; jedynie król może mianować was parem... gdy osiągnie pełnoletność.

Bouville witając regenta na przeddzieńcu<sup>26</sup>, natychmiast zapytał:

- Czy nikt nie ma oręza, Dostojny Panie? Czy nikt nie nosi przy sobie puginału, sztyletu, mizerykordii?

Nie wiadomo było, czy owa troska godzi w orszak, czy w samych rodziców chrzestnych.

- Nie zwykłem, Bouville, otaczać się rozbrojonymi giermkami - odparł regent.

Bouville nieśmiały, a mimo to uparty, poprosił giermków, aby pozostali na zewnętrznym podwórku. Ów nadmiar ostrożności rozdrażnił regenta.

- Doceniam, Bouville, troskę, z jaką czuwaliście nad łonem królowej - powiedział - lecz już nie jesteście opiekunem. Do mnie osobiście i do konetabla obecnie należy opieka nad królem. Godzimy się, abyście nadal piastowali wasze stanowisko, ale go nie nadużywajcie.

- Dostojny Panie, Dostojny Panie - wyjąkał Bouville - wcale nie chciałem was obrazić. Ale takie rzeczy ludzie w Królestwie wygadują... Właściwie chciałem, abyście widzieli, jak wiernie wypełniam moje obowiązki i że w pełni doceniam ten zaszczyt.

Niezręcznie się maskował; nie mógł powstrzymać się od spoglądania z ukosa na Mahaut, po czym wnet spuszczał wzrok.

„Stanowczo każdy mnie tu podejrzewa i nikt mi nie ufa” - pomyślała hrabina.

Joanna de Poitiers udawała, że nic nie widzi. Gaucher de Chatillon, nie wiedząc o niczym, przerwał zakłopotanie słowami:

- Dalejże, Bouville, nie dajcie nam marznąć, wejdźmy wreszcie.

Nie udali się do łóża królowej. Wiadomości udzielone przez panią de Bouville były wysoce niepokojące: gorączka nadal trawiła królową, skarżyła się na straszliwe bóle głowy i co chwila wstrząsały nią wymioty.

- Brzuch ma wzdęty, jakby wcale nie rodziła - wyjaśniła pani de Bouville. - Nie może zasnąć, błaga, żeby zatrzymać dzwony, które biją jej w uszach i bez przerwy mówi do nas, ale jakby zwracała się nie do nas, lecz do swojej babki, Dostojnej Pani Węgierskiej, albo do króla Ludwika.

Litość bierze słuchać, jak traci rozum, i nie móc jej uciszyć.

Hrabia de Bouville szambelanując dwadzieścia lat przy Filipie Pięknym, nabył wielkiego doświadczenia w królewskim ceremoniale. Do iluż to chrztów nie czynił przygotowań?

Rozdano obecnym przybory obrzędowe. Bouville i dwaj dworzanie z jego straży założyli na szyje długie białe serwety i trzymali je wyciągnięte przed sobą, aby nimi okryć: jeden - misę ze święconą wodą, drugi - próżną misę, trzeci zaś - czarę z solą.

Położna wzięła krzyżmo, żeby po namaszczeniu zawinąć w nie główkę dziecka.

Po czym zbliżyła się mamka z królem na rękę.

„Oho! Jaka ładna dziewczyna” - pomyślał konetabl.

Pani de Bouville kazała przyodziać się Marii de Cressay w różową aksamitną suknię, bramowaną przy szyi i dłoniach futrzanym puszkim, oraz długo ćwiczyła ją w ruchach, jakie miała wykonać. Niemowlę było opatulone w płaszcz dwa razy odeń dłuższy, na który narzucono jedwabny, fioletowy welon, opadający na ziemię niby tren.

Orszak skierował się ku zamkowej kaplicy. Giermkowie z zapalonymi świecami w rękę otwierali pochód. Zamykał go seneszał de Joinville, starzec, mimo że prowadzony pod ramię, posuwał się słaniając. Otrząsnął się jednak ze zwykłej swej drętwy, gdyż noworodek podobnie jak on miał na imię Jan.

Kobierce zwisały wzdłuż ścian kaplicy, a kamienną chrzcielnicę zdobił fioletowy aksamit. Stół obok okryto narzutą z popielic, zasłano cienkim obrusem, a na wierzch położono obciążone jedwabiem poduszki. Kilka piecyków z żarzącym się węglem drzewnym nie mogło ogrzać wilgotnego, zimnego wnętrza.

Maria położyła dziecko na stole, aby je wyjąć z pieluszek. Z bijącym sercem starała się nie popełnić omyłki, taka była wzruszona, że ledwie rozróżniała otaczające ją twarze. Czy ona - dziewczyna wygnana przez rodzinę - mogła kiedykolwiek sobie wyobrazić, że przypadnie jej tak ważna rola przy chrzcie króla, obok regenta i hrabiny d'Artois? Olśniona tym zwrotem losu, przepełniona teraz wdzięcznością dla pani de Bouville, przeprosiła ją była za wczorajsze nieposłuszeństwo.

Pochłonięta rozwijaniem pieluszek dosłyszała jednak, że konetabl pyta o jej nazwisko. Czuła, że się czerwieni.

Kapelan królowej czterokrotnie dmuchnął na niemowlę - jakby w kierunku czterech ramion krzyża - aby mocą Ducha Świętego odpędzić odeń szatana; po czym splunawszy na wskazujący palec, wymazał śliną nozdrza i uszy dziecka na znak, że nie powinno ono słuchać głosów diabelskich ani oddychać wonią pokusa ciała i świata.

Filip i Mahaut podnieśli króla, jedno trzymając go za nóżki, a drugie za ramionka. Regent uporczywie wpatrywał się krótkowzrocznymi oczami w malutką płeć dzieciątka, w tego różowego robaczka, który zniweczył jego przemyślnie plany sukcesyjne, w ów szyderczy symbol prawa mężczyzny, malutką, lecz nieprzekraczalną przeszkodę między nim a koroną.

„W każdym razie - myślał Filip, aby się pocieszyć - będę regentem przez piętnaście lat. Wiele rzeczy może się zdarzyć w ciągu tych lat piętnastu;

czy ja sam będę żył za piętnaście lat? I czy to dziecko dożyje do tego czasu?”

Ale regencja to nie tron.

W czasie wstępnych obrzędów dziecko zachowywało się bardzo spokojnie, a nawet drzemało. Dopiero wydało głos gdy je całkowicie zanurzono w zimnej wodzie. Ale wtedy wrzasnęło, aż się zakrztusiło. Podczas gdy następnii rodzice chrzestni: Gaucher, Joanna de Poitiers, Bouville'owie i senezal wyciągali ręce nad nagim ciałkiem, zanurzono je po trzykroć; raz - główką na wschód, później na północ, później na południe, aby wyrazić znak krzyża<sup>27</sup>.

Gdy Jana I wyjęto z lodowatej kąpieli, zaraz się uciszył i przyjął w spokoju oleje święte, którymi mu namaszczono czoło. Następnie położono go na poduszkach i Maria de Cressay jęła osuszać ciało, tymczasem wszyscy skupili się przy rozżarzonych piecykach.

Nagle rozległ się głos Marii de Cressay.

- O Boże! Boże! On kona! - krzyknęła.

Wszyscy rzucili się do stołu. Malutki król zsiniał i ciemniejąc z minuty na minutę stał się prawie czarny. Ciało mu zeszywniało, rączki przykurczyły się, główka wykręciła, a między otwartymi powiekami widniały tylko białe gałki.

Niewidoczna ręka dusiła nieświadomą istotkę otoczoną chybotliwymi płomykami świec i trwożnie pochylonymi głowami.

Mahaut usłyszała szept:

- To ona.

Podniósłszy oczy spotkała wzrok małżonków Bouville'ów.

„Kto tu zadał cios, żeby mnie obwinić?” - zapytała siebie.

Tymczasem położna wzięła dziecko z drżących rąk Marii i usiłowała przywrócić je do życia.

- Nie wiadomo jeszcze, czy umrze, wcale nie wiadomo - mówiła.

Niemowlę leżało sztywne, wyprężone, czarniawe około dwóch minut, które ciągnęły się jakby w nieskończoność. Naraz wstrząsnęły nim drgawki, rzucając główkę na wsze strony. Członki wykręciły się; nikt nigdy nie uwierzyłby, że taka siła może miotać tak wątłym ciałkiem; położna przycisnęła go do siebie, aby jej się nie wyrwał. Kapelan nakreślił znak krzyża, jak gdyby diabeł mu się objawił, i począł odmawiać modlitwy za konających. Dziecko wykrzywiało twarzyczkę, śliniło się. Czarna barwa znikła, ustępując miejsca lodowatej bledzi, nie mniej przerażającej. Uspokoilo się na chwilę, wysiusiało na suknię położnej i wydało się, że jest uratowane. Naraz główka opadła, stało się miękkie i bezwładne, tym razem wszyscy byli przekonani, że już nie żyje.

- Wielki czas był go ochrzcić - rzekł konetabl.

Filip de Poitiers zdejmował z rąk gorące krople, które spłynęły ze świecy.

Nagle mały trupek poruszył nóżkami, wydał kilka okrzyków jeszcze słabych, lecz raczej radosnych, zacmokał wargami. Król żył i chciał ssać.

- Szatan wielce opierał się, zanim opuścił ciało - rzekł kapelan.

- Rzadko się zdarza - wyjaśniła położna - aby konwulsje tak wcześnie schwytały dziecko. Pewnie dlatego tak się stało, że poród był kleszczowy,

niekiedy to się widuje. A jeszcze mleka mamki zabrakło mu przez kilka godzin...

Maria de Cressay uczuła się winna... „Gdybym natychmiast przybiegła, zamiast wyklócać się z panią de Bouville” - pomyślała.

Nikt oczywiście nie podał w wątpliwość zanurzenia w zimnej wodzie ani żadnej ze skaz dziedzicznych, ułomności, obłądu, epilepsji, które występowały regularnie w tym królewskim rodzie.

- Czy myślicie, że często będzie cierpiał na podobne ataki? - spytała Mahaut.

- Należy się obawiać, Dostojna Pani - odpowiedziała położna. - Nigdy nie wiadomo, kiedy napadnie taki atak ani jak się skończy.

- Biedne małeństwo! - bardzo głośno rzekła Mahaut.

Odniesiono króla do zamku i pożegnano się bez radości.

Przez całą drogę powrotną Filip de Poitiers zaciskał zęby. Wróciwszy do Pałacu przyzwolił, aby teściowa dalej mu towarzyszyła i zamknęła się z nim w komnacie.

- Przez chwilę mało brakowało, a zostalibyście królem, mój synu - rzekła.

Filip nic nie odrzekł.

- Zaprawdę, po tym, cośmy zobaczyli nikt by się nie dziwił, gdyby dziecko zmarło w najbliższych dniach - podjęła.

Regent nadal milczał.

- Gdyby umarło, musielibyście jednakże poczekać do pełnoletności Joanny Nawarry.

- Ależ nie, matko, wcale nie - żywo odparł Filip. - Już nas nie obowiązuje ustawa lipcowa. Sprawa sukcesji po Ludwiku zakończona, tron byłby wówczas wolny po małym Janie i ja dziedziczyłbym po moim bratanku.

Mahaut spojrzała nań z podziwem: „Obmyślał wszystko podczas chrztu!”.

- Wyznajcie, Filipie że zawsze marzyliście o tronie - rzekła. - Jeszcze będąc dzieckiem łamaliście gałęzie, żeby robić sobie berła.

Nadal milcząc, podniósł nieco głowę i uśmiechnął się do niej. Następnie spoważniał i rzekł:

- Czy wiadomo wam, matko, że dama de Feriennes zniknęła z Arras, a wraz z nią ludzie, których wysłałem, by ją porwali i uniemożliwili jej za dużo mówić? Podobno jest potajemnie więziona w jakimś zamku w Artois i chełpią się tym wasi baronowie.

Mahaut rozważała, co oznacza to ostrzeżenie. Czy Filip chciał ją tylko uprzedzić o grożącym jej niebezpieczeństwie? Czy chciał okazać, że się o nią troszczy? Czy chciał w ten sposób potwierdzić zakaz, aby już nigdy nie uciekała się do trucizny czy też mówiąc o dostawczynie dawał jej do zrozumienia, że ma ona wolną rękę?

- Nowy atak konwulsji mógłby go zabrać - rzekła z naciskiem.

- Spuśćmy się na Boga, matko, spuśćmy się na Boga - przerywając rozmowę rzekł Filip.

„Spuścić się na Boga... czy też spuścić się na mnie? - pomyślała hrabina d'Artois. - Jest tak ostrożny, że nawet strzeże się, żeby duszy nie splamić,



ale dokładnie mnie zrozumiał... Teraz ten gruby gamoń Bouville sprawi mi najwięcej kłopotów”.

Od tej pory jej wyobraźnia zaczęła pracować. Mahaut miała w perspektywie zbrodnię, fakt zaś, że przyszłą ofiarą miało być niemowlę, podniecał jej umysł w równej mierze, jak gdyby chodziło o najsroźszego wroga.

Rozpoczęła starannie obmyśloną, podstępłą kampanię.

- Król nie jest zdolny do życia - mówiła każdemu i ze łzami w oczach opisywała przygnębiającą scenę chrztu.

- Myśleliśmy wszyscy, że skona na naszych oczach i mało brakowało, aby nie żył. Spytajcie raczej konetabla, który tam był ze mną... nigdy nie widziałam pana Gauchera, aby tak przybladł... Każdy zresztą przekona się o słabości małego króla, kiedy go się zaprezentuje wszystkim baronom, jak to jest w zwyczaju. Nawet nie wiadomo, czy już nie żyje i czy nie kryje się jego śmierci. Bo coś ta prezentacja wielce się odwleka, nie wiedzieć czemu. Pan de Bouville podobno się sprzeciwia, ponieważ nieszczęsna królowa... niech Bóg ma ją w swej pieczy... czuje się jakoby coraz gorzej. Ale ostatecznie królowa to nie król.

Zausznicy Mahaut mieli nakaz rozgłaszać takie wieści.

Baronowie jęli się trwożyć. Istotnie dlaczego odwleka się uroczystą prezentację? Chrzt po kryjomu, rzekome uchylanie się Bouville'a, nieprzeniknione milczenie wokół Vincennes, wszystko było nacechowane tajemnicą.

Krażyły sprzeczne pogłoski. Król jest ułomny i regent nie chce go pokazać. Hrabia de Valois potajemnie porwał dziecko, aby je ukryć w bezpiecznym miejscu. Choroba królowej? Fortel. Królowa wraz z dzieckiem jedzie teraz do Neapolu.

- Jeżeli umarł, niech się to nam powie - sarkali poniekąd.

- Regent kazał go zgładzić! - zapewniali inni.

- Co tam wyśpiewujecie? Regent nie jest człowiekiem takiego pokroju, ale nie ufa hrabiemu de Valois.

- To nie regent, to Mahaut. Przygotowuje się do zbrodni, jeśli jej nawet już nie popełniła. Zbyt głośno powtarza, że król jest niezdolny do życia!

Podczas gdy przykry wiatr przeciągał ponad dworem, gdy snuto ohydne domysły, haniebne podejrzenia, które obryzgiwały wszystkich błotem, regent pozostawał nadal nieprzenikniony. Pograżył się w administracji królestwa, a jeśli pytano go o bratanka, odpowiadał: Flandria, Artois lub pobór podatków.

19 listopada rankiem coraz bardziej wzburzeni rajcy Parlamentu przybyli w delegacji do Filipa i prosili go, niemal domagali się, aby zgodził się przedstawić im króla. Ci, co spodziewali się odmowy lub wymijającej odpowiedzi, już mieli w oczach złe błyski.

- Ależ ja pragnę, Szlachetni Panowie, pragnę jak i wy tej prezentacji - rzekł regent. - Ja sam spotykam się ze sprzeciwem - to hrabia de Bouville na nią się nie zgadza.

Po czym zwróciwszy się do Karola de Valois, który przedwczoraj wrócił z hrabstwa Maine, spytał go:

- Czy to wy, stryju, ze względu na stan waszej bratanicy Klemencji

nakłaniacie Bouville'a, aby nie pokazywał nam króla?

Nie pojmując, dlaczego spotyka go ten wyrzut, ekscesarz Konstantynopola zakrzyknął:

- Ależ uchwaj Boże, bratanku, skąd wam to przyszło na myśl? Ani nakazywałem, ani pragnąłem czegoś podobnego! Nawet nie widziałem Bouville'a i od kilku tygodni nie mam odeń żadnej wiadomości. Właśnie wróciłem na tę prezentację. Przeciwnie, bardzo chciałbym, żeby się odbyła i żebyście powrócili do zwyczajów naszych ojców, a ta rzecz nazbyt długo się odwleka.

- Tedy, Szlachetni Panowie, łączy nas to samo zdanie i ta sama wola... Gaucher! Wy byliście przy narodzinach mego brata... Czy pierwszej matce chrzestnej przypada obowiązek przedstawić baronom syna króla?

- Oczywiście, oczywiście, matce chrzestnej - odparł Valois dotknięty, że w sprawie ceremoniału odwołano się nie do jego kompetencji. - Byłem przy wszystkich prezentacjach, Filipie, przy waszej, skromniejszej, bo byliście drugim synem, przy Ludwika, a następnie Karola. Zawsze matce chrzestnej.

- Tedy - podjął regent - każę natychmiast zawiadomić hrabinę Mahaut, że ma wnet wypełnić ten obowiązek i wydam rozkaz Bouville'owi, aby otworzył bramy Vincennes. W południe siadamy na koń.

Wymarzona sposobność dla Mahaut nadeszła. Nie chciała nikogo prócz Beatrycze, aby ją odziewał i włożył koronę; mord króla był jej wart.

- Jak myślisz, ile trzeba czasu, żeby twój proszek podziałał na pięciodniowe dziecko?

- Nie wiem tego, Dostojna Pani... - odparła dwórka. - Na jelenie z waszych lasów poskutkowało w ciągu jednej nocy. Król Ludwik zaś opierał się prawie trzy doby...

- W każdym razie będę miała na osłonę tę mamkę - rzekła Mahaut. - Widziałam ją tamtego dnia, piękna dziewczyna, daję słowo, ale nie wiadomo, skąd pochodzi, ani kto ją tam umieścił. Chyba Bouville'owie...

- Ach! Rozumiem was - rzekła z uśmiechem Beatrycze. - Gdyby śmierć okazała się nienaturalna... można by oskarżyć tę dziewczynę i kazać ją poćwiartować...

- Moje relikwie, moje relikwie - wykrzyknęła zaniepokojona Mahaut, dotykając piersi. - Ach tak! Już dobrze, mam je.

Gdy wychodziła z komnaty, Beatrycze szepnęła jej:

- Uważajcie, Dostojna Pani, nie wytrzyjcie nosa przez pomyłkę.





### III

## Fortele Bouville'a

- **O**gień rozpalić żeby buchał! - nakazywał pachołkom Bouville. - Niech kominki pękają, aby ciepło rozeszło się po korytarzach.

Chodził po pokojach i chcąc ponaglić służbę, tylko ją paraliżował. Biegał na most zwodzony, żeby zlustrować straż, rozkazywał wysypywać podwórca piaskiem, a potem zamiatać, ponieważ piach zmieniał się w błoto, sprawdzał nieprzydatne na nic zamki. Cała ta krzątanina miała wyłącznie na celu zagłuszyć własny jego lęk. „Ona go zabije, zabije go” - powtarzał sobie.

W korytarzu spotkał żonę.

- Królowa? - zapytał.

Tegoż właśnie ranka opatrzono królową Klemencję ostatnimi sakramentami.

Owa kobieta, której urodę sławiły dwa królestwa, leżała obecnie zeszpecona, wyniszczona zakażeniem połogowym, z zaostrozonym nosem, pożółkłą skórą w czerwonych plamach wielkości dwuliwrowej monety, zionęła straszliwym smrodem, w moczu pływały krwawe smugi; oddychała z coraz większym trudem i jęczała w okropnych bólach, jakie odczuwała w karku i brzuchu. Majaczyła.

- To czwartaczka<sup>28</sup> - rzekła pani de Bouville. - Położna zapewnia, że jeśli przeżyje dzień dzisiejszy, może być uratowana. Mahaut zaofiarowała się przysłać mistrza de Pavilly, swego osobistego medyka.

- Za żadne skarby, za żadne skarby! - wykrzyknął Bouville. - Nie dopuścimy, by wszedł tu ktokolwiek z otoczenia Mahaut.

Matka na łożu śmierci, dziecko w niebezpieczeństwie i przeszło dwustu baronów, którzy tu przybędą wraz z eskortą! Ładny rozgardiasz nastąpi za chwilę i jakaż łatwa okazja do mordu!

- Dziecko nie powinno zostać w pokoju przyległym do komnaty królowej - podjął Bouville. - Nie mogę wprowadzić dostatecznej ilości zbrojnych, by go strzegli i zbyt łatwo tu można schować się za kobierce.

- Wielki czas o tym pomyśleć; gdzie go chcesz położyć?

- W komnacie króla, gdzie mogę obsadzić wszystkie drzwi.

Spojrzeli po sobie, nawiedziła ich ta sama myśl: komnata, w której umarł Klótlivy.

- Każ przygotować pokój i podsycić ogień.

- Zgoda, przyjacielu, zaraz to wykonam. Choćbyś jednak postawił wokół pięćdziesięciu giermków, nie przeszkodziś Mahaut nieść na rękę króla, aby go zaprezentować.

- Będę przy niej.

- Ależ, jeśli postanowiła, zabije ci dziecko przed nosem. Mój biedny Hugonie, nic nie zobaczysz. Pięćdniowe dziecko wcale się nie szamocze. Skorzysta z chwili ścisku i wbije igłę w ciemiaczko albo da mu wetchnąć

truciznę czy też zadusi tasiemką.

- Co chcesz więc, żebym zrobił? - wykrzyknął Bouville. - Nie mogę oświadczyć regentowi: „Nie chcemy, żeby wasza teściowa niosła króla, bo się boimy, że go zabije!”.

- Ach nie, tego zrobić nie możesz! Możemy tylko prosić Boga - rzekła odchodząc pani de Bouville.

Bouville, nie mając nic do roboty, wszedł do pokoju mamki.

Maria de Cressay karmiła dwoje niemowląt naraz. Oba równie łapczywie wczepiły się w pierś miękkimi paznokietkami i głośno ssały. Maria wspaniałomyślnie podawała królowi pierś lewą, wedle powszechnego mniemania obfitszą w pokarm.

- Co wam, panie? Zdaje się, że jesteście wzburzeni - spytała Bouville'a.

Stał przed nią wsparty na wysokim mieczu, czarne i białe kosmyki opadały mu na policzki, a brzuch wypinał kolczugę: gruby dobroduszny archanioł postawiony na uciążliwej straży niemowlęcia.

- On jest taki słaby, nasz Miłościwy Pan, taki słabiutki - rzekł ze smutkiem.

- O nie, panie, przeciwnie, bardzo się poprawia. Popatrzcie, prawie dorównał mojemu. A wszystkie te driakwie, jakie mi dają, zdaje się, bardzo mu służą<sup>29</sup>.

Bouville wysunął rękę i ostrożnie pogłaskał małą główkę, którą porastał jasny puszek.

- Nie jest takim królem jak inni, popatrzcie - szepnął.

Stary sługa Filipa Pięknego nie umiał wyrazić swych uczuć. Jak daleko sięgnął pamięcią własną, a nawet swego ojca, ustrój monarchiczny, królestwo, Francja, wszystko, co stanowiło podstawę jego działalności i przedmiot trosk, wiązało się z szeregiem dzielnych królów, dorosłych, mocnych, żądających przywiązania, rozdawców zaszczytów.

Przez dwadzieścia lat podsuwał fotel monarsze, przed którym drżało chrześcijaństwo. Nigdy by sobie nie mógł wyobrazić, że szereg władców tak szybko sprowadzi się do tego różowego niemowlęcia o bródce umazanej mlekiem, ogniwka, które można by złamać w dwóch palcach.

- To prawda - rzekł - że się bardzo poprawił. Gdyby nie ślad kleszczy, który zresztą już zanika, mało by się różnił od waszego.

- O! Panie - odparła Maria - mój jest cięższy. Prawda, Janie drugi, że jesteś cięższy?

Nagle zaczerwieniła się i wyjaśniła:

- Ponieważ obaj mają na imię Jan, nazwałam mojego Janem drugim. Może nie powinnam była?

Bouville w odruchu uprzejmości pogłaskał główkę drugiego dziecka. Mimo woli musnął pierś Marii. Dziewczyna zwiedziona gestem oraz uporczywym spojrzeniem wielmoży oblała się jeszcze gorętszym pąsem. „Kiedyż wreszcie - pomyślała - przestanę się czerwienić z lada powodu? Przecież karmienie nie jest rzeczą nieprzyzwoitą ani wyzywającą!”

W istocie Bouville porównywał oba niemowlęta.

W tejże chwili weszła pani de Bouville, niosąc strój dla króla. Mąż zaciągnął ją do kąta, szepcząc do niej:

- Myślę, że mam sposób.

Przez kilka minut rozmawiali po cichu. Pani de Bouville kiwała głową, rozważała; dwukrotnie spojrzała w stronę Marii.

- Sam ją zapytaj - wreszcie rzekła. - Mnie ona nie lubi.

Bouville zwrócił się do młodej kobiety.

- Mario, moje dziecko, oddałybyście wielką przysługę naszemu małemu królowi, do którego, widzę, jesteście tak przywiązana - powiedział. - Oto na jego prezentację przyjeżdżają baronowie. Ale obawiamy się dlań chłodu, z powodu tych konwulsji, jakich dostał podczas chrztu. Pomyślcie, co by się stało, gdyby zaczął się wic jak wówczas. Wnet by przypuszczali, że jest niezdolny do życia, jak to rozgłaszają jego wrogowie. My, wszyscy baronowie, jesteśmy ryerczami i lubimy, żeby król nawet w wieku niemowlęcym wyglądał dziarsko. Mówiłyście mi przed chwilą, że wasze dziecko jest bardziej tłuściutkie i ładnie wygląda. Chcielibyśmy je przedstawić zamiast niego.

Zaniepokojona Maria spojrzała na panią de Bouville, lecz ta spieszenie rzekła:

- Nie mam z tym nic wspólnego. To pomysł mego małżonka.

- Czy to nie grzech, Panie, tak postąpić? - spytała Maria.

- Grzech, moje dziecko? Ależ to cnota chronić swego króla. Nie po raz pierwszy przedstawiłoby się ludowi zdrowe dziecko zamiast wątłego następcy - kłamiąc w dobrej sprawie zapewniał Bouville.

- Czy nikt się nie spostrzeże?

- A kto by tam się spostrzegł - zawołała pani de Bouville. - Obaj mają jasne włoski; w tym wieku wszystkie dzieci są do siebie podobne i zmieniają się z dnia na dzień. Kto naprawdę widział króla? Ślepek - pan de Joinville, regent, który nic nie widzi i konetabl, co lepiej zna się na koniach niż noworodkach.

- Czy hrabina d'Artois nie zdziwi się, że nie ma śladów kleszczy?

- Jak można zobaczyć pod czepeczkiem i koroną?

- Ponadto dzień jest ciemny. Niemal trzeba pozapalać świece - dorzucił Bouville, wskazując na okno i smutny listopadowy dzień.

Maria przestała się opierać. W gruncie rzeczy schlebiała jej myśl podstawienia dziecka, a Bouville'owi przypisywała tylko życzliwe intencje. Z przyjemnością przebierała swoje dziecko za króla, spowijała je w jedwabne pieluszki, włożyła błękitny płaszczyk haftowany w złote kwiaty lili i na główkę czepeczek, na którym była naszyta malutka korona. Cały strój należał do wyprawki przygotowanej przed narodzinami.

- Jaki będzie piękny mój Jasio! - mówiła Maria. - Korona, o Boże! Korona! Trzeba ją będzie oddać królowi, wiesz, trzeba ją będzie mu oddać.

Kręciła dzieckiem jak lalką przed kołyską Jana I.

- Patrzcie, Sire, patrzcie na waszego mlecznego brata, na małego sługę, który zajmie wasze miejsce, żebyście się nie przeziębili.

Rozmyślała: „Kiedy wkrótce opowiem to wszystko Gucciowi... Kiedy mu powiem, że syn jego był prezentowany baronom? Dziwnie nam się układa życie i za nic bym go nie zamieniła! Jak dobrze zrobiłam, pokochawszy mojego Lombarda!”

Przeciągły jęk z sąsiedniej izby zgasił jej radość.

„Królowa, mój Boże... pomyślała Maria. - Zapomniałam o królowej”

Wszedł giermek oznajmiając, że zbliża się regent oraz baronowie. Pani de Bouville pochwyciła dziecko Marii.

- Zabieram je do komnaty króla - rzekła - i tam znów położę po uroczystości aż do odjazdu całego dworu. Wy, Mario, nie ruszajcie się stąd, dopóki nie powrócę, a jeśli by ktokolwiek wszedł mimo straży, którą tu postawimy, zapewnijcie, że to dziecko przy was jest waszym własnym.





## IV

### „Szlachetni panowie, oto król”

**B**aronowie z trudem zmieścili się w wielkiej sali; rozmawiali, kasłali szurali nogami i przydługo stojąc jęli się niecierpliwić. Ich eskorty wypełniły korytarze, aby obejrzeć widowisko; w odrzwiach głowa cisnęła się przy głowie.

Seneszał de Joinville, dla oszczędzenia mu sił w ostatniej chwili podniesiony z fotela, stał wraz z Bouville'em na progu komnaty króla.

- Wy zaanonsujecie, panie seneszału - rzekł były szambelan. - Jesteście najstarszym towarzyszem Ludwika Świętego i wam się ten zaszczyt należy.

Bouville chory z trwogi, z twarzą w siódmych potach rozważał:

„Ja nie mógłbym... nie mógłbym anonsować. Mój głos by mnie zdradził”.

W końcu mrocznego korytarza dojrzał hrabinę Mahaut; szła olbrzymia, a korona i ciężki, paradny płaszcz czyniły ją jeszcze potężniejszą. Nigdy Mahaut d'Artois nie wydała mu się tak wysoka, tak przerażająca.

Wpadł do komnaty, szepnął żonie:

- Już czas.

Pani de Bouville wyszła na spotkanie hrabiny, której twardy krok dźwięczał na flizach.

Podążyła jej lekkie brzemie.

Panował mrok. Mahaut nawet nie przyjrzała się dziecku. Zauważyła tylko, że od chrztu przybrał na wadze.

- Ejże! Nasz mały król poprawia się - rzekła - gratuluję wam, moja droga.

- Bardzo troszczymy się o niego, Dostojna Pani. Nie chcielibyśmy narazić się na jakąkolwiek uwagę ze strony matki chrzestnej - najśłodszym swym głosem odpowiedziała pani de Bouville.

„Najwyższy czas - pomyślała Mahaut - za dobrze wygląda”.

W padającym z wnęki świetle ukazała się twarz byłego szambelana.

- Czemu tak się pociecie, panie Hugonie? - spytała. - Przecież nie ma dziś upału.

- Od ognia, które kazałem pozapalać... Pan regent nie dał mi wcale czasu, żeby wszystko przygotować.

Starli się wzrokiem; oboje przeżyli przykrą chwilę.

- Chodźmy więc - rzekła Mahaut. - Torujcie mi drogę.

Bouville podał ramię sędziwemu seneszałowi i obaj opiekunowie dziecka skierowali się powolnym krokiem ku wielkiej sali. O kilka kroków za nimi szła Mahaut. Była to najdogodniejsza chwila i taki moment już się mógł nie powtórzyć. Powolny chód seneszała pozwalał jej się nie spieszyć. Stali tu oczywiście jakby przyklejeni do ścian giermkowie i damy dworu, kierując w półmroku spojrzenia ku dziecku; lecz któż dostrzeże ruch tak

szybki, a jednocześnie naturalny?

- Chodźmy! Ładnie się zaprezentujemy - powiedziała Mahaut do niemowlęcia w koronie, które trzymała na ręku. - Przynieśmy zaszczyt królestwu i nie ślinimy się.

Wyjęła z jałmużniczki chusteczkę i szybko wytarła malutkie, zwilżone wargi. Bouville odwrócił głowę, lecz już się stało i Mahaut kryjąc w zamkniętej dłoni chusteczkę udała, że poprawia płaszczyk dziecku.

- Jesteśmy gotowi - rzekła.

Rozwarły się podwoje sali i zapadła cisza. Seneszał jednak nie widział przed sobą tłumu.

- Anonsujcie, panie, anonsujcie - rzekł Bouville.

- Kogo mam anonsować? - zapytał Joinville.

- Ależ króla, króla!

- Król... - wyszeptał Joinville. - Wiecie, przecież to piątemu będę już służył...

- Oczywiście, oczywiście, ale anonsujcie - powtórzył wzburzony Bouville.

Za ich plecami Mahaut na wszelki wypadek po raz drugi przetarła usteczka niemowlęcia.

Pan de Joinville kilkakrotnie odchrząknawszy zdecydował się wreszcie wypowiedzieć głosem głębokim, dość wyraźnym:

- Szlachetni Panowie, oto król! Oglądajcie króla, moi panowie!

- Niech żyje król! - odpowiedzieli baronowie, wydając okrzyk, który powstrzymywali od czasu pogrzebu Kłótliwego.

Mahaut podeszła wprost do regenta i zebranej wokół niego rodziny królewskiej.

- Ależ to zuch... jaki różowy... jaki tłusciutki - mówili w przejściu baronowie.

- Co nam wyśpiewywali, że jest wątlwy i niezdolny do życia? - szepnął Karol de Valois do swego syna Filipa.

- Dalejże! Królewski ród francuski zawsze jest dziarski - rzekł Karol de la Marche, chcąc naśladować stryja.

Dziecko Lombarda czuło się dobrze, nawet za dobrze jak na gust Mahaut. „Czy nie mógłby pokrzyczeć, trochę się powykręcać?” - myślała. I podstępnie usiłowała go uszczypnąć przez płaszczyk. Ale pieluszki były grube i dziecko tylko radośnie gulgotało. Widowisko zdawało się podobać dopiero co otwartym błękitnym oczętom... „Mały łajdus! Za minutę gotów śpiewać. Cieniej pośpiewa tej nocy... Chyba żeby proszek Beatrycze zwietrzał...”

W głębi sali odezwały się okrzyki:

- Wcale go nie widzimy, chcemy go podziwiać!

- Potrzymajcie, Filipie - rzekła do zięcia Mahaut, podając niemowlę - macie dłuższe ode mnie ręce, pokażcie króla jego wasalom.

Regent wziął w pól małego Jana i podniósł nad głowę, aby każdy mógł się do woli mu napatrzeć. Nagle Filip poczuł, że po rękach mu ścieka ciepła, lepka ciecz. Dziecko dostało czkawki i wymiotowało mlekiem, które przed półgodziną wyssało, lecz mleko było zielonkawe i zmieszane z żółcią. Twarz zabarwiła się na taki sam kolor, później bardzo szybko



przybrała ciemny odcień trudny do określenia, zatrważający, podczas gdy szyjka wykręciła się do tyłu.

Głośny okrzyk przerażenia i rozczarowania wydobył się z tłumy baronów.

- Boże! Boże! - wykrzyknęła Mahaut. - Znów go schwyciły konwulsje!

- Zabierzcie go! - rzekł spiesznie Filip, oddając w jej ręce dziecko jak niebezpieczny ładunek.

- Wiedziałem o tym! - rzucił jakiś głos.

Był to Bouville. Stał purpurowy, a gniewny jego wzrok biegł od hrabiny do regenta.

- Tak, mieliście słuszość, Bouville - rzekł Poitiers. - Za wcześnie było na prezentację chorego dziecka.

- Wiedziałem o tym - powtórzył Bouville.

Lecz żona szybko pociągnęła go za rękaw, aby nie popełnił jakiegoś nieodwracalnego głupstwa. Wzrok ich się spotkał i Bouville uspokoił się. „Co pocznę? Zwariowałem - pomyślał. - Został nam prawdziwy”.

Chociaż wszystko uczynił, aby skierować cios na inną głowę, nie przygotował nic na wypadek, gdyby zbrodnia została rzeczywiście popełniona.

Mahaut również była zaskoczona szybkością. Nie spodziewała się, że trucizna podziała natychmiast. Wypowiedziała słowa, które miały pokrzepić:

- Uspokójcie się, uspokójcie! Wtedy także sądziliśmy, że skona, a potem, widzicie, wrócił do zdrowia. To dziecięca choroba, na którą strach patrzeć, lecz nie trwa długo! Położna! Pośląc po położną - dorzuciła ryzykując, aby dowieść swej uczciwości.

Regent trzymał zbrukane ręce z dala od ciała; patrzył na nie z obawą i niesmakiem, nie śmiał niczego dotknąć.

Dziecko było sinawe i dusiło się.

W rozgardiaszu i przerażeniu, jakie nastąpiły, wszyscy potracili głowy i dobrze nie wiedzieli, jaki był przebieg wypadków. Pani de Bouville rzuciła się ku komnacie królowej, lecz prawie dobiegłszy, nagle przystanęła i pomyślała: „Jeśli wezwę położną, zaraz zobaczy, że dziecko zostało podmienione i nie ma śladu kleszczy. Przede wszystkim, przede wszystkim nie zdejmować mu czepeczka!”. Wróciła biegiem, podczas gdy zebrani napływali do komnaty króla.

Pomoc żadnej położnej nie była już dziecku potrzebna. Owinięte nadal w płaszcz haftowany w kwiaty lilii, z lalczyną koroną przechyloną na skroń i ciemnymi wargami, leżało w zmoczonych pieluszkach, z przeżartymi wnętrzościami, na olbrzymim łożu okrytym jedwabiem. Niemowlę przedstawione wszystkim jako król Francji zakończyło życie.





## V

### Potomek Lombardów w krypcie Saint-Denis

- Co poczniemy teraz? - rozważali Bouville'owie. Wpadli we własny potrzask.

Regent nie zwlekał z odjazdem. Zebrawszy członków rodziny królewskiej, poprosił, aby wsiedli na koń i towarzyszyli mu do Paryża, gdzie natychmiast odbędą naradę. Gdy orszak ruszał, Bouville zebrał się na odwagę.

- Dostojny Panie!... - zawołał, chwytając za uzdę wierzchowca regenta.

Ale Filip natychmiast go powstrzymał.

- Ależ tak, ależ tak, Bouville; dziękuję wam za współczucie w naszym strapieniu. Nic wam nie zarzucamy, wierzcie. Takie jest prawo ludzkiej natury. Przekażę wam moje polecenie odnośnie pogrzebu.

Spiął konia ostrogami i przejechawszy zwodzony most, puścił się w cwał. W takim pędzie ci, co mu towarzyszyli, nie mieli czasu na rozmyślenia w drodze.

Większość baronów podążyła za nimi. Pozostało ledwie kilkunastu pomniejszych; nie mając nic do roboty, zwlekali z odjazdem i w małych grupkach omawiali wydarzenie.

- Widzisz - mówił Bouville do żony - powinienem był w tejże chwili powiedzieć. Dlaczego mnie powstrzymałaś?

Stali we wnęce przy oknie i szeptali, ledwie wążąc się wyjawiać własne myśli.

- Mamka? - podjął Bouville.

- Czuwałam nad nią. Zaprowadziłam ją do mojej własnej komnaty, zamknęłam na klucz i postawiłam dwóch ludzi przy drzwiach.

- Niczego się nie domyśla?

- Nie.

- Trzeba jednak jej powiedzieć.

- Zaczekajmy, aż wszyscy odjadą.

- Ach! Powinienem był powiedzieć - powtórzył Bouville.

Dreńczyły go wyrzuty sumienia, że nie poszedł za pierwszym odruchem. „Gdybym wykrzyczał całą prawdę przed wszystkimi baronami i dostarczył dowodu natychmiast...” Musiałby na to mieć inny charakter, być człowiekiem pokroju na przykład konetabla; przede wszystkim zaś nie posłuchać żony, gdy ta ciągnęła go za rękaw.

- Czy mogliśmy wiedzieć - rzekła pani de Bouville - że Mahaut tak przeprowadzi swój plan i dziecko umrze na oczach wszystkich?

- W gruncie rzeczy - szepnął Bouville - lepiej byłoby przedstawić prawdziwego króla i niechby się los dopełnił.

- Przecież ci mówiłam!

- O tak, wyznaję. To był mój pomysł... Niefortunny...

Kto bowiem zgodzi się im uwierzyć? Jak i komu oświadczą, że oszukali

zebranych baronów, wkładając koronę na główkę dziecka mamki? W czynie ich tkwiło świętokradztwo.

- Czy wiesz, co nam teraz grozi, jeśli nie zachowamy milczenia? - rzekła pani de Bouville. - Mahaut każe z kolei otruć i nas.

- Regent był z nią w zмовie, jestem tego pewien. Gdy wytarł ręce, kiedy je dziecko opluło, wrzucił ręcznik do ognia. Sam widziałem...

Odtąd najpoważniejszą troską było ich własne bezpieczeństwo.

- Toaleta dziecka? - podjął Bouville.

- Przyodziałam je razem z jedną z moich kobiet, kiedy ty odprowadzałeś regenta - odparła pani de Bouville. - Teraz zaś czuwa przy nim czterech giermków. Nic nam z tej strony nie grozi.

- A królowa?

- Wszyscy przy niej mają nakaz milczeć, żeby nie pogarszać jej stanu. Zresztą niezdolna chyba cokolwiek pojąć. Powiedziałam położnym, aby nie odstępowały od jej posłania.

Wkrótce potem przybył z Paryża szambelan Wilhelm de Seriz i zawiadomił Bouville'a, że regent kazał stryjom, bratu i obecnym parom, aby ogłosili go królem. Rada trwała krótko.

- Nasz Miłościwy Pan Filip - rzekł szambelan - postanowił jak najszybciej pochować bratanka, żeby nie zasmucać zbyt długo ludu tym nowym zgonem. Nie będzie wystawienia zwłok. Dziś jest piątek, a ponieważ w niedzielę nie wolno chować, przeto ciało zostanie jutro odprowadzone do Saint-Denis. Balsamista już jest w drodze. Opuszczam was, panie, bo król polecił mi zaraz wracać.

Bouville bez słowa pozwolił mu odjechać. „Król... król...” powtarzał sobie.

Hrabia de Poitiers został królem; mały Lombard będzie pochowany w opactwie Saint-Denis... a Jan I żyje.

Bouville udał się do żony.

- Filip został ogłoszony królem - rzekł. - Co pocniemy z tym królem, co został nam na rękach?

- Musimy go usunąć.

- O nie! - krzyknął oburzony Bouville.

- Nie o to chodzi. Tracisz rozum, Hugonie! - odparła pani de Bouville. - Chcę powiedzieć, że trzeba go ukryć.

- Lecz nie będzie panował.

- Przynajmniej będzie żył. A pewnego dnia... Kto wie...

- Ale jak go ukryć? Komu powierzyć, nie budząc podejrzeń? Przede wszystkim trzeba go karmić nadal...

- Mamka... Możemy posłużyć się tylko mamką - rzekła pani de Bouville. - Chodźmy do niej.

Nawiedziła ich szczęśliwa myśl, aby zaczekać na odjazd ostatnich baronów, nim wyznają Marii de Cressay, że syn jej nie żyje. Bo wrzask, jaki wydała, przeszył zamkowe mury. Zamarli ci, co go usłyszeli, wyjaśniono potem, że to krzyknęła królowa. Królowa zaś, chociaż nieprzytomna, podniosła się na posłaniu, pytając:

- Co się stało?

Nawet sędziwy seneszał de Joinville ocknął się ze swej drętwy i rzekł:

- Kogoś gdzieś zabijają; usłyszałem wyraźnie krzyk mordowanego.

W tymże czasie Maria bez przerwy powtarzała:

- Chcę go zobaczyć! Chcę go zobaczyć! Chcę go zobaczyć!

Bouville wraz z żoną musieli ją schwytać wpół, zanim oszalała rzuci się biegiem na zamkowe pokoje.

W ciągu dwóch godzin usiłowali ją uspokoić, pocieszyć, a przede wszystkim usprawiedliwić się, dziesiątki razy powtarzając wyjaśnienia, których nie pojmowała.

Próżno Bouville twierdził, że nie chciał tego, że to zbrodnicze dzieło hrabiny Mahaut... Słowa zapisywały się podświadomie w pamięci Marii, gdzie później ożyją, ale na razie były dla niej bez treści.

Przestawała na chwilę płakać, patrzyła wprost przed siebie, a później nagle zaczynała znów wyc jak pies przejechany przez wóz.

Bouville'owie myśleli, że naprawdę postradała zmysły. Wyczerpali wszystkie argumenty. Dzięki mimowolnej ofierze Maria uratowała prawdziwego króla Francji, potomka sławnej dynastii...

- Jesteście młoda - mówiła pani de Bouville - będziecie mieć jeszcze dzieci. Jakaż kobieta nie straciła w życiu co najmniej jednego dziecka w kołysce?

Wymieniała jej martwo urodzone bliźnięta Blanki Kastylijskiej, wszystkie od trzech pokoleń zmarłe w rodzinie królewskiej niemowlęta. Ileż matek co pewien czas w żałobie u Andegawenów, Courtenayów, Burgundczyków, Chatillonów, u tychże Bouville'ów, a jednak w szczęściu dożywały starości, otoczone licznym potomstwem! Na dwanaścioro czy piętnaścioro dzieci, które kobieta wydawała na świat, zazwyczaj przeżywało nie więcej niż połowa.

- Rozumiem jednak - ciągnęła dalej pani de Bouville. - Najciężej przeżywa się stratę pierwszego.

- Nie, nic nie rozumiecie! - krzyknęła wreszcie szlochając Maria. - Tego... tego żadne mi nigdy nie zastąpi!

Niemowlę, które jej zabito, było dzieckiem miłości, zrodzonym z większej namiętności i wiary silniejszej niż wszystkie prawa świata i jakikolwiek przymus; było ucieleśnionym marzeniem, za które zapłaciła dwoma miesiącami poniesionych obelg i czterema miesiącami klasztoru, doskonałym darem, jaki gotowała się ofiarować wybranemu mężczyźnie, cudowną roślinką, w jakiej spodziewała się widzieć przez całe życie kwitnącą miłość, którą przeżyła w zachwycie.

- Nie, wy nie możecie zrozumieć - jęczała. - Was rodzina nie wypędziła z powodu dziecka. Nie, nie będę miała innego.

Kiedy zaczyna się opisywać nieszczęście i przekładać na zrozumiałe zdania, już się je przyjęło do wiadomości. Rozdarcie, zmiażdżenie powoli zastępuje dalsza fala bólu - okrutne w nim zapamiętanie.

- Wiedziałam o tym, wiedziałam, kiedy nie chciałam tu przyjść, że nieszczęście mnie czeka!

Pani de Bouville nie śmiała odpowiedzieć.

- A co powie Guccio, kiedy się dowie? - rzekła Maria. - Jak zdołam mu powiedzieć?

- Nie powinien wiedzieć, moje dziecko, nigdy! - krzyknęła pani de

Bouville. - Nikt nie powinien wiedzieć, że król żyje, bo ci, co chybili ciosu, nie zawahają się uderzyć po raz drugi. Wam też grozi niebezpieczeństwo, bo byliście z nami w zмовie. Trzeba zachować tajemnicę, póki wam nie będzie wolno jej ujawnić.

Szepnęła do męża.

- Idź po Ewangelię.

Kiedy Bouville wrócił z grubą księgą, którą zabrał z kaplicy, wymogli na Marii, że położyła rękę na karcie i przysięgła zachować całkowite milczenie o tragedii, jaka się wydarzyła, nawet przed ojcem zmarłego dziecka, nawet na spowiedzi. Jedynie Bouville lub jego żona mogli ją zwolnić z przysięgi.

W sytuacji, w jakiej się znalazła, Maria zgodziła się zaprzysiąc wszystko, czego od niej żądano. Bouville przyrzekł jej rentę. Ale ona drwiła z pieniędzy!

- Teraz zaś musicie zachować przy sobie króla Francji i wszystkim mówić, że jest waszym synem - dorzuciła pani de Bouville.

Maria zbuntowała się. Nie tknie już dziecka, dla którego ocalenia zamordowano jej własne. Nie chciała pozostać w Vincennes; chciała uciec byle gdzie i tam umrzeć.

- Umrzecie prędko, bądźcie pewna, jeśli tylko puścicie parę z ust. Mahaut natychmiast każe was otuścić albo zasztyletować.

- Nie, nic nie powiem, przyrzekam wam. Ale pozwólcie mi, pozwólcie mi odejść!

- Odjedziecie, odjedziecie. Ale chyba nie dacie mu zginąć. Widzicie przecież, że jest głodny. Chociaż dzisiaj go nakarmcie - rzekła pani de Bouville, kładąc jej na ręce prawdziwego króla.

Kiedy Maria poczuła przy sobie dziecko, rozszlochała się w dwójnasób.

- Zachowajcie go. Będzie jak wasz - nalegała pani de Bouville. - A kiedy nadejdzie czas, by go osadzić na tronie, wraz z nim będą was czcili i będziecie jego drugą matką.

Wizja szczytów obiecywanych przez żonę opiekuna nie przekonałaby teraz Marii, dokonała tego obecność przytulonej do niej małej istotki, na którą nieświadomie przenosiła macierzyńskie uczucie.

Przytuliła usta do okrytej puszką główki dziecka i odruchowo rozpięła stanik szepcząc:

- Nie, nie mogę pozwolić ci zginąć, mój mały Jasiu... mój mały Jasiu...

Bouville'owie z ulgą odetchnęli. Wygrali przynajmniej na razie.

- Nie powinna już przebywać w Vincennes, kiedy jutro przyjdą zabrać jej dziecko - najcichszym szeptem odezwała się do męża pani de Bouville.

Nazajutrz opadła z sił Maria przyzwalając, by pani de Bouville rozstrzygała wszystkie sprawy, wraz z dzieckiem została odwieziona do klasztoru klarysek.

Pani de Bouville wyjaśniła matce przeorowskiej, że śmierć małego króla tak poważnie zachwiała równowagą Marii, że nie należy zwracać uwagi na nieprawdopodobne historie, jakie mogłaby opowiadać.

- Okrutnie nas przestraszyła; przeraźliwie krzyczała i nie poznawała nawet własnego dziecka.

Pani de Bouville zażądała, aby nie dopuszczać do młodej kobiety

żadnych gości, nawet sióstr i nowicjuszek klasztornych, aby umieszczono ją za klauzurą w całkowitym spokoju, w całkowitej ciszy.

- Jeśliby ktokolwiek do niej się zgłosił, nie zezwalać na widzenie i zaraz mnie zawiadomić.

Tegoż dnia przysłano do Vincennes dwa złociste prześcieradła z wytlaczanymi kwiatami lili, osiem łokci czarnej kitajki oraz dwie narzuty z tureckiego sukna haftowane w herby królestwa, aby przyozdobić trumnę króla Francji, który nosił pierwszy imię Jana. Istotnie dziecko zwane Janem odjechało w skrzynce tak malutkiej, że nie uważano za właściwe umieścić jej na wozie, lecz po prostu położono na jucznym siodle muła.

W sobotę, dnia 20 listopada 1316 roku, pan Galfryd de Fleury, skarbnik dworu, zapisał w swych rejestrach koszty pogrzebu, wynoszące sto jedenaście liwrów, siedemnaście soldów i osiem denarów.

Nie było długiego uroczystego pochodu ani okazałego nabożeństwa w katedrze Notre-Dame. Kondukt udał się bezpośrednio do opactwa Saint-Denis, gdzie zaraz po mszy odbyło się złożenie do grobu. U stóp posągu Ludwika X, jeszcze bielejącego świeżo wyciosanym kamieniem, otwarto wąski grób i spuszczone między kości monarchów Francji zwłoki dziecka Marii de Cressay, panny z Ile-de-France, i Guccia Baglioni, sieneńskiego kupca.

Adam Heron, pierwszy szambelan i marszałek dworu, stanął na skraju małego grobu i rzekł patrząc na swego pana, Filipa de Poitiers:

- Król umarł, niech żyje król.

Rozpoczęło się panowanie Filipa V Długiego, Joanna Burgundzka została królową Francji, a Mahaut d'Artois triumfowała.

Jedynie trzy osoby w królestwie wiedziały, że prawdziwy król żyje. Jedna z nich zaprzysięgła tajemnicę na Pismo święte a dwie pozostałe trzęsły się, że tajemnica ta nie zostanie dochowana.





## VI

### Francja w żelaznych rękach

**F**ilip V dążąc do tronu posłużył się w obrębie ustroju monarchicznego odwiecznym procederem, który we współczesnym nam języku zowie się zamachem stanu.

Objąwszy władzę królewską dzięki autorytetowi tak własnej osoby, jak i poparciu wiernych zwolenników, kazał na lipcowym zgromadzeniu ogłosić ustawę sukcesyjną, którą ewentualnie mógł wykorzystać, lecz dopiero po długiej zwłoce i zastosowaniu wstępnych klauzul. Śmierć małego króla wytworzyła sytuację sprzyjającą; naruszając poniekąd prawny porządek, który sam uprzednio ustanowił, Filip natychmiast sięgnął po koronę nie obserwując terminów ani klauzul.

Władza w takich warunkach zdobyta była siłą rzeczy zagrożona, przynajmniej na początku.

Filip pochłonięty umacnianiem swego stanowiska nie miał czasu ani delectować się własnym zwycięstwem, ani wpatrywać się w swój wizerunek w aureoli spełnionych marzeń. Szczyt, na który wstąpił, był wąski.

W całym królestwie języki poszły w ruch, znów szerzyły się podejrzenia. Pięść nowego króla była dostatecznie znana i wszyscy, co mogliby ucierpieć, skupili się wokół diuka Burgundii.

Ów wnet pojechał do Paryża, aby sprzeciwić się obwołaniu królem przyszłego teścia. Żądał zwołania Rady Parów i uznania królową Francji małej Joanny Nawarry.

Filip chcąc zapewnić sobie regencję poświęcił hrabstwo Burgundii; pragnąc zachować tron, zaofiarował się rozłączyć dwie korony Francji i Nawarry, tak niedawno ze sobą zespolone, i oddać małe pirenejskie królestwo wątpliwej córce swego brata.

Jeśli jednak Joanna była godna władać Nawarą, czyż nie była również godna panować we Francji? Diuk Eudoksusz takie zajął stanowisko i odrzucił propozycję. Miała nastąpić próba sił.

Eudoksusz szparko odjechał do Dijon, skąd w imieniu siostrzenicy wezwał wszystkich wielmożów w hrabstwach Artois, Pikardii, Brie i Szampanii namawiając ich, aby odmówili uzurpatorowi posłuszeństwa.

Zwrócił się z podobną propozycją do króla Edwarda II Angielskiego; ten zaś, mimo wysiłków żony Izabeli, pospieszył rozstrzygnąć spór stając po stronie Burgundczyków. Korzystając z rozbitcia, jakie zapanowało we Francji, król angielski spodziewał się uniezależnić Gujennę.

„A więc do tego doprowadziłam ujawniając wiarołomstwo moich bratowych!” - pomyślała królowa Izabela.

Widząc się zagrożonym na północy, wschodzie i na południo-zachodzie, inny książę, w przeciwieństwie do Filipa Długiego, może by i wypuścił kęs. Lecz nowy król wiedział, że ma przed sobą kilka miesięcy, zima to nie

czas na wojnę; wrogowie muszą czekać do wiosny, aby wystawić wojska. Najpilniejszą dla Filipa sprawą było włożyć koronę i przyodziać się w niezniszczalną godność pomazańca.

Początkowo chciał wyznaczyć uroczystość na dzień 6 stycznia; święto Królów wydawało mu się pomyślną wróżbą. Przedstawiono mu, że mieszczaństwo w Reims nie zdąży wszystkiego przygotować; udzielił trzydniowej zwłoki. Dwór wyjedzie z Paryża 1 stycznia, a koronacja odbędzie się 9, w niedzielę.

Nie zdarzyło się od czasów Ludwika VIII, pierwszego króla nie wybranego za życia swego poprzednika, aby następca tronu tak spieszył do Reims.

Kościelne wyświęcenie wydawało się jednak Filipowi nie wystarczające. Chciał dorzucić coś jeszcze, co w nowy sposób podziałałoby na wyobraźnię ludu.

Często rozważał pouczenia Egidiusza Colonna, preceptora Filipa Pięknego, człowieka, który istotnie ukształtował umysł Króla z Żelaza, jego zaś traktat o zasadach monarchii zawierał uwagi następującego rodzaju:

„Mówiąc w oderwaniu od rzeczywistości byłoby raczej pożądanym, aby król był obieralny; jedynie znieprawione żądze ludzi oraz ich sposób postępowania każą przedkładać prawo dziedziczości ponad elekcję”.

- Chcę być królem za zgodą moich poddanych - oświadczył Filip Długi - tylko za tę cenę będę się czuł godny nimi rządzić. Ponieważ zaś część wielkich mnie zawodzi, oddam głos maluczkiemu.

Ojciec wskazał mu drogę, w trudnych chwilach swego panowania zwołując zgromadzenia, na których były reprezentowane wszystkie warstwy, wszystkie „stany” królestwa. Filip postanowił, że w pierwszych tygodniach po koronacji będą obradować dwa takie zgromadzenia, lecz jeszcze szersze niż poprzednie, jedno w Paryżu dla ludności mówiącej narzeczem północnym, drugie w Bourges - narzeczem południowym. I wypowiedział słowa: „Stany Generalne”.

Nakazano legistom przygotować teksty, które miały być przedstawione do aprobaty Stanów - i to w taki sposób, aby Filip pojawił się jako wybraniec wyznaczony przez lud. Oczywiście powrócili do argumentów konetabla, a mianowicie, że lilie nie mogą prząść, Francja zaś jest zbyt szlacheckim krajem, aby popaść w niewieście ręce. Co dziwniejsze oparli się na fakcie, że między czcigodnym Ludwikiem Świętym a Panią Joanną Nawarry było trzech kolejnych królów, zaś między Ludwikiem Świętym a Filipem tylko dwóch. Co spowodowało, że hrabia de Valois z pełną racją wykrzyknął:

- Dlaczego w takim razie nie ja, przecież od Ludwika Świętego dzieli mnie tylko mój ojciec!

Następnie rajcy z Parlamentu zachęceni do gorliwości przez Milesa de Noyers, wydobyli z prochów, bez zbytniego zresztą przekonania, stary kodeks prawa zwyczajowego Franków Salickich - jeszcze sprzed nawrócenia Klodwiga na chrześcijaństwo. Kodeks ten nic nie mówił o przekazywaniu władzy królewskiej. Był to zbiór rozporządzeń z zakresu prawa cywilnego i karnego dość prymitywny, a ponadto niezbyt



zrozumiały, liczył bowiem przeszło osiem wieków. Krótka wzmianka zastrzegająca, że spadek w dobrach ziemskich winien przypaść w równym udziale synom zmarłego właściciela. To wszystko.

Wzmianka ta wystarczyła kilku doktorom prawa świeckiego do przeprowadzenia przekonującego wyводу. Korona Francji może przejść tylko na męskich potomków, gdyż korona wiąże się z władaniem ziemią. Czyż najlepszemu dowodu, że kodeks salicki był stosowany od zamierzonych dziejów, nie stanowi fakt, że wyłącznie mężczyźni dziedziczyli? Przeto Joannę Nawarry można było wyłączyć nie wysuwając oskarżenia o nieprawo pochodzenie, którego zresztą nie można było udowodnić.

Doktorzy byli mistrzami od gryzmołów. Nikt nie ośmielił się im zarzucić, że dynastia Merowingów wywodzi się nie od Franków Salickich, lecz od Sykambrów i Brukterów; nikt na razie nie spojrział na kartę owego słynnego prawa salickiego, które wymyślono, rzekomo na nie powołując się, a które zrobiło karierę w historii po zrujnowaniu królestwa przez spowodowanie wojny stuletniej.

Zaprawdę drogo kosztowało Francję wiarołomstwo Małgorzaty Burgundzkiej!

Na razie jednak władza centralna miała pełne ręce roboty. Filip już reorganizował administrację, powoływał do swej Rady możnych mieszczan i stworzył drużynę „rycerzy przybocznych”<sup>30</sup>, aby w ten sposób wyrazić wdzięczność tym co wiernie służyli mu od Lyonu.

Odkupił od Karola de Valois mennicę w Mans, nim odebrał dziesięć innych, rozsianych w całej Francji. Odtąd wyłącznie król miał prawo bić monetę, która krążyła w królestwie.

Wspomniawszy rady Jana XXII, gdy ów był jeszcze kardynałem Dueze, Filip szykował zmianę systemu przepisów kancelaryjnych i pobierania grzywien. Co sobota notariusze winni byli wpłacać do Skarbu zainkasowane kwoty, a wpis do akt miał podlegać opłatom ustanowionym przez Izbę Rozrachunkową.

Podobnie jak w kancelariach działało się w komorach celnych, okręgach administracyjnych, kapitanatach miejskich i urzędach podatkowych. Surowo zostały ukrócone nadużycia i oszustwa, które miały wolne pole od śmierci Króla z Żelaza. Na wszystkich szczeblach społeczeństwa, w całej gospodarce narodowej, w sądach, portach, na targach i jarmarkach ludzie odczuli i zrozumieli, że Francją rządzi twarda ręka... ręka dwudziestopięciolatka!

Wierności nie pozyskuje się bez dobrodziejstw. Za wstąpienie na tron Filip hojnie płacił.

Sędziwy seneszał de Joinville kazał się odwieźć do swego zamku Wassy i oświadczył, że tam chce umrzeć. Czuł się bliski końca. Syn jego Anzelm, który od Lyonu nie opuszczał Filipa, pewnego dnia rzekł do króla:

- Ojciec mój zapewniał, że dziwne rzeczy działy się w Vincennes podczas śmierci małego króla i doszły do jego uszu niepokojące pogłoski.

- Wiem, wiem - odpowiedział Filip. - Mnie również w owym czasie pewne fakty wydały się zaskakujące. Czy chcecie znać moje zdanie, Anzelmie? Nie chcę oczerniać Bouville'a, bo nie mam żadnego dowodu.

Ale sam się pytam, czy może nie dorósł on do powierzonego mu zadania. Tak był wzburzony, słuchał tylu plotek! Jego beładna przezorność podsyciała wyobraźnię ludzką... W każdym razie teraz już jest za późno.

Zaczekał chwilę i dorzucił:

- Anzelmie, kazałem zapisać na was w Skarbie cztery tysiące liwrów, donacja ta wyraźnie mówi o mej wdzięczności za pomoc, jaką mi zawsze okazywaliście. Jeśli zaś w dniu koronacji kuzyn mój, diuk Burgundii, nie przybędzie tam - jak myślę - aby mi przypiąć ostrogi, wam przypadnie ten zaszczyt. Jesteście na to rycerzem wystarczająco wysokiego rodu.

Złoto było zawsze najlepszym metalem, by zalutować usta, lecz Filip wiedział, że niektórym ludziom należy ponadto inkrustować nity.

Pozostała do załatwienia sprawa Roberta d'Artois. Filip gratulował sobie, że podczas ostatnich wydarzeń więził niebezpiecznego kuzyna. Ale nie mógł bez końca trzymać go w Chatelet. Zazwyczaj koronacji towarzyszy akt łaski i darowanie win. Wobec usilnych nalegań Karola de Valois, Filip udał łaskawego władcę.

- Aby wam zrobić przyjemność, stryju - powiedział - zwrócę wolność Robertowi...

Nie dokończył zdania i jakby rachował.

- ...ale dopiero w trzy dni po moim wyjeździe do Reims - dorzucił: - I będzie miał prawo oddalić się od Paryża jedynie na dwadzieścia mil.





## VII

### Tyle pogrzebanych marzeń!

Filip Długi wstępując na tron nie tylko wyminął dwa trupy, podeptał jeszcze dwie zrozpaczone kobiety, łamiąc życie królowej oraz nieznannej.

Nazajutrz, po pogrzebie w Saint-Denis rzekomego Jana I, królowa Klemencja Węgierska wbrew wszelkim oczekiwaniom, iż odda ducha, jęła powoli powracać do świadomości i życia. Jakież leki okazały się wreszcie skuteczne; gorączka i zakażenie opuszczały ciało, ustępując miejsca innym troskom. Pierwszym słowem królowej było pytanie o syna, którego ledwie miała czas dostrzec. Pamięć nasuwała jej obraz nagiego ciała, które nacierano wodą różaną i wkładano do kołyski...

Gdy z tysiąckrotną ostrożnością powiedziano, iż na razie nie można go jej pokazać, królowa szepnęła:

- Nie żyje, prawda? Wiedziałam o tym. Czułam to w gorączce... To również musiało mnie spotkać...

Nie miała piorunującej reakcji, jakiej się obawiano. Leżała pozbawiona sił, bez łez, z wyrazem tragicznej ironii na twarzy, jaką mają niektórzy ludzie pod koniec pożaru, przed dymiącymi zgliszczami własnego domostwa. Rozchyliła wargi jakby do śmiechu i przez chwil kilka wyglądała na obłąkaną.

Nieszczęścia pastwiły się nad nią bez miary; były w tej duszy obumarłe miejsca i los mógł w nie uderzać ze zdwojoną siłą nie wywołując cierpienia.

Bouville widział się wobec niej skazany na kłamliwą misję bezsilnego pocieszyciela. Każde słowo królowej dręczyło go wyrzutami sumienia.

„Dziecko jej żyje i nie mogę jej tego powiedzieć. Gdy myślę, że taką sprawiłbym jej radość!...”

Wielokrotnie litość, a nawet prosta uczciwość o mało go nie poniosły. Lecz pani de Bouville wiedząc, że ma słaby charakter, nigdy go nie zostawiała sam na sam z królową.

Przynajmniej połowicznie mógł sobie ulżyć oskarżając Mahaut, istotną winowajczynię.

Królowa wzruszyła ramionami. Co ją obchodziła ręka, którą posłużyły się siły zła, aby ją ugodzić?

- Byłam pobożna, byłam dobra; przynajmniej za taką się uważałam - mówiła - starałam się przestrzegać nakazów Kościoła i ulepszać tych, których miłowałam. Nigdy nie życzyłam nikomu nic złego. Bóg zaś gorliwie starał się mnie udreńczyć, bardziej niż jakiegokolwiek inne stworzenie... Widzę, że jeśli źli triumfują we wszystkim...

Nie buntowała się ani też bluźniła; po prostu stwierdzała jakąś kolosalną omyłkę.

Zaraza zabrała jej ojca i matkę, kiedy miała ledwie dwa lata, podczas gdy niemal wszystkie krewne księżniczki miały zapewnioną małżeńską

przyszłość, ona do dwudziestego drugiego roku życia musiała czekać na męża. Ów, który poprosił o jej rękę, wydawał się najlepszym na świecie kandydatem. Przybyła olśniona na zaślubiny z Francją, zatraciwszy się w nieziemskiej miłości, przeniknięta pragnieniem czynienia wszelkiego dobra. Zanim stanęła w swej nowej ojczyźnie, o mało nie utonąła w morzu. Po kilku tygodniach okazało się, że poślubiła mordercę i zastąpiła na tronie zaduszoną królową. Po dziesięciu miesiącach była już wdową i w ciąży. Zaraz odsunięto ją od władzy i odosobniono pod pozorem obrony. Przez tydzień szamotała się u wrót śmierci, a ledwie wyszła z tego piekła, dowiedziała się, że jej dziecko nie żyje, zapewne otrute jak przedtem jej mąż.

- Ludzie w mojej ojczyźnie wierzą w zły urok. Mają rację. Jestem zauroczona - powiedziała. - Nie wolno mi nic czynić, nikomu ufać, nawet Bogu.

Zużyła już wszystkie posiadane zasoby cnót - miłości, miłosierdzia, nadziei, a teraz opuściła ją wiara.

Podczas choroby przeszła przez takie męki, tak wyraźnie odczuła agonię, że wydawało jej się teraz dziwne, iż żyje; bez trudu oddycha, odżywia się, dostrzega ściany, sprzęty, twarze, to wszystko dostarczało jej jedynej wzruszeń, do jakich była jeszcze zdolna jej dusza w trzech czwartych obumarła.

W miarę jak postępowała jej powolna rekonwalescencja i jak odzyskiwała swą legendarną urodę, królowa Klemencja jeła ujawniać nawyki podeszłej wiekiem i kapryśnej kobiety. Rzekłoby się, że w tej godnej uwielbienia postaci o twarzy z fresku, złocistych włosach, wyniosłej piersi, smukłych członkach, które z dnia na dzień nabierały dawnego uroku, przetoczyło się nagle czterdzieści lat. W przepysznym ciele stara wdowa żądała od życia ostatnich swych radości. Będzie ich żądała jeszcze przez jedenaście lat.

Królowa dotąd wstrzemięźliwa, tak z powodu nakazów religii, jak i braku łakomstwa, wkrótce jeła okazywać dziwne wymagania, żądając wyszukanych i kosztownych potraw. Obsypywana przez Ludwika kosztownościami, o które wprawdzie nie dbała, obecnie ożywiała się przed puzdami pełnymi klejnotów, pasjonowała się rachowaniem kamieni, oceniając ich wielkość lub wodę, kalkulując wartość. Z nagłą postanawiała zmienić oprawę i wzywała złotników na nie kończące się rozmowy. Spędzała także długie godziny ze szwaczkami, kazała kupować najdroższe wschodnie tkaniny i zamawiała niesłychane ilości pachnideł.

Wprawdzie opuszczając swe apartamenty, przywdziewała biały wdowi strój, lecz we własnych komnatach zakłopotani domownicy dziwili się, widząc ją przy kominku owiniętą w niesłychanie przezroczyście muśliny.

Dawna jej hojność przerodziła się w nedorzeczne marnotrawstwo, kupcy zmówili się, ponieważ wiedzieli, że każda cena będzie dobra. Chciwość ogarnęła służbę. A jakże! Oczywiście królowa Klemencja była dobrze obsłużona. Spierano się w kuchniach o przywilej, kto ma podać tacę, bo za pięknie ozdobioną leguminę, za mleczko orzechowe, za „złotą wodę” - właśnie ostatnio wynalezioną, sporządzoną z soku granatów, który długo nasiąkał rozmarynem i goździkami - królowa potrafiła otworzyć dłoń

pełną brzęczącą monety.

Niebawem zachciało jej się słuchać śpiewów i by uroczyste usta recytowały bajki, opowieści i romanse. Oziębłe jej spojrzenie pragnęło spoczywać wyłącznie na młodych twarzach. Smukły minstrel o namiętym głosie, który zabawiał ją przez godzinę z zamglonymi oczami na widok jej ciała w cypryjskich muślinach, otrzymywał tyle, że starczyło mu na biesiady w karczmach przez cały miesiąc.

Bouville niepokoił się ową rozrzutnością, ale i sam nie mógł się obronić przed jej dobrodziejstwami.

Pierwszego stycznia, w dzień gdy składało się powinszowania i dawało prezenty, mimo że rok urzędowy zaczynał się na Wielkanoc, królowa Klemencja wręczyła Bouville'owi haftowaną kiesę z trzystu złotymi liwrami. Były szambelan zawołał:

- O nie! Miłościwa Pani, na miłość Boską nie zasłużyłem na to!

Nie można jednak odrzucić daru królowej, jeśli nawet wiadomo że owa królowa się rujnuje<sup>31</sup>.

Tegoż 1 stycznia messer Tolomei złożył wizytę Bouville'owi. Bankier zauważył, że były szambelan zadziwiająco schudł i posiwiął. Na Bouville'u zwisała szata i policzki po obu stronach twarzy; wzrok miał niespokojny, a jednocześnie przytomność jakby już go zawodziła.

„Jakaś sekretna choroba trawi tego człowieka - pomyślał Tolomei - i nie zdziwiłbym się, gdyby śmierć go niebawem porwała. Sprawy Guccia trzeba mi spieszo załatwić”.

Tolomei był człowiekiem obytym. Z okazji Nowego Roku przyniósł dla pani de Bouville sztukę materii.

- ...aby wyrazić wdzięczność - rzekł - za wszelkie troski, jakie okazała tej panience, która urodziła syna memu siostrzeńcowi.

Bouville wzbraniał się również i przed tym darem.

- Ależ nie, ależ nie - nalegał Tolomei. - Chciałbym zresztą porozmawiać z wami o tej sprawie. Siostrzeniec mój wraca z Awinionu, gdzie zatrzymał go nasz Ojciec Święty, papież...

Tu Tolomei przeżegnał się.

- ...aby uporządkował rachunki jego szkatuły. Przyjeżdża po swą młodą żonę i dziecko...

Bouville uczył, że cała krew odpływa mu z serca.

- Chwileczkę, messer, chwileczkę - rzekł. - Oczekuje mnie posłaniec, któremu muszę dać pilną odpowiedź. Raczcie poczekać.

Ze sztuką materii pod pachą zniknął, aby naradzić się z żoną.

- Mąż wraca - rzekł.

- Jaki mąż? - spytała pani de Bouville.

- Mąż mamki.

- Ależ ona nie jest zameżna.

- Widocznie tak! Widocznie tak! Tolomei przyszedł. Masz, to ci przyniósł.

- Czego on chce?

- Żeby dziewczyna wyszła z klasztoru.

- Kiedy?

- Jeszcze nie wiem. Wkrótce.

- Więc dowiedz się i nic nie przyrzekaj.

Bouville znów pojawił się przed gościem.

- O czym więc mówiliście, messer Tolomei?

- Mówiłem wam, że wraca mój siostrzeniec Guccio, aby żonę i dziecko zabrać z klasztoru, gdzie raczyliście wyszukać im schronienie. Teraz nie mają się czego obawiać. Guccio ma list polecający Ojca Świętego i sądzę, że osiedli się w Awinionie, przynajmniej na pewien czas... Chciałbym wszakże zatrzymać ich u siebie. Czy wiecie, że jeszcze nie widziałem tego ciotecznego wnuczka, który mi się narodził? Byłem w drodze, lustrowałem moje kantory i dopiero dowiedziałem się z bardzo radosnego listu młodej matki. Przedwczoraj, zaraz po powrocie chciałem ich zobaczyć, lecz w klasztorze klarysek stanąłem u drzwi zamkniętych na głucho.

- Bo u klarysek reguła jest bardzo surowa - rzekł Bouville. - Następnie zaś, na waszą prośbę, daliśmy surowe zalecenia.

- Chyba nie stało się nic złego?

- Ależ... nie, messer, o niczym nie wiem. Zaraz bym was zawiadomił - odparł Bouville, który czuł się jak na roznie. - Kiedy więc przyjeżdża wasz siostrzeniec?

- Oczekuję go za dwa lub trzy dni.

Bouville spojrzał nań przestraszonym okiem.

- Proszę raz jeszcze mi wybaczyć - rzekł - ale nagle sobie przypomniałem, że królowa po coś mnie posłała, a tego jej nie przyniosłem. Wracam, zaraz wracam.

I znów się ulotnił.

„Ta choroba na pewno mu się gnieździ w głowie - pomyślał Tolomei. - Też przyjemność rozmawiać z człowiekiem, co ucieka co sekunda! Obyd tylko z kolei nie zapomniał i o mnie!”

Siadł na skrzyni i dobrą chwilę gładził futro bramujące rękaw.

- Już jestem - rzekł Bouville, unosząc zasłonę. - Mówiliście mi więc o waszym siostrzeńcu? Wiecie, jak mu jestem oddany. Co za miły towarzysz podróży do Neapolu! Neapol!... - roztkliwiając się powtórzył. - Gdybym mógł przypuszczać!... Biedna królowa, biedna królowa...

Padł na skrzynię obok Tolomeia i ocierał grubymi palcami łzy żalu po wspomnieniach.

„Nuże! Płacze mi teraz prosto w nos!” - pomyślał bankier, a głośno powiedział:

- Nic wam dotąd nie mówiłem o tych wszystkich nowych nieszczęściach; domyślałem się, jak bardzo was przygnębiły. Wiele o was myślałem...

- Ach! Tolomei, gdybyście mogli wiedzieć!... To było gorsze niż wszystko, co można sobie wyobrazić; szatan w to się wmieszał...

Za kotarą rozległo się suche pokasywanie i Bouville wstrzymał się na skraju niebezpiecznych zwierzeń.

„Patrzcie, ktoś nas podsłuchuje” - pomyślał Tolomei i spiesznie podjął:

- Ostatecznie w tym zmartwieniu pociechę mamy choć jedną. Mamy dobrego króla.

- Oczywiście, oczywiście, mamy dobrego króla - powtórzył bez wielkiego zapału Bouville.

- Lękam się - podjął bankier, usiłując odciągnąć Bouville'a nieco dalej od podejrzanej kotary - lękałem się, aby nowy król nie traktował źle nas, Lombardów. Otóż nie. Zdaje się, że nawet w niektórych seneskaliach powierzył pobór podatków ludziom z naszych kompanii. Muszę wam powiedzieć, że chciałbym, aby mój siostrzeniec, który bardzo pilnie pracował, dostał nagrodę, a to spotykając swą ukochaną wraz z potomkiem mieszkających już w moim domu. Kazałem przygotować pokój dla tych szczęśliwych małżonków. Zbyt oczernia się naszą młodzież. Nie wierzy się, że są szczerzy i zdolni do wiernej miłości. Zapewniam was, że tych dwoje wielce się miłuje. Wystarczy poczytać ich listy. Jeśli nawet ślub nie został zawarty wedle wszystkich reguł, cóż znaczy! Zaczniemy od nowa, a nawet was poproszę za świadka, o ile to nie uchybia waszej godności.

- Przeciwnie, wielki zaszczyt, prawdziwy zaszczyt - odparł Bouville patrząc na zasłonę, jakby tam szukał pajęczyny. - Ale istnieje rodzina.

- Jaka rodzina?

- No, tak. Rodzina mamki.

- Mamki? - powtórzył Tolomei już nic nie pojmując.

Po raz drugi za kotarą rozległo się pokasływanie. Bouville zmienił się na twarzy, mruknął coś niewyraźnie i zająknął.

- Otóż messer... tak chciałem powiedzieć... tak chciałem was od razu zawiadomić, ale wciąż mi ktoś przeszkadzał i zapomniałem. Ach! Tak, teraz muszę wam wyjaśnić... Waszą żonę waszego siostrzeńca, bo się pobrali, jak mówicie... prosiliśmy... Otóż, nie mogliśmy znaleźć mamki i łaskawie, bardzo łaskawie, na prośbę mojej żony zgodziła się karmić małego króla... Krótko, niestety! póki żył...

- Przyszła więc tu; wyście ją sprowadzili z klasztoru?

- I tam ją odprowadziliśmy! Przykro mi było wam wyznać... Ale widzicie, czas naglił. I wszystko stało się tak szybko!

- Ależ, panie, nie wstyďte się. Bardzo dobrze postąpiliście. Ta śliczna Maria! Więc to ona karmiła biednego, małego króla? Co za niespodziewana wiadomość i jakże zaszczytna! Szkoda tylko, że dłużej go nie karmiła - powiedział Tolomei już żałując wszystkich korzyści, jakie mógłby osiągnąć w podobnej sytuacji. - Łatwo więc wam będzie znów ją zabrać z klasztoru.

- O nie! Trzeba zgody rodziny, aby zabrać ją na stałe. Czyście widzieli się teraz z jej rodziną?

- Wcale! Bracia, którzy się tak awanturowali, byli, zdaje się, radzi, że się jej pozbyli i nigdy się nie pojawili.

- Gdzie oni mieszkają?

- U siebie, w Cressay.

- Cressay... Gdzie to może być?

- Tuż koło Neauphle, gdzie mam kantor.

- Cressay... Neauphle... bardzo dobrze.

- Zaprawdę, dziwnym jesteście człowiekiem, ważę się wam rzec! - wykrzyknął Tolomei. - Dziewczynę wam powierzam, wszystko o niej dokładnie opowiadam; idziecie po nią, żeby karmiła dziecko królowej, przebywa tu tydzień, dziesięć dni...

- Pięć - sprecyzował Bouville.

- Pięć dni - podjął Tolomei - a wy nie wiecie, skąd pochodzi ani prawie, jak się nazywa...

- Tak, wiem, wiem dobrze - czerwieniąc się rzekł Bouville. - Ale chwilami myśl ucieka mi z głowy.

Nie mógł po raz trzeci biec do żony. Niechby przysłała mu na pomoc, zamiast tkwić ukryta za kotarą i besztać go zaraz, gdyby popełnił głupstwo! Na pewno miała swoje powody.

- Ten Tolomei to jedyny człowiek, którego boję się w tej sprawie - uprzedzała Bouville'a. - Nos Lombarda wart trzydziestu psów gończych. Skoro zobaczy takiego jak ty gamonia samego, będzie ufniejszy i łatwiej mi będzie dalej prowadzić grę.

„Takiego jak ty gamonia... Ma rację, stałem się gamoniem - rozważał Bouville. - Umiałem jednak rozmawiać ongiś z królami i prowadzić ich sprawy. Wyswatałem królową Klemencję. Musiałem zajmować się konklawe i przechytrzać Dueze'a...”

Właśnie ta myśl go uratowała.

- Mówiliście mi, że wasz siostrzeniec ma list z nakazem Ojca Świętego - podjął. - Doskonale. Oto, co wszystko załatwia. Niech Guccio uda się po żonę i pokaże ten list. W taki sposób wszyscy będziemy kryci i nie narazimy się na wymówki ani na proces. Ojciec Święty! Czego chcecie więcej... Za dwa albo trzy dni, prawda? Życzymy sobie, żeby wszystko poszło jak najlepiej. Bardzo dziękuję za piękne sukno; jestem pewien, że wielce się spodoba mojej małżonce. Do zobaczenia, messer, zawsze jestem do waszych usług.

Czuł się bardziej wyczerpany niż po szarży w bitwie.

Tolomei opuszczając Vincennes rozważał: „Albo kłamie przede mną z jakiegoś nie znanego mi powodu, albo dziecinnieje. Ostatecznie zaczekajmy na Guccia”.

Pani de Bouville natomiast nie czekała. Kazała zaprząć lektykę i pojechała na przedmieście Świętego Marcelego. Tam zamknęła się z Marią de Cressay. Spowodowawszy śmierć dziecka żądała teraz od Marii, aby wyrzekła się swej miłości.

- Przysięgłyście tajemnicę na Ewangelię - mówiła pani de Bouville. - Ale czy zdołacie ją zachować przed tym człowiekiem? Czy będziecie mieć czoło żyć z waszym małżonkiem...

Teraz raczyła przyznać Gucciowi ten tytuł.

- ...utrzymując go w wierze, że jest ojcem dziecka, które nie jest jego własnym? To grzech ukrywać rzecz tak ważną przed współmałżonkiem! A gdy doprowadzimy do triumfu prawdy i przyjdziemy po króla, aby go osadzić na tronie, co wtedy powiecie? Jesteście za uczciwą dziewczyną i ze zbyt szlachetnego rodu, aby zgodzić się na podobną nikczemność.

Wszystkie te pytania Maria zadawała sobie już setki razy, w każdej samotnej chwili. Nie myślała o niczym innym, aż dochodziła do obłędu. I wiedziała dobrze, co odpowie! Wiedziała, że skoro znajdzie się w ramionach Guccia, nie zdoła udawać i milczeć, nie dlatego, że „to grzech”, ale dlatego, że miłość nie zezwoli jej na podobnie okrutne kłamstwo.

- Guccio mnie zrozumie. Guccio mnie rozgrzeszy. Pojmie, że to się stało bez mojej woli i pomoże mi dźwigać to brzemień. Guccio nic nie powie, o



pani, mogę przysiąc za niego jak za siebie.

- Możecie przysięgać tylko za siebie, moje dziecko... A tym mniej za Lombarda; myślicie, że zmilczy? Ściągnie lichwiarski procent.

- Pani, wy go obrażacie!

- Ależ nie, nie obrażam go, moja droga, znam ludzi. Przysięgłyście nie wyznać nawet na spowiedzi. Przecież macie pod swoją opieką króla Francji i nie zwolni się was z przysięgi, aż przyjdzie czas.

- Błagam, pani, zabierzcie króla, zwolnijcie mnie.

- Nie ja go wam dałam, lecz Boska wola. Macie przechować święty depozyt! Czy zdradziłybyście Pana Naszego Chrystusa, gdyby go wam oddano pod opiekę w czasie rzezi Niewiniątek? To dziecko musi żyć. Mążzonek mój winien baczyć na was oboje i w każdej chwili mieć was pod ręką, a nie żebyście odjechali do Awinionu, jak się o tym mówi.

- Uproszę Guccia, żebyśmy zamieszkali, gdzie zechcecie, zapewniam was, że nic nie powie.

- Nie powie, bo go wcale nie zobaczycie!

Walka - przerywana karmieniem małego króla - trwała przez całe popołudnie. Obie kobiety szamotały się jak dwoje zwierząt w potrzasku. Ale mała pani de Bouville miała ostrzejsze zęby i pazury.

- Co tedy ze mną zrobicie? Czy zamkniecie mnie tutaj na całe życie? - jęczała Maria.

„Bardzo bym chciała - myślała pani de Bouville. - Ale tamten przyjedzie z listem od papieża...”

- A jeśli by wasza rodzina zgodziła się was przyjąć z powrotem? - zaproponowała. - Sądzę, że pan Hugo zdołałby skłonić waszych braci.

Wrócić do Cressay, do wrogich krewniaków, wraz z dzieckiem, które będą uważać za owoc grzechu, podczas gdy jest ono najgodniejsze czi spośród wszystkich dzieci z całej Francji... Wyrzec się wszystkiego, milczeć, postarzyć się nie mając nic więcej do roboty poza rozmyślaniami nad potwornym zrządzeniem losu, nad rozpaczliwie powikłaną miłością, której nic nie powinno było zamącić. Tyle pogrzebanych marzeń!

Maria zbuntowała się; odnalazła siłę, jaka pchnęła ją, aby oddać się wybranemu mężczyźnie wbrew prawu i wbrew rodzinie. Gwałtownie odmówiła:

- Zobaczą się z Gucciem, będę do niego należała, będę z nim żyła! - zawołała.

Pani de Bouville wolno postukała palcami w poręcz krzesła.

- Wcale nie zobaczycie tego Guccia - odpowiedziała - bo gdyby się zbliżył do tego klasztoru albo jakiegoś innego o surowszej regule, gdzie moglibyśmy was zamknąć, i gdybyście porozmawiała z nim przez minutę, to będzie jego ostatnia chwila. Mój mążzonek, jak wam wiadomo, jest człowiekiem energicznym i groźnym, jeśli chodzi o ochronę króla. Jeśli tak bardzo wam zależy na zobaczeniu tego człowieka, będziecie mogła go oglądać, lecz z mizerykordią w plecach.

Maria wpełzła się zgięta.

- Wystarczy dziecka - szepnęła - aby nie zabijać także i ojca.

- Zależy tylko od was - rzekła pani de Bouville.

- Nie myślałam, że na dworze królewskim tak się nisko ceni ludzkie

życie. Oto i piękny dwór, jaki szanują poddani króla. Muszę wam powiedzieć, pani, że was nienawidzę.

- Jesteście niesprawiedliwa, Mario. Moje zadanie jest nad wyraz ciężkie i bronię was przed własną zgubą. - Napiszecie zaraz to, co wam podyktuję.

Zwyciężona, pozbawiona sił, z twarzą w ogniach i wzrokiem zaćmionym łzami, Maria kreśliła z trudem zdania, które nie sądziła, że kiedykolwiek napisze. List miał być przesłany do Tolomeia, aby go doręczył siostrzeńcowi.

Maria oświadczyła, że odczuwa wielki wstyd i wstręt do grzechu, który popełniła. Chce poświęcić się dziecku, które jest jego owocem, nie popadać więcej w błędy cielesne i gardzić tym, kto ją do nich skłonił. Zabraniała Gucciowi, aby kiedykolwiek starał się ją znów zobaczyć, gdziekolwiek by się znalazła.

Chciała choć dodać na zakończenie: „Przysięgam wam, że będziecie jedynym w moim życiu mężczyzną i nigdy z nikim się nie zwiążę”. Pani de Bouville odmówiła.

- Nie powinien przypuszczać, że go jeszcze kochasz. Jazda, podpiszcie i dawajcie mi ten list.

Maria nawet nie widziała, jak mała kobietka odchodzi.

- Znienawidzi mnie, będzie mną pogardzał i nigdy się nie dowie, że zrobiłam to, aby go ocalić! - pomyślała słysząc, że zatrząskuje się klasztorna furta.





## VIII

### Wyjazdy

Gdy nazajutrz rano do zamku Cressay przybył jeździec z kwiatem lilii na lewym rękawie i herbem królewskim wyhaftowanym na kołnierzu, wywołał on wielką sensację. Tytułowano go „Dostojnym Panem”, a bracia Cressay otrzymawszy kartkę wzywającą ich pilnie do Vincennes zaprawdę uwierzyli, że są powołani na dowódców wojskowych w jakimś mieście lub już mianowano ich seneszalami.

- Nic w tym dziwnego - powiedziała dama Eliabel - nareszcie przypomniano sobie o naszych zasługach i usługach, jakie oddaliśmy królestwu w ciągu dwóch wieków. Wygląda mi, że ten nowy król wie, gdzie szukać godnych ludzi. Jedźcie, synkowie, przystrójcie się jak najpiękniej i spieszcie w drogę. Na pewno trochę sprawiedliwości jeszcze pozostało w niebie i to jedyna pociecha po hańbie, jaką okryła nas wasza siostra.

Nie powróciła całkiem do zdrowia po chorobie ubiegłego lata. Stała się ociężała, straciła dawną piękną zwinność, lecz wyżywała swą władczość, dręcząc służącą. Zdała na synów zarząd skromnym majątkiem, gdzie wcale nie działa się lepiej.

Obaj bracia ruszyli więc w drogę z głową pełną ambitnych nadziei. Po przybyciu do Vincennes koń Piotra tak mocno sapał, iż można było przypuszczać, że odbył swą ostatnią podróż.

- Muszę z wami pomówić o poważnych sprawach, moi młodzi panowie - rzekł im na powitanie Bouville.

Poczęstował ich aromatycznym winem i osmażonymi w cukrze migdałami.

Bracia siedzieli na brzeżku krzesel jak dwaj więcej prostacy i ledwie wazyli się zbliżyć do ust srebrne puchary.

- A oto królowa idzie - rzekł Bouville. - Korzysta z przejaśnienia, żeby zaczerpnąć trochę powietrza.

Obaj bracia z bijącym sercem wyciągnęli szyje, aby zobaczyć przez zielonkawę szybki białą sylwetkę w obszernym płaszczu, idącą wolnym krokiem w otoczeniu kilku sług. Później spojrzeli po sobie i kiwnęli głowami. Widzieli królową!

- Chcę z wami porozmawiać o waszej młodziutkiej siostrze - podjął Bouville. - Czy bylibyście skłonni przyjąć ją z powrotem? Musicie jednak wpierw wiedzieć, że karmiła dziecko królowej.

Wyjaśnił im w najkrótszych możliwie słowach to, o czym było niezbędne ich zawiadomić.

- Ach! Mam dla was także dobrą wiadomość - ciągnął dalej. - Tego młodego Włocha, z którym zaszła w ciążę... już wcale nie chce widzieć i to nigdy. Zrozumiała, że zawiniła i że dziewczyna ze szlacheckiego rodu nie może się poniżyć, zostając żoną Lombarda, choćby najgładszego. Bo miły

to kawaler, trzeba przyznać, i bystry...

- Ale ostatecznie jest tylko Lombardem - przerwała pani de Bouville, która tym razem uczestniczyła w rozmowie. - Wyraźnie dowiódł, że jest człowiekiem bez czci i wiary.

Bouville pochylił głowę.

„Otóż to! Ciebie również muszę zdradzić, przyjacielu Guccio, mój miły towarzyszu podróży! Czy będę musiał zakończyć moje dni, zapierając się wszystkich, którzy mi okazali przyjaźń?” - pomyślał. Zamilkł zdając na żonę troskę o przeprowadzenie zamysłu.

Bracia byli nieco rozczarowani, zwłaszcza zaś starszy. Oczekiwali cudów, a chodziło tylko o ich siostrę. Czy każdy wypadek w życiu ma ich spotkać tylko za pośrednictwem siostry? Niemal jej zazdrościli. Mamka króla! I tak dostojne osobistości jak wielki szambelan kłopotą się o jej los! Kto by to sobie wyobrażał?

Trajkot pani de Bouville nie dopuszczał do chwili namysłu.

- Obowiązkiem chrześcijanina - paplała pani de Bouville - pomóc grzesznikowi w pokucie. Zachowajcie się jak godni rycerze. Kto wie, czy to nie z woli Bożej siostra wasza urodziła w odpowiedniej chwili, bez wielkiego pożytku, niestety, ponieważ mały król umarł, ale ostatecznie przyszła mu z pomocą.

Królowa Klemencja pragnąc okazać swą wdzięczność zapisze dziecku mamki pensję w wysokości pięćdziesięciu liwrów rocznie ze swego wdowiego uposażenia. Prócz tego trzysta liwrów w złocie już teraz zostanie im doręczona. Pieniądze są tutaj w pękatym haftowanym trzosie.

Obaj bracia Cressay nie potrafili ukryć wzruszenia. Fortuna spadała im z nieba, możliwość podwyższenia wyszczerbionego muru, który opasywał zamek, pewność sutego jądła przez cały rok, nareszcie perspektywa zakupu zbroi i wyekwipowania kilku niewolnych na zbrojnych pacholków, aby godnie stawić się do chorągwi na każde wezwanie! Wsławią się na polu bitwy!

- Uważnie mnie wysłuchajcie - sprecyzowała pani de Bouville - owe dary przeznaczone są dla dziecka. Gdyby było źle traktowane albo spotkało je nieszczęście, dotacja oczywiście zostanie cofnięta. Godność mlecznego brata króla użycza mu dostojęstwa, które winniście szanować.

- Oczywiście, oczywiście, zgadzam się... Ponieważ Maria kaja się - rzekł brat brodac, zaprawiając swój pośpiech patosem - i ponieważ wstawiają się za nią tak dostojne osoby jak wy, Szlachetni Państwo... musimy przyjąć ją z otwartymi ramionami... Opieka królowej zmazuje jej grzech. I odtąd niech nikt, herbowy czy chłop, nie waży się przy mnie jej wyśmiewać. Utnę mu łeb.

- A nasza matka? - spytał młodszy.

- Podejmuję się ją przekonać - odparł Jan. - Po śmierci ojca jestem głową rodziny. Nie należy o tym zapominać.

- Złożycie przysięgę na Ewangelię - podjęła pani de Bouville - że nie będziecie słuchać ani powtarzać cokolwiek wasza siostra mogłaby opowiadać, że widziała podczas swego tu pobytu, bo to są sprawy Korony, które należy zachować w ścisłej tajemnicy. Nic zresztą nie widziała; karmiła i koniec! Ale siostra wasza ma bujną wyobraźnię i lubi opowiadać

niestworzone rzeczy; wyraźnie wam dowiodła... Hugonie! Idź po Ewangelię.

Pismo święte po jednej stronie, trzos ze złotem po drugiej i królowa na przechadzce w ogrodzie... Bracia Cressay przysięgli milczeć o wszystkich sprawach związanych ze śmiercią króla Jana I, czuwać nad dzieckiem siostry, żywić je i strzec, a także wzbraniać wstępu uwodzicielowi.

- Ach! Przysięgamy z całego serca! Niech nigdy się nie pojawi ten łobuz! - krzyknął starszy.

Młodszy okazywał mniej zaciętrzewienia w niewdzięczności. Nie mógł się powstrzymać od myśli: „W każdym razie gdyby nie Guccio...”

- Będziemy się zresztą dowiadywali, czy dochowujecie waszej przysięgi - rzekła pani de Bouville.

Zaofiarowała się, że natychmiast odprowadzi obu braci do klasztoru klarysek.

- Za wiele trudu sobie zadajecie, Dostojna Pani - rzekł Jan de Cressay - ochno pójdziemy sami.

- Nie, nie, winnam pójść z wami. Matka przeorysza bez mojego zezwolenia nie wypuści Marii.

Oblicze brodacza sposepniało. Rozmyślał.

- Co wam? - spytała pani de Bouville. - Czy macie jakieś kłopoty?

- Otóż... chciałbym wpieryw kupić muła pod wierzch dla siostry.

Wówczas gdy Maria była w ciąży, kazał jej jechać na oklep z Neauphle do Paryża; lecz obecnie, gdy ich wzbogaciła, zależało mu, aby powrót odbył się godnie. Muł damy Eliabel zdechł zaś w ubiegłym miesiącu.

- Jeśli tylko na tym wam zależy - rzekła pani de Bouville - damy wam swego, Hugonie! Każ osiodłać jednego z naszych mułów.

Bouville towarzyszył żonie i obu braciom de Cressay aż do zwodzonego mostu.

„Chciałbym umrzeć, żeby wreszcie przestać kłamać i lękać się” - myślał nieszczęsny człowiek, wychudzony i drżący patrząc na ogołocony las.

„Paryż!... nareszcie Paryż!” - powtarzał sobie Guccio Baglioni, przejeżdżając przez bramę Świętego Jakuba.

Paryż był smętny i chłodny; jak zawsze po noworocznych zabawach życie w mieście jakby zamarło, a zwłaszcza w tym styczniu po wyjeździe dworu.

Młody podróżny wracając po półrocznej nieobecności nie widział ani strzepów mgły lgnących do dachów, ani nielicznych przechodniów. Miasto było dlań promienne i pełne nadziei; oto „nareszcie Paryż”, powtarzał sobie jak słowa najradośniejszej w świecie piosenki, co oznaczało: „nareszcie spotkam Marię”.

Guccio był przyodziany w futrzany płaszcz i opończę od deszczu z wielbłądziej wełny: czuł, jak ciąży mu u pasa mieszek zwany „chłopskim zadkiem”<sup>32</sup>, pełen uczciwych - opatrzonych menniczym stemplem papieża - liwrów; na głowie miał wytworny kapelusz z czerwonego filcu, zadarty z tyłu i wysunięty w długi szpic nad czołem. Nie można było przyodziać się strojnziej i bardziej kokieteryjnie. Nie można było odczuwać większej odeń radości życia.

Na podwórzku przy ulicy Lombardów zeskoczył z siodła i wyrzucając wprzód nogę - nadal trochę sztywną po wypadku w Marsylii - pobiegł, by się rzucić w ramiona Tolomeia.

- Drogi wujku, mój przezacny wujku! Widzieliście mojego syna? Jak wygląda? A Maria - jak wszystko zniosła? Co wam mówiła? Kiedy mnie oczekuje?

Tolomei bez jednego słowa podał mu list Marii de Cressay. Guccio przeczytał go dwakroć, trzykroć. Przy słowach: „Wiedźcie, że powzięłam wielki wstręt do mego grzechu i nie chcę już nigdy oglądać sprawcy mojego wstydu. Chcę odkupić tę hańbę...” Guccio wykrzyknął:

- To nieprawda, to niemożliwe! Ona nie mogła tego napisać!

- Czy to nie jej pismo? - zapytał Tolomei.

- Tak.

Bankier położył rękę na ramieniu siostrzeńca.

- Uprzedziłbym cię w czas, gdybym mógł - powiedział. - Ale otrzymałem ten list dopiero przedwczoraj, po wizycie u Bouville'a.

Guccio patrzył nań gorączkowym wzrokiem z zaciśniętymi zębami, nie słuchając. Spytał o adres klasztoru.

- Przedmieście Świętego Marcelego? Jadę tam - rzekł.

Zażądał konia, którego ledwie skończono wycierać, nic nie widząc jeszcze raz przejechał miasto i zadzwonił do furty klarysek. Tam otrzymał wyjaśnienie, że panna de Cressay wyjechała wczoraj, zabrali ją dwaj szlachcice, jeden z nich był brodaty. Próżno potrząsał pieczęcią papieską, pomstował i grzmiał: nie mógł nic więcej uzyskać.

- Przeorysza! Chcę widzieć się z matką przeoryszą!

- Za klauzurę mężczyznom wstęp wzbroniony.

Wreszcie zagrożono mu wezwaniem sierżantów ze straży.

Bez tchu z poszarzałą, zmienioną twarzą Guccio powrócił na ulicę Lombardów.

- To jej bracia, ci łajdacy bracia ją zabrali! - oznajmił Tolomeiowi. - Ach! Za długo mnie tu nie było. Piękną wiarę mi zaprzysięgła, nie dochowała jej nawet pół roku! Szlachetne damy, jak powiadają nam w romansach, po dziesięć lat czekają na swojego rycerza, który pojechał na wyprawę krzyżową! Ale na Lombarda nie czeka się! Bo to jest właśnie to, wuju, i nic innego. Przeczytajcie zwroty w jej liście! Wyłącznie obelgi i pogarda. Mogli ją zmusić, żeby się ze mną nie zobaczyła, ale nie żeby mnie w taki sposób policzkowała... Wreszcie, wujku! Jesteśmy bogaci, mamy dziesiątki tysięcy dukatów, najwyżsi baronowie przychodzą nas błagać o spłatę ich długów, sam papież wziął mnie na doradcę i powiernika w czasie całego konklawe i oto ci wiejscy zasrańcy plują mi na głowę ze szczytu ich warownego zamku, który rozwaliliby się jednym pchnięciem ramienia. Wystarczy, żeby się zjawili ci dwaj parszywcy, a już ich siostra mnie się zapiera. Jak to człowiek się myli, kiedy sądzi, że córka nie jest taka jak cała rodzina!

Smutek u Guccia szybko przechodził w gniew, a urażona duma pomagała mu bronić się przed rozpaczą. Przestał kochać, ale nie przestał cierpieć.

- Wcale nie rozumiem - mówił zrozpaczony Tolomei. - Wydawała się

taka kochająca, tak szczęśliwa, że do ciebie należy... Nigdy bym nie przypuszczał... Pojmuję teraz, dlaczego Bouville wydał mi się tak zmieszany przed dwoma dniami. Na pewno coś wiedział. A jednak listy, które od niej otrzymywałem... Nic nie rozumiem. Czy chcesz, żebym raz jeszcze zobaczył się z Bouville'em?

- Nic nie chcę, już nie chcę więcej niczego! - krzyczał Guccio. - Już dość naprzykrzałem się wielkim tej ziemi ze swoją troską o tę zdradliwą dziwkę. Nawet samego papieża prosiłem o opiekę nad nią... Mówisz - kochająca? Przymilała się do ciebie, kiedy sądziła, że swoi ją opuścili, i w nas tylko widziała ratunek. Jednakże byliśmy naprawdę małżeństwem. Bo nie brakowało jej niecierpliwości, żeby się oddać, ale nie bez księzowskiego błogosławieństwa. Mówiłeś mi, że pięć dni spędziła jako mamka przy królowej Klemencji! W głowie jej się przewróciło, że miała funkcje, które byle pokojówka mogłaby na jej miejscu pełnić. Ja także byłem przy królowej, ale w inny sposób jej pomagałem. Wśród burzy uratowałem ją...

Nie wiązał myśli, bredził ze wściekłości i chodząc po pokoju, wciąż wyrzucając nogę, przebyłby na pewno ćwierć mili.

- Może gdybyś poprosił królową...

- Ani królową, ani nikogo! Niech Maria wraca do swojej pełnej błota wioski gdzie grzeźnie się po kostki w gnoju. Na pewno wynajdą jej męża na podobieństwo jej zafajdanych braci, jakiegoś rycerza włochatego i śmierzącego, który jej będzie robił następne dzieci... Choćby teraz przyszła i pełzała u moich stóp, nie chciałbym już jej, słyszysz, już bym jej więcej nie chciał!

- Sądzę, że gdyby weszła, inaczej byś mówił - łagodnie rzekł Tolomei.

Guccio zbladł i zasłonił dłonią oczy. „Moja śliczna Maria...” Widział ją znów w izbie w Neauphle, widział ją tuż przy sobie; dostrzegał złote punkciki w szafirowych oczach. Jak podobna zdrada mogła kryć się w tych oczach!

- Wyjadę, wujku.

- Gdzież to? Wracasz do Awinionu?

- Pięknie bym tam wyglądał! Każdemu z osobna powiedziałem, że wrócę z małżonką; stroiłem ją we wszystkie cnoty. Sam Ojciec Święty pierwszy by mnie zapytał o wiadomości...

- Boccaccio mówił mi przed paru dniami, że Peruzzi na pewno wydzierżawia pobór podatków w seneskalii Carcassone...

- Nie! Ani Carcassone, ani Awinion.

- Ani Paryż, oczywiście... - rzekł ze smutkiem Tolomei.

Każdego człowieka, jakimkolwiek by był egoistą, pod wieczór jego życia nachodzi chwila gdy czuje się znużony, iż pracował tylko dla siebie. Bankier spodziewał się, że w domu jego zamieszka ładna siostrzenica i szczęśliwa rodzina, a z nagłą ujrzał, że rozwiewają się własne nadzieje, a na ich miejscu zarysowuje się perspektywa starości długiej i samotnej.

- Nie, ja chcę wyjechać - rzekł Guccio. - Nie chcę niczego od tej Francji, która nami tuczy się i gardzi, bo jesteśmy Włochami. Co zyskałem we Francji, pytam się ciebie? Nogę sztywną, cztery miesiące szpitala, sześć tygodni w kościele, a na ostatek... to! Powinienem wiedzieć, że nic mi z tego kraju. Przypomnij sobie! Nazajutrz po moim przyjeździe o mało nie

obaliłem na ulicy króla Filipa Pięknego. Nie był to dobry omen! Już nie mówiąc o moich podróżach po morzu, podczas których dwa razy o mało nie utonałem, i o tym całym czasie spędzonym na liczeniu bilonu chłopom z gródka Neauphle, ponieważ myślałem, że jestem zakochany.

- W każdym razie zarobiłeś kilka dobrych wspomnień - rzekł Tolomei.

- Ba! W moim wieku wspomnienia są zbędne. Chcę wrócić do mojej rodzinnej Sieny, gdzie nie brak pięknych dziewcząt, najpiękniejszych w świecie, jak twierdzą za każdym razem, kiedy mówię, że jestem sienneńczykiem. W każdym razie mniejsze łachudry niż te tutaj! Ojciec wysłał mnie do ciebie na naukę, myślę, że dosyć się nauczyłem.

Tolomei odemknął lewe oko: pod tą powieką czaiła się wilgoć.

- Może masz słuszność - rzekł. - Smutek minie ci prędzej, gdy będziesz daleko. Ale nie żałuj niczego, Guccio. Wcale nieźłą tu miałeś praktykę. Tu żyłeś, najeździłeś się, poznałeś nędzę biednego ludu i odkryłeś słabostki możliwych. Bywałeś na czterech dworach władających Europą. W Paryżu, Londynie, Neapolu i Awinionie. Nie za wielu ludziom zdarza się być zamkniętym w konklawe! Wdrożyłeś się w sprawy naszych banków. Oddam ci twoją część, sumka jest przystojna. Miłość cię skłoniła do kilku głupstw. Zostawiasz po drodze bastarda, jak każdy, kto wiele podróżował... A nie masz jeszcze dwudziestu lat. Kiedy chciałbyś wyjechać?

- Jutro, wujku Spinello, jutro, jeśli pozwolicie. Ale powrócę! - dorzucił Guccio ze wściekłością.

- Ech! Spodziewam się, mój chłopcze! Spodziewam się, nie dasz umrzeć staremu wujowi, nie zobaczywszy go wprzód.

- Wrócę któregoś dnia i zabiorę moje dziecko. Bo mimo wszystko należy tak do Cressayów, jak i do mnie. Dlaczego miałbym go im pozostawić? Żeby go wychowywali w stajni jak ostatniego kundla! Zabiorę go, słyszysz, i to będzie kara dla Marii. Wiesz, co się mówi w naszej ojczyźnie: zemsta Toskańczyka...

Przerwał mu ogłuszający hałas, który dotarł z parteru. Dom z drewnianych bali zadrżał w posadach, jakby dwanaście wozów frachtowych wjechało na podwórze. Trzaskały drzwi.

Wuj i siostrzeniec wypadli na kręte schody, gdzie już rozbrzmiewała wrzawa jak od szarży w bitwie. Jakiś głos zagrzemiał:

- Bankierze! Gdzie ten bankier? Trzeba mi pieniędzy.

I Dostojny Pan Robert d'Artois pojawił się u szczytu schodów.

- Bankierze, mój przyjacielu, przypatrz mi się, właśnie wychodzę z więzienia!... - zawołał. - Czy uwierzysz? Mój łagodny, najśladniejszy, ślepowy kuzyn... król, chcę powiedzieć, bo zdaje się, że został królem... nareszcie sobie przypomniał, że gniję w lochu, gdzie mnie wtrącił, i zwraca mi wolność, rozkoszne chłopię!

- Witajcie, Dostojny Panie - bez entuzjazmu rzekł Tolomei.

Wychylił się znad schodów, jeszcze wąpiąc czy przejście takiego huraganu mogło być dziełem jednego tylko człowieka.

Spuszczając głowę, żeby się nie uderzyć o framugę drzwi, d'Artois wkroczył do gabinetu bankiera i podszedł wprost do zwierciadła.

- Ojej! Wyglądam jak trup! - rzekł chwytając policzki w garście. - Trzeba przyznać, że ginie się z mniejszych powodów. Siedem tygodni,



wyobraź sobie, widzieć światło tylko przez okienko o żelaznych kratkach, grubych jak kutasy ośle! Dwa razy dziennie polewka, która już przypomina rozwolnienie, zanim się ją zjadło. Na szczęście mój Lormet przysyłał mi potrawy przyrządzone na swój sposób, inaczej już bym nie żył o tej porze. Posłanie nie lepsze niż jadło. Ze względu na moją królewską krew obdarzono mnie łożem. Musiałem połamać drzewo, żeby wyprostować nogi! Cierpliwości; wszystko będzie policzone drogiemu kuzynowi.

W istocie Robert nie schudł ani na uncję i więzienie mało nadwyreżyło jego solidne zdrowie. Choć mniej był rumiany, w zamian szare oczy barwy krzemienia lśniły złośliwiej niż dawniej.

- Piękną wolnością mnie się obdarzyło! „Jesteście wolni, Dostojny Panie - ciągnął dalej olbrzym, naśladując naczelnika Chatelet. - Lecz ...lecz nie możecie odjechać dalej niż na dwadzieścia mil od Paryża; lecz sierżanci królewscy muszą znać wasz adres; lecz kapitanat w Evreux - gdybyście jechali do waszych włości - musi być uprzedzony”. Inaczej mówiąc: „Siedź tu, Robercie, objaż się po ulicach pod okiem straży albo jedź pleśnieć w Conches. Ale ani na krok w stronę Artois, ani na krok do Reims. Zwłaszcza nie chcemy ciebie widzieć na koronacji! Mógłbyś tam zaśpiewać jakiś psalm, który nie przypadłby do gustu tamtejszym uszom!”. Trafnie wybrano dzień, żeby mnie zwolnić. Ani za wcześnie, ani za późno. Cały dwór wyjechał, nikogo w Pałacu, nikogo u Valois. Naprawdę opuścił mnie ten kuzyn! I otom w wymarłym mieście bez centa w trzosie, żeby powieczerać dziś wieczór i znaleźć jakąś dziewczkę, na której bym wyładował moje miłosne zapęły! Bo siedem tygodni, widzisz bankierze... nie, ty nie możesz zrozumieć; te rzeczy już ci na pewno nie doskwierają. Zauważ, zauważ, dość się nałajdaczyłem w Artois, żeby jakiś czas siedzieć spokojnie; a tam szykuje się na pewno niezła ilość pacholąt, które nigdy się nie dowiedzą, że pochodzą od Filipa Augusta. Ale stwierdziłem dziwną rzecz, którą te szczury, doktorzy i filozofowie, powinni by zbadać. Dlaczego mężczyzna ma narząd, któremu im więcej daje się roboty, tym więcej jej potrzebuje?

Głośno roześmiał się, zatrzeszczało gotyckie dębowe krzesło, gdy na nim usiadł, i nagle jakby zauważył Guccia.

- A wy, mój kawalerze, jak tam wasze miłostki? - zapytał, co w jego ustach oznaczało po prostu „dzień dobry”.

- Moje miłostki! Dostojny Panie, nie mówmy o nich! - odparł Guccio niezadowolony, że przerwał mu gwałtowniejszy niż jego wybuch pasji.

Tolomei skrzywiwszy się dał znak hrabiemu d'Artois, że temat jest nie na czasie.

- No co! - krzyknął d'Artois z właściwą mu delikatnością. - Rzuciła was najdroższa? Dajcie mi prędko jej adres, już pędzę! Dalejże nie róbcie tak ponurej miny, wszystkie kobiety to dziwki.

- Na pewno, Dostojny Panie, wszystkie.

- Przeto!... Zadawajmy się przynajmniej z rzetelnymi dziwkami! Bankierze, trzeba mi pieniędzy. Sto liwrów. A zabieram twego siostrzeńca na wieczerzę ze mną, żeby mu wybić z głowy czarne myśli. Sto liwrów!... Tak, wiem, wiem, winien jestem wam bardzo dużo i wy mówicie sobie, że nigdy was nie spłacę; mylicie się. Wkrótce zobaczycie Roberta d'Artois

potężniejszym niż kiedykolwiek. Filip może wciskać sobie koronę aż po nos, wkrótce mu ją zrzucę. Bo powiem ci jedną rzecz, która jest warta więcej niż sto liwrów i może ci się bardzo przydać, żebyś uważał, komu pożyczasz... Jak karze się królobójstwo? Powieszeniem, ścięciem, poćwiartowaniem? Wkrótce będziecie przyglądać się zabawnemu widowisku: moja gruba stryjna Mahaut, goła jak wszetecznicca, rozrywana przez cztery konie, a jej paskudne flaki walające się w kurzu. I do towarzystwa ten borsuk, jej zięć! Szkoda, że nie można kaźnić dwa razy. Bo dwóch zabili, zbrodniarze. Nic nie mówiłem, póki byłem w Chatelet, żeby pewnej pięknej nocy nie przyszli mnie wykrwawić jak wieprza. Ale mogłem dowiadywać się na bieżąco. Lormet... wciąż mój Lormet: jaki dzielny człowiek! Wysłuchajcie mnie.

Po siedmiu tygodniach przymusowego milczenia niepowstrzymany gaduła nadrabiał stracony czas i nabierał tchu tylko po to, by jeszcze więcej mówić.

- Wysłuchajcie mnie uważnie. Po pierwsze: król Ludwik kładzie areszt na posiadłościach Mahaut w Artois, gdzie gorączkują się moi zwolennicy; Mahaut natychmiast go truje. Po drugie: Mahaut, chcąc się osłonić, wiezie Filipa do regencji wbrew Valois, który z kolei gotów jest poprzeć moje prawa. Po trzecie: Filip narzuca ustawę sukcesyjną, która odsuwa kobiety od francuskiego tronu, lecz nie od dziedzictwa lenna. Zakonotujcie sobie! Czwarte: Filip uznany regentem, może zebrać wojska, żeby mnie wypędzić z Artois, które już w całości odzyskuję. Niegłupim. Oddaję się w niewolę sam. Ale królowa Klemencja ma rodzić - chcą mieć wolną rękę; pakują mnie do więzienia. Piąte: królowa wydaje na świat syna. Potknięcie! Zamyka się Vincennes, kryje dziecko przed baronami, strachem albo przekupstwem zwabia się położną czy mamkę i zabija następnego króla. Po czym jazda na koronację do Reims! Oto, przyjaciele, jak zdobywa się koronę. A wszystko po to, żeby nie oddać mnie mojego hrabstwa.

Przy słowie „mamka” Tolomei i Guccio spojrzeli na siebie z niepokojem.

- Każdy tak myśli - zakończył d'Artois - lecz nie mając dowodów nikt nie śmie głośno mówić. Tylko ja mam dowody, ja! Przedstawię pewną damę, która dostarczyła im trucizny. A potem trzeba będzie, aby pośpiewała w drewnianych pantofelkach Beatrycze d'Hirson, ta rajfurka diabła w całej tej pięknej grze. Czas z tym skończyć, inaczej wszyscy zginiemy.

- Pięćdziesiąt liwrów, Dostojny Panie, mogę wam pożyczyć pięćdziesiąt liwrów.

- Skapcze!

- Tylko tyle mogę.

- Zgoda. Będiesz mi dłużny jeszcze pięćdziesiąt. Mahaut ci wszystko zwróci, i to z procentem.

- Guccio - rzekł Tolomei - chodź pomóc mi odliczyć pięćdziesiąt liwrów dla Dostojnego Pana.

Odszedł z siostrzeńcem do sąsiedniego pokoju.

- Wuju - szepnął Guccio - czy myślicie, że to prawda, co on prawi?

- Nie wiem, mój chłopcze, nie wiem; ale sędzę, że na pewno masz rację,

chcąc wyjechać. Niedobrze jest być wmieszanym w tę sprawę, która śmierdzi. Dziwne zachowanie się Bouville'a, nagła ucieczka Marii... Na pewno nie można brać dosłownie całej gadaniny tego postrzeleńca, ale zauważyłem, że często nie odbiega od prawdy, jeśli chodzi o przestępstwa; jest w nich mistrzem i zwietrzy je z daleka. Przypomnij sobie wiarołomstwo księżniczek. Właśnie on je wysledził i nam oznajmił. Twoja Maria... - rzekł bankier kiwając tłustą ręką w geście powątpiewania. - Może jest mniej naiwna i mniej szczerą, niż się wydaje. Na pewno to tajemnicza sprawa.

- Po jej zdradzieckim liście można uwierzyć we wszystko - rzekł Guccio, którego myśli rozbiegały się w wielu kierunkach.

- W nic nie wierz, nie szukaj niczego, jedź. To dobra rada.

Gdy Dostojny Pan D'Artois dostał pięćdziesiąt liwrow, nie ustawał zapraszać Guccia na małe przyjęcie, którym zamierzał uczcić swoje oswobodzenie. Musiał mieć towarzysza, raczej upiłby się z własnym koniem, niż pozostał sam.

Tak usilnie nalegał, że Tolomei wreszcie szepnął siostrzeńcowi:

- Idź, bo inaczej go urazimy. Ale trzymaj język za zębami.

Przeto Guccio zakończył swój dzień pełen rozpacz w karczmie, którego właściciel opłacił haracz dowódcom straży, żeby mu pozwolili trochę porajfurzyć. Wszystkie zresztą słowa tam wypowiedane były powtarzane sierżantom.

Dostojny Pan d'Artois pokazał się ze swej najlepszej strony, nienasycony przy dzbanie, o niesłychanym apetycie, hałaśliwy, wulgarny, bezgranicznie czuł wobec swego młodego kompana, zadzierał spódnice dziewczkom, żeby każdy mógł zobaczyć prawdziwe oblicze jego stryjny Mahaut.

Guccio współzawodnicząc nie oparł się skutkom wina. I z błyszczącym okiem, włosami w nieładzie, wołał:

- Ja także wiem wiele rzeczy... Gdybym tylko zechciał powiedzieć...

- Więc mów, powiedz!

Oszołomiony trunkami Guccio zachował przebłysk ostrożności.

- Papież... - powiedział. - Ach! Wiele wiem o papieżu.

Nagle jął wylewać rzewne łzy na włosy ładacznicy, którą później spoliczkował, bo wydała mu się wcieleniem kobiecej zdrady.

- Ale ja wrócę... i go porwę!

- Kogo? papieża?

- Nie, dziecko.

Wieczór już tonął w zamieszaniu, spojrzenia były mętne, a dziewczki dostarczone przez rajfura nie miały na sobie ani strzępa odzieży, kiedy Lormet zbliżył się do Roberta d'Artois i szepnął mu na ucho:

- Jakiś człowiek jest na dworze i nas śledzi.

- Zabij go! - niedbale odparł olbrzym.

- Dobrze, Dostojny Panie.

W taki sposób pani de Bouville straciła jednego ze swych pachołków, któremu kazała iść trop w trop za młodym Włochem.

Guccio nigdy się nie dowie, że Maria swą ofiarą prawdopodobnie zaoszczędziła mu śmierci z brzuchem do góry na falach Sekwany.

Na wątpliwej jakości posłaniu Guccio tarzał się na piersiach spoliczkowanej dziewczki, która okazywała współczucie męskim smutkom; lżył nadal na Marię i wyobrażał sobie, że mści się na niej, gniotąc sprzedajne ciało.

- Masz rację! Ja także nie lubię kobiet, wszystkie one zdrajczynie - mówiła rozpustnica do Guccia, który nigdy nie przypomni sobie jej rysów.

Nazajutrz w kapeluszu nasuniętym po oczy, znużony, przepelniony obrzydzeniem, tak w ciele, jak i w duchu, Guccio ruszał w stronę Italii. Uwoził ze sobą grzeczną fortunę w postaci listu bankowego z podpisem wuja, a będącego jego udziałem w zyskach ze spraw, które prowadził w ciągu dwóch lat.

Tego samego dnia król Filip V żona jego Joanna i hrabina Mahaut wraz z całym dworem przybyli do Reims.

Bramy zamku Cressay już się zamknęły za piękną Marią, która miała tu żyć niepocieszona, pogrążona w wiecznej zimie.

Rzeczywisty król Francji będzie tu rósł jako mały bękart. Postawi swe pierwsze kroki wśród kaczek na błotnistym podwórzu, pokoziołkuje na łące porośniętej żółtymi irysami nad rzeczką, na tej łące, gdzie, ilekroć Maria będzie przez nią przechodziła, przeżyje za każdym razem swą krótką i tragiczną miłość. Dotrzyma przysięgi, wszystkich przysięg tak wobec Guccia, jak i królestwa. Zachowa swą tajemnicę, wszystkie swe tajemnice aż do łoża śmierci. Spowiedź jej pewnego dnia poruszy Europę.





## IX

### W przeddzień koronacji

**B**ramy Reims zwieńczone królewskimi herbami zostały świeżo odmalowane. Na ulicach zwisały jaskrawe draperie, kobierce i jedwabie, te same, które przed półtora rokiem zdobiły miasto podczas koronacji Ludwika X. Przy pałacu arcybiskupa pospiesznie wzniesiono trzy wielkie drewniane sale: jedną dla stołu króla, drugą dla stołu królowej, trzecią dla wielkich dostojników, aby wydać ucztę dla całego dworu.

Mieszczanie w Reims, obciążeni wydatkami na koronację, uskarżali się na nieco nadmierne koszty.

- Jeśli królowie tak szybko będą wymierali - mówili - wkrótce stać nas będzie tylko na jeden posiłek rocznie i to trzeba będzie nań sprzedać własne koszule! Już Klodwig nas grubo kosztował każąc się u nas chrzcić, a Hugo Kapet wybierając tu miejsce, aby włożyć koronę! Gdyby jakieś inne miasto w królestwie chciało od nas odkupić świętą ampułę<sup>33</sup>, chętnie byśmy dobili targu.

Do kłopotów finansowych dołączały się trudności związane ze zgromadzeniem - w środku zimy - wykwintnej żywności, niezbędnej dla tyłu gardzieli. I mieszczenie z Reims wymieniali: osiemdziesiąt dwa woły, dwieście czterdzieści baranów, czterysta dwadzieścia pięć cieląt, siedemdziesiąt osiem wieprzy, osiemset królików i zajęcy, osiemset kapłonów, tysiąc osiemset dwadzieścia gęsi, przeszło dziesięć tysięcy kur i czterdzieści tysięcy jaj, już nie mówiąc o beczułkach jesiotrów, które trzeba było sprowadzić z Malines, czterech tysięcy raków, wyłowionych w lodowatej wodzie, łososiach, szczupakach, linach, leszczach, okoniach i karpach, trzech tysięcy pięciuset węgorzach przeznaczonych na pięćset pasztetów. Przygotowano dwa tysiące serów i spodziewano się, że starczy trzysta beczek wina - na szczęście tłoczonego w okolicach - aby napoić tyle spragnionych gardzieli, które będą biesiadować trzy dni albo i dłużej.

Szambelani, którzy wcześniej zjechali, aby pokierować przygotowaniem do uroczystości, okazywali dziwne wymagania. Czyż nie kazali podać na jednym tylko posiłku trzysta pieczonych czapli? Ci dygnitarze bardzo przypominali swego pana, tego spieszącego się króla, który z tygodnia na tydzień zamawiał koronację, jakby chodziło o mszę za dwa obole na intencję złamanej nogi!

Od wielu dni cukiernicy wznosili zamki z marcepanów malowanych w barwy Francji.

A musztarda! Nie nadeszła musztarda. Potrzeba jej trzydzieści jeden kamionek. Następnie - biesiadnicy nie będą jedli z ręki. Niesłusznie sprzedano za podłą cenę pięćdziesiąt tysięcy drewnianych miseczek z poprzedniej koronacji, lepiej by było je umyć i przechować. Ze cztery tysiące dzbanów zostało stłuczonych czy skradzionych. Szwaczki pospiesznie obrębiały dwa tysiące sześćset łokci materii na obrusy i można

liczyć, że ogół wydatków wyniesie blisko dziesięć tysięcy liwrow.

Prawdę rzekłszy mieszkańcy Reims wyjdą jednakże na swoje ponieważ koronacja ściągnie wielu kupców lombardzkich i włoskich, a ci opłacali podatek od sprzedaży.

Koronacja - podobnie jak każda królewska uroczystość - odbywała się w iście jarmarcznym rozgardiaszu. Nieprzerwanie ciągnęły się widowiska dla ludu, na które zbiegał się on z daleka. Kobiety stroiły się w nowe szaty; kawalerowie nie skąpili na klejnoty, hafty, piękne sukna, a nawet futra sprzedawało się bez trudu. Fortuna uśmiechała się do spryciarzy, a kupczyk, który nie pożałował gorliwości zręcznie obsługując klientelę, zbijał w tydzień majątek na dobre pięć lat.

Nowy król zamieszkał w pałacu arcybiskupim, przed którym wciąż stały tłumy, aby oglądać monarszą parę lub wpadać w zachwyty na widok wozu królowej, obciążonego malinowym szkarłatem.

Królowa Joanna w otoczeniu dam dworu, z ożywieniem cechującym kobietę pełną radości z otrzymanych darów, czuwała nad rozpakowywaniem dwunastu wielkich kufrów, czterech nabijanych gwoździami bahutów<sup>34</sup>, kufra z obuwem i skrzynki z korzeniami. Garderoba jej z pewnością była najpiękniejsza ze wszystkich, jakie kiedykolwiek posiadała pierwsza dama Francji. Na każdy dzień, niemal każdą godzinę tego triumfalnego pochodu był przewidziany specjalny strój.

W opończy ze złotogłowiu podbitej gronostajami królowa uroczyście wjechała do miasta, gdzie na ulicach na cześć królewskiej pary odbywały się przedstawienia, misteria oraz igry. W przeddzień koronacji - na wieczór, która niebawem się odbędzie, królowa przybędzie w fioletowej aksamitnej szacie, bramowanej wiewiórczym futerkiem. Rano na koronację przywdzieje suknię z tureckiego złotogłowiu, na nią rozciętą purpurową szatę i płaszcz szkarłatny; na obiad - suknię haftowaną w herby Francji, zaś na wieczór przewidziana była szata ze złotogłowiu i dwa odmienne płaszcze gronostajowe. Nazajutrz włoży suknię z zielonego aksamitu, a następnie inną z lazurowej kamchy oraz pelerynę z popielic. Nigdy nie pokaże się w tym samym stroju ani w tych samych klejnotach<sup>35</sup>.

Cuda te leżały rozłożone w komnacie, której dekoracja również została sprowadzona z Paryża: białe, jedwabne opony z wyhaftowanymi złotą nicią tysiącem trzystu dwudziestu i jedną papużkami z tarczą herbową hrabiów Burgundii w środku, gdzie stał lew na czerwonym polu; siedem tysięcy srebrnych koniczynek zdobiło baldachim, kołdrę i poduszki. Na podłogę rzucono kobierce z herbami Francji i Burgundii.

Joanna kilkakrotnie wchodziła do apartamentu Filipa prosząc, by podziwiał piękno tkaniny lub kunsztowne jej wykonanie.

- Najdroższy mój Panie, mój wielce umiłowany - wołała - jakimże szczęściem mnie darzycie!

Choć niezbyt skłonna do okazywania uczuć nie mogła powstrzymać łez napływających do oczu. Olśniewał ją własny los, zwłaszcza gdy sobie przypomniła miesiące spędzone niedawno w więzieniu Dourdan. Co za nadzwyczajny obrót losu i to w niespełna półtora roku. Wspominała zmarłą Małgorzatę, wspominała swą siostrę Blankę Burgundzką uwięzioną wciąż w Zamku Gaillard... „Biedna Blanka tak lubiła stroje!” rozmyślała

przymierzając złoty pas wysadzany rubinami i szmaragdami.

Filip był zatroskany i raczej zachmurzał go entuzjazm żony; wspólnie z wielkim skarbnikiem przeglądał rachunki.

- Bardzo jestem rad, moja droga, że wszystko wam się tak podoba - wreszcie odpowiedział. - Widzicie, idę za przykładem mego ojca, który - jak go znałyście - był bardzo oszczędny w wydatkach osobistych, ale nie skąpił, gdy chodziło o blask majestatu. Pokazujcie te piękne stroje, bo nie tylko są dla was, ale i dla ludu, który wam je ofiarowuje ciężko pracując; troszczcie się o nie, bo nieprędko dostaniecie podobne. Po koronacji trzeba nam będzie zacisnąć pasa.

- Filipie - zapytała Joanna - czy w tym dniu nic nie uczynicie dla mojej siostry Blanki?

- Już uczyniłem, już to uczyniłem. Jest traktowana znowu jak księżniczka, ale pod warunkiem, że nie opuści murów, gdzie przebywa. Musi być przecie jakowaś różnica między nią, grzesznicą, a wami, Joanno, co zawsze byłyście czysta i niesłusznie obwiniona.

Wypowiedział ostatnie słowa, skierowując na żonę spojrzenie, w którym więcej widniało pieczy o honor królewski niż przekonania co do jej uczuć.

- A poza tym - dorzucił - mąż jej nie sprawia mi wcale radości w obecnym okresie. Mam w nim niedobrego brata.

Joanna pojęła, że próżno byłoby nalegać i że więcej zyska nie powracając do tego tematu. Odeszła, a Filip znów ją przeglądał zapisane cyframi długie karty, które mu przedkładał Galfryd de Fleury.

Koszty koronacji nie ograniczały się wyłącznie do strojów króla i królowej. Filip oczywiście otrzymał trochę prezentów; tak więc Mahaut podarowała mieniające się sukno na szatki dla młodziutek księżniczek i małego Ludwika Filipa.

Król jednak musiał sprawić nowe stroje pięćdziesięciu czterem zbrojnym sierzantom z osobistej straży oraz ich dowódcy Piotrowi de Galard, przełożonemu kuszników. Szambelani Adam Heron, Robert de Gamaches, Wilhelm de Seriz otrzymali po dziesięć łokci prążkowanego sukna z Douai na bojowe płaszcze. Łowczowie Henryk de Meudon, Furant de la Fouailles, Jasio Malgeneste, a także wszyscy łucznicy otrzymali nowy ekwipunek. Po koronacji nastąpi pasowanie dwudziestu rycerzy, a więc jeszcze dwadzieścia nowych szat w darze! Prezenty w postaci odzieży stanowiły zwyczajowe wynagrodzenie, a zwyczaj także żądał, aby król dodał do relikwiarza w Saint-Denis złoty kwiat lilii wysadzany szmaragdami i rubinami.

- W sumie? - spytał Filip.

- Osiem tysięcy pięćset czterdzieści osiem liwrów, trzynaście soldów i jednaście denarów, Sire - odpowiedział skarbnik - może moglibyście nałożyć daninę z okazji święta wstąpienia na tron?

- Moje wstąpienie na tron będzie radośniej świętowane, jeśli nie nałożę nowych podatków. Inaczej sobie zaradzimy - rzekł król.

W tejże chwili zapowiedziano hrabiego de Valois. Filip podniósł rękę do góry.

- Oto cośmy zapomnieli w naszych podsumowaniach. Zobaczycie, Galfrydzie, zobaczycie! Ten stryj sam będzie mnie kosztował drożej niż

dziesięć koronacji. Przychodzi do mnie z propozycjami. Pozostawcie mnie z nim sam na sam.

Ach! Jakież on wspaniały, ten Dostojny Pan de Valois! W haftach, wygalowany, dwa razy grubszy w puszystych futrach rozchylających się na szacie, obsypanej drogimi kamieniami! Gdyby mieszkańcy Reims nie wiedzieli, że nowy król jest młody i chudy, wzięliby tego wielkiego pana za samego króla.

- Drogi bratanku - zagaił - w wielkiej widzicie mnie trosce o was. Wasz szwagier nie przybył z Anglii...

- Już od dawna, mój stryju, królowie spoza kanału La Manche nie przybywają na nasze koronacje - odparł Filip.

- Prawda, ale reprezentował ich zawsze jakiś krewniak lub wielki dygnitarz dworski, żeby wystąpić w imieniu diuka Gujenny. Edward natomiast nie przysłał nikogo, oznacza to, że was nie uznał. Nie ma ani hrabiego Flandrii, którego zamierzaliście zjednać wrześnieowym traktatem, ani również diuka Bretanii.

- Wiem, stryju, wiem.

- Nie warto mówić o diuku Burgundii, o tym byliśmy przekonani, że was zawiedzie. Natomiast zjechała przed chwilą do miasta jego matka, nasza stryjna Agnieszka, nie myślę że akurat po to, żeby udzielić wam poparcia.

- Wiem, stryju, wiem - powtórzył Filip.

Niespodziewany przyjazd najmłodszej córki Ludwika Świętego bardziej zaniepokoił Filipa, niż pokazywał to po sobie. Wpierw myślał, że diuszesa Agnieszka przybyła na układy. Lecz nie spieszo jej było pojawić się, on zaś postanowił nie czynić pierwszego kroku. „Gdyby lud, który wiwatuje, gdy się ukażę, wiedział, jaką jestem otoczony wrogością i jakim niebezpieczeństwem” - mówił sobie.

- Tym sposobem nie macie ani jednego ze świeckich parów, którzy mają podtrzymywać waszą koronę<sup>36</sup> - podjął Valois.

- Ależ tak, stryju, zapominacie o hrabinie d'Artois... i o sobie.

Valois gwałtownie wzruszył ramionami.

- Hrabina d'Artois! - wykrzyknął. - Koronę ma trzymać kobieta, kiedy wy, Filipie, wy sami nabyliście prawa dzięki odsunięciu kobiet od tronu.

- Podtrzymywać koronę nie oznacza ją wkładać - rzekł Filip.

- Mahaut musiała snadź bardzo wam pomóc w osiągnięciu tronu, jeśli aż tak ją honorujecie! Dacie jeszcze więcej żeru krążącym kłamstwom. Nie wracajmy do przeszłości, ale ostatecznie, Filipie, czy właśnie Robert nie powinien reprezentować Artois?

Filip udał, że nie zauważył ostatnich słów stryja.

- W każdym razie są tu parowie duchowni - rzekł.

- Są tu, ano są... - rzekł Valois potrząsając pierścieniami. - Już ich tylko jest pięciu na sześciu. I co sądzicie, że co oni zrobią, ci parowie Kościoła, kiedy zobaczą, że ze strony królestwa tylko jedna ręka - i to jaka! - podnosi się, żeby was koronować?

- Lecz, stryju, czy wy siebie za nic nie macie?

Z kolei Valois nie odpowiedział na pytanie.

- Nawet wasz własny brat na was się dąsa - podjął.

- Karol bowiem zapewne nie jest należycie poinformowany - spokojnie



odparł Filip - że się w pełni pojedналиśmy, drogi stryju, i może sądzi, że wam usłuży, odmawiając mnie swoich usług... lecz bądźcie dobrej myśli, zapowiedział się i jutro tu będzie.

- Dlaczego już go nie mianujecie parem? Ojciec wasz zrobił to dla mnie, a wasz brat Ludwik dla was. Popierając was, czułbym się mniej osamotniony.

„Albo mniej samotny, knując przeciw mnie zdradę” - myślał Filip i podjął:

- Czy przyszlście wstawiać się za Robertem czy za Karolem, czy też chcecie rozmawiać ze mną we własnej sprawie?

Valois zamilkł, zagłębił się w fotelu, spojrział na diament iskrzący się na wskazującym palcu.

„Pięćdziesiąt czy sto tysięcy - rozważał Filip. - Kpię z innych. Ale ten mi jest nieodzowny, a on o tym wie. Jeśli odmówi i wywoła skandal, grozi mi, że będę musiał odłożyć koronację”.

- Mój bratanku - wyrzekł wreszcie Valois - sami widzicie że się wcale nie uchylam, a nawet poniosłem wielkie koszty na stroje i świętę, żeby was uczyć. Ale stwierdzając, że nie ma innych parów, sądzę, że i ja winienem się wycofać. Co powiedzą, gdy zobaczą mnie samego u waszego boku? Żeście mnie po prostu przekupili.

- Bardzo bym ubolewał, stryju, bardzo ubolewałbym. Ale trudno nie mogę was zmusić do tego, co wam się nie podoba. Może czas już nadszedł, aby skończyć z tym zwyczajem, który wymaga, żeby parowie podnosili rękę przy wkładaniu korony...

- Bratanku, mój bratanku! - wykrzyknął Valois.

-...a jeśli już potrzeba zgody na elekcję - nawiązał Filip - należy prosić o nią nie sześciu najwyższych baronów ale lud, który dostarcza żołnierzy do wojska i pieniędzy do Skarbu, mój stryju. Będzie to zadaniem Stanów, które zamierzam zwołać.

Valois nie mógł się pohamować, zerwał się z fotela i jął krzyczeć:

- Błuznicie, Filipie, albo może całkiem oszaleliście! Widziano to kiedykolwiek, żeby poddani wybierali króla! Piękna nowinka, te wasze Stany! Pomysł wprost od Marigny'ego, który urodził się wśród pospólstwa i tak bardzo szkodził waszemu ojcu. Przepowiadam wam, że jeśli tak się zacznie postępować, za pięćdziesiąt lat lud obejdzie się bez nas i wybierze na króla jakiegoś mieszczanina, doktora z Parlamentu albo zgoła jakiegoś rzeźnika wzbogaconego na okradaniu. Nie, mój bratanku, nigdy, tym razem postanawiam nieodwołalnie: nie będę trzymał korony nad królem, który nie jest nim z woli własnej, a w dodatku zamierza tak postąpić, żeby korona została wkrótce wydana na pastwę prostaków!

Cały purpurowy maszerował wielkimi krokami.

„Pięćdziesiąt tysięcy... czy sto tysięcy? - rozważał nadal Filip. - Jakiej trzeba sumy, żeby dokonał wołty?”

- Zgoda, stryju, nie trzymajcie - rzekł. - Wszelako pozwólcie, żebym zaraz wezwał wielkiego skarbnika.

- Po cóż to?

- Żeby mu polecić dokonanie zmian w spisie donacji, pod którym miałem jutro przyłożyć pieczęć z okazji uroczystego wstąpienia na tron. Na

spisie tym figurujecie na pierwszym miejscu... wraz ze stu tysiącami liwrów.

Fortel się udał. Valois stanął jak wryty z rozłożonymi rękoma.

Filip pojął, że wygrał, i choć zwycięstwo kosztowało go drogo, musiał zdobyć się na wysiłek, żeby się nie roześmiać, widząc stryjowską twarz. Ów zresztą niewiele potrzebował czasu, by wybrnąć z zakłopotania. Skamieniał był w odruchu gniewu i znów się wściekł. Posługiwał się gniewem, by zmącić cudze rozumowanie, gdy jego własne nazbyt słabło.

- Nasamprzód źródłem całego zła jest Eudoksjusz - wybuchnął. - Potępiam go i to mu napiszę. I po co hrabia Flandrii i diuk Bretanii stanęli po jego stronie i odrzucili wasze wezwanie? Kiedy król was wzywa, aby trzymać jego koronę, to się przyjeżdża. Czy mnie tu nie ma, mnie samego? Ci baronowie zaiste nadużywają swoich praw. Istotnie grozi, że tą drogą władza przejdzie w ręce drobnych wasali i mieszczan. Co zaś do Edwarda Angielskiego, jakążę wiarę można pokładać w mężczyźnie, który się zachowuje jak kobieta? Stanę przy waszym boku, właśnie żeby dać im naukę. W trosce zaś o sprawiedliwość przyjmuję to, co postanowiliście mi dać, mój bratanku. Słuszne jest bowiem, żeby wierni królowi inaczej byli traktowani, aniżeli ci, co go zdradzają. Dobrze rządzą. Pod... pod tym darem, który jest dowodem waszego uznania, kiedy się podpiszecie?

- Już teraz, stryju, jeśli tak życzyacie sobie... ale z datą jutrzejszą - odpowiedział król Filip V.

Po raz trzeci i jak zawsze pieniędzmi okiełznał Valois.

- Wielki czas na koronację - po odejściu Valois rzekł Filip skarbnikowi - gdyby trzeba było tak dalej dyskutować, sądzę, że musiałbym sprzedać królestwo.

Kiedy zaś Fleury zdumiewał się ogromem przyobiecanej sumy, król dorzucił:

- Uspokójcie się, uspokójcie, Galfrydzie, jeszcze wcale nie określiłem, kiedy donacja zostanie przekazana. Dostanie ją jeno w małych ratach... Ale będzie mógł pożyczyc pod jej zastaw... Teraz chodźmy na wieczerzę.

Ceremoniał żądał, aby po wieczornym posiłku król w otoczeniu dostojników i kapituły udał się do katedry na modły i medytację. W kościele ukończono już przygotowania; kobierce zawieszono, setki świec w kandelabrach i ogromne podium na chórze. Filip modlił się krótko, jednakże sporą ilość czasu poświęcił, aby przeciwiczyć się po raz ostatni w gestach, których ceremoniał od niego wymagał. Sam sprawdził, czy boczne wejścia zostały pozamykane, upewnił się, czy powzięto należne środki ostrożności, i rozpytał się, jak zostały wyznaczone miejsca.

- Parowie świeccy, członkowie rodu królewskiego i dostojnicy koronni zasiądą na podium - otrzymał wyjaśnienie. - Konetabl stanie przy was, kanclerz - obok królowej. Tron umieszczony naprzeciw waszego zajmie arcybiskup Reims, a fotele wokół głównego ołtarza przeznaczone są dla parów duchownych.

Filip powolnym krokiem przechadzał się po podium, przydeptał podgięty róg kobierca.

„Jakie to dziwne - rozważał. - Byłem tu w ubiegłym roku, w tym samym miejscu, na koronacji mojego brata. Nie zwracałem wcale uwagi na takie

szczegóły”.

Usiadł na chwilę, lecz nie na tronie królewskim, zabobonny lęk powstrzymał go od zajęcia tego miejsca już teraz. „Jutro... jutro będę prawdziwym królem”. Myślał o swoim ojcu, o szeregu przodków, którzy poprzedzili go w tym kościele; myślał o własnym bracie zgładzonym zbrodniczą ręką, w czym nie zawinił, lecz wyciągnął wszelkie korzyści z zabójstwa; myślał o następnej zbrodni popełnionej na dziecku, tej również nie nakazał, lecz był jej milczącym współwinowajcą... Rozmyślał o śmierci, o własnej śmierci i o milionach ludzi, swoich poddanych, o milionach ojców, synów i braci, którymi odtąd miał rządzić.

„Czy wszyscy są stworzeni na moje podobieństwo, zbrodniczy przy sposobności, niewinni tylko na pozór, gotowi służyć złu, aby zadowolić własne ambicje? Jednakże, kiedy przebywałem w Lyonie, pragnąłem wyłącznie sprawiedliwości. Czy aby na pewno? Czy natura ludzka jest tak wstrętna, czy też urząd królewski takimi nas czyni? Czy to haracz, jaki się płaci, gdy człowiek odnajduje w sobie tyle nieczystości i grzechu? Dlaczego Bóg nas stworzył jako istoty śmiertelne, przecie to śmierć właśnie czyni nas niemoralnymi ze strachu, jaki w nas wzbudza, a także dlatego, że się nią posługujemy? Tej nocy może będą usiłowali mnie zabić?”

Patrzył na wysokie cienie, chwiejące się na ścianach pomiędzy pilastrami. Nie odczuwał żalu, tylko po prostu brak szczęścia.

„Oto, co zapewne zwie się wznoszeniem modłów i właśnie po to nam się doradza w noc przed koronacją to czuwanie w kościele”.

Osądzał się trzeźwo takim, jakim był: złym człowiekiem o zdolnościach cechujących wybitnego monarchę.

Nie chciał spać, chętnie pozostałby tu jeszcze dłużej, medytując nad sobą, nad ludzkim przeznaczeniem, nad źródłem naszych czynów i rozmyślając o największych problemach świata, których nikt nigdy nie rozwiąże.

- Ile czasu potrwa ceremonia? - zapytał.

- Całe dwie godziny, Sire.

- Chodźmy! Trzeba postarać się zasnąć. Jutro musimy być wypoczęci.

Wróciwszy jednak do pałacu arcybiskupa, zaszedł do królowej i przysiadł na brzegu łoża. Mówił żonie o sprawach błahych, opowiadał o rozkładzie miejsc w katedrze, troszczył się o stroje córek.

Joanna już na wpół spała. Walczyła ze snem, by nie stracić wątku słów, dostrzegła u męża napięcie nerwowe i jakby wzrastający lęk, przed którym szukał ochrony.

- Przyjacielu mój - spytała - czy nie chcielibyście zasnąć przy mnie?

Zdawał się wahać.

- Nie mogę: nie uprzedziłem szambelana - wreszcie odpowiedział.

- Jesteście królem, Filipie - z uśmiechem rzekła Joanna - możecie wydać waszemu szambelanowi takie rozkazy, jakie wam się podoba.

Przez pewien czas rozważał. Ten młodzieniec, który umiał okiełznać orężem lub pieniędzmi swych najpotężniejszych wasali, odczuwał zmieszanie przed zawiadomieniem własnych sług o nagłej chęci dzielenia z żoną łoża.

Wreszcie wezwał jedną z pokojówek, śpiących w przyległym pokoju i posłał ją, aby zawiadomiła Adama Herona, że może nań nie czekać i nie spędzać tej nocy na progu jego komnaty.

Następnie rozebrał się wśród zasłon haftowanych w papużki, pod srebrzystymi koniczynkami baldachimu i wśliznął się między prześcieradła. I wielki lęk, przed którym nie mogły go obronić zastępy konetabla - był to bowiem lęk mężczyzny, a nie króla - ustąpił, gdy dotknął kobiecego ciała: długich, jędrnych nóg, uległego łona i gorącej piersi.

- Moja miła - szepnął Filip z ustami we włosach Joanny - moja miła, odpowiedz mi, czy mnie zdradziłaś? Odpowiedz bez obawy, bo jeśli nawet ongi zdradziłaś, wiedz, że ci przebaczyłem.

Joanna wyciągnęła swe długie ciało, szczupłe a silne, o kościach lekko wyczuwalnych pod palcami.

- Nigdy, Filipie, przysięgam - odpowiedziała. - Wyznam ci, że kusiło mnie, by to zrobić, ale nie uległam.

- Dziękuję, najmilsza - szepnął Filip. - Nie brakuje mi więc niczego do mojego majestatu.

Nie brakowało mu już niczego do królowania; zaprawdę podobny był do wszystkich ludzi w swym królestwie; potrzebna mu była kobieta i żeby naprawdę doń należała.





## X

### Dzwony katedry w Reims

Upłynęło kilka godzin, Filip w długiej szacie z kolorowego aksamitu, z rękami złożonymi na piersi, spoczywał na paradnym łożu, oczekiwał biskupów, którzy mieli go zawieść do Katedry.

Pierwszy szambelan Adam Heron także w przepysznym stroju stał przy łożu. Błady styczniowy poranek rozlewał mleczną poświatę.

Zastukano w drzwi.

- O kogo pytacie? - rzekł szambelan

- Pytam o króla.

- Kto prosi?

- Brat.

Zdumieni Filip i Adam Heron spojrzeli z niezadowoleniem po sobie.

- Dobrze. Niech wejdzie - rzekł Filip nieco się podnosząc.

- Macie bardzo mało czasu, Sire - zauważył szambelan.

Król go zapewnił, że rozmowa nie potrwa długo.

Piękny Karol de la Marche był w podróżnym stroju. Przybył właśnie do Reims i tylko na chwilę wstąpił do hrabiego de Valois. Jego twarz i krok tchnęły gniewem.

Mimo rozdrażnienia zaimponował mu widok brata w purpurze, spoczywającego w hieratycznej pozie. Zatrzymał się na chwilę z szeroko otwartymi oczami.

„Jakże on pragnie być na moim miejscu” - pomyślał Filip. Po czym rzekł głośno:

- A więc już jesteście, mój zacny bracie; dziękuję wam, że zrozumieliście waszą powinność i zadaliście kłam niecnym plotkom, które utrzymują, że nie będziecie na mojej koronacji. Wdzięcznym wam. A teraz szybko idźcie przebrać się, bo nie możecie tak się pokazać. Spóźnicie się.

- Mój bracie - odparł La Marche - wprawdzie muszę z wami pomówić o ważnych sprawach.

- O sprawach ważnych czy też sprawach, które są dla was ważne? Na razie rzecz najważniejsza, żeby duchowieństwo nie czekało. Za chwilę po mnie przyjdą biskupi.

- No to zaczekają! - zawołał Karol. - Każdy po kolei znajduje u was posłuchanie i ciągnie z tego zyski. Ze mną tylko, jak się zdaje, nie chcecie się liczyć. Tym razem mnie wysłuchacie!

- Tedy porozmawiajmy, Karolu! - rzekł Filip, siadając na brzegu łoża. - Lecz uprzedzam was, musimy się streszczać.

La Marche zrobił gest, który miał oznaczać: „Zobaczmy, zobaczmy” - i zasiadł w fotelu, starając się nadać i zadrzeć głowę.

„Biedny ten Karol! - pomyślał Filip. - Tak bardzo chce naśladować stryja Valois, a nie ma jego tuszy”.

- Filipie - podjął La Marche - wiele razy prosiłem was o nominację na

para, powiększenie mojego lenna, a także moich dochodów. Czy prosilem was, tak czy nie?

- Chciwa rodzinka... - szepnął Filip.

- A wy zawsze udawaliście wobec mnie głuchego. Teraz mówię wam po raz ostatni; przyjechałem do Reims, ale przybędę na waszą koronację tylko pod warunkiem, że zasiądę tam jako par. W przeciwnym razie odjeżdżam.

Filip przez chwilę patrzył nań bez słowa i Karol uczył, że pod tym spojrzeniem maleje, niknie, traci całą pewność siebie i wagę własnej osoby.

Ongi w obecności ich ojca Filipa Pięknego, młody książę doznawał podobnego uczucia własnej znikomości.

- Chwilkę, mój bracie - rzekł Filip. Wstał i podszedł do Adama Herona, który wycofał się w róg komnaty.

- Adamie - spytał szeptem - czy już wrócili baronowie, którzy pojechali po świętą ampułę do opactwa Świętego Remigiusza?

- Tak, Sire, są już w Katedrze wraz z duchownymi z opactwa.

- Dobrze. Tedy bramy miasta... jak w Lyonie.

I ręką wykonał trzy ledwie dostrzegalne ruchy, które oznaczały: kraty, zasuwę, klucze.

- W dzień koronacji, Sire? - szepnął w osłupieniu Heron.

- Właśnie w dzień koronacji. I pospieszcie się.

Gdy szambelan wyszedł, Filip wrócił na łożo.

- Tedy, bracie, o co mnie prosiliście?

- O parostwo, Filipie.

- Ach tak!... parostwo. Dobrze, bracie, zgodzę się, chętnie wam przyznam, lecz nie zaraz, bo zbyt głośno ogłaszaliście wasze pretensje. Gdybym wam teraz ustąpił, powiedziano by, że nie działałem wedle mej woli, ale pod przymusem i wszyscy po kolei sądziliby, że mogą postępować jak wy. Wiedźcie również, że nie będzie się nadawać lub powiększać lenn, zanim zostanie wydane zarządzenie, które ogłosi, iż dobra królewskie stanowią jedną i nierozłączną całość<sup>37</sup>.

- Ale ostatecznie parostwo Poitiers już wam nie jest potrzebne! Dlaczego mi go nie oddacie? Przyznajcie, że mój dział nie jest wystarczający!

- Niewystarczający? - zawołał Filip, bo gniew go już ogarniał. - Urodziliście się jako syn króla, jesteście bratem króla, czy naprawdę myślicie, że dział jest niewystarczający dla człowieka o waszym rozumie i waszych zasługach?

- Moich zasługach? - spytał Karol.

- Tak, waszych zasługach, które są znikome. Bo trzeba wam wreszcie powiedzieć wprost, Karolu: jesteście głupcem. Zawsze nim byliście i wcale nie zmądrzeliście z wiekiem. Jeszcze jako dziecko wydawaliście się wszystkim takim głuptasem i tak mało rozgarniętym, że nawet nasza matka wami gardziła, święta kobieta! I nazywała was „gąsiątkiem”. Przypomnijcie sobie, Karolu: „gąsiątko”. Takim byliście i takim zostaliście. Ojciec nasz wiele razy wzywał was na Radę, czegoście się tam nauczyli? Gapiliście się, kiedy radzono nad sprawami królestwa i nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek usłyszano od was choć jedno słowo, które by nie wywołało wzruszenia ramion naszego ojca albo pana Enguerranda. Czy myślicie, że zależy mi, żeby was uczynić silniejszym, za

tę piękną pomoc, jaką zapowiadacie, skoro od pół roku nie przestajecie knować przeciw mnie? Wszystko mogliście otrzymać inną drogą. Czy uważacie się za człowieka o mocnym charakterze i czy sądzą, że będą się płaszczyć przed wami? Nikt nie zapomniał waszej żalostnej miny w Maubuisson, kiedy nie przestawaliście beczeć: „Blanka, Blanka” i oplakiwać waszego wstydu przed całym dworem.

- Filipie! I wy takie rzeczy wygadujecie? - wykrzyknął la Marche ze zmienioną twarzą. - Czy wy, którego żona...

- Ani słowa na Joannę ani słowa na królową! - uciął Filip, podnosząc rękę. - Wiem, że chcąc mi zaszkodzić albo czuć się mniej samotnym w nieszczęściu, nadal rozpowszechniacie uwłaczające pogłoski.

- Uniewinniliście Joannę, bo chcieliście zachować Burgundię, ponieważ jak zawsze przedłożyliście własne interesy ponad honor. Ale może i mnie także moja niewierna małżonka jeszcze się czymś przysłuży.

- Co chcecie powiedzieć?

- Chcę powiedzieć to, co powiedziałem! - odparł Karol de la Marche. - I oświadczam wam, że jeśli chcecie mnie zobaczyć na koronacji, chcę tam zasiąść na miejscu para. Inaczej odjeżdżam.

Adam Heron wszedł do komnaty i zawiadomił króla skinieniem głowy, że rozkazy zostały przekazane. Filip podziękował mu tym samym ruchem.

- Odejdźcie więc, mój bracie - rzekł. - Jedna osoba jest mi teraz niezbędna: arcybiskup Reims. Chyba nie jesteście arcybiskupem? Wyjeżdżajcie więc, wyjeżdżajcie, jeśli tak się wam podoba!

- Ależ dlaczego - zawołał Karol - dlaczego stryj Valois zawsze otrzymuje, co chce, a ja nic?

Przez uchylone drzwi dochodził śpiew zbliżającej się procesji.

„I pomyśleć, że gdybym umarł, ten głupiec zostałby regentem” - pomyślał Filip. Położył dłoń na ramieniu brata.

- Kiedy będziecie szkodzić królestwu przez tak długie lata jak nasz stryj, będziecie mogli żądać, by wam zapłacono taką samą sumę. Ale dzięki Bogu, jesteście mniej sprawny w waszej głupocie.

Wskazał mu wzrokiem drzwi i hrabia de la Marche wyszedł zsiniały, trawiony bezsilną wściekłością, natykając się na wielki pochód duchowieństwa.

Filip powrócił na łożo, wyciągnął się, skrzyżował na piersi ręce i przymknął powieki.

Rozległy się miarowe uderzenia w drzwi, tym razem to biskupi stukali pastorałami.

- O kogo pytacie? - rzekł Adam Heron.

- Pytamy o króla.

- Kto go prosi?

- Parowie, biskupi.

Rozwarły się podwoje i wkroczyli biskupi z Langres i Beauvais w mitrach na głowach i relikwiarzach na szyjach. Zbliżyli się do łoża, pomogli królowi podnieść się, podali mu święconą wodę i podczas gdy klęczał na kwadratowym kawałku jedwabiu, odprawili modły.

Po czym Adam Heron narzucił na ramiona Filipa szkarłatny aksamitny płaszcz podobny do szaty. Znienacka wybuchł spór o pierwszeństwo.

Zazwyczaj diuk-arcybiskup z Laon stawał po prawicy króla. Lecz w owym okresie biskupstwo wakowało. Biskup z Langres, Wilhelm de Durfort miał zastąpić nieobecnego prałata. Ale Filip wyznaczył biskupa z Beauvais, aby stanął po jego prawicy. Miał ku temu dwa powody: po pierwsze biskup z Langres nieco zbyt pochopnie przygarniał w swej diecezji byłych templariuszy, zatrudniając ich jako kleryków; po drugie biskupem w Beauvais był Marigny, trzeci brat, bardzo sprytny prałat, zawsze gotów służyć każdej władzy pod warunkiem, że uzyska honory i wyciągnie zyski. Czyż nie dowiódł tego przed niespełna dwoma laty, zasiadając w trybunale, który miał skazać jego najstarszego brata Enguerranda? Filip go nie poważał, lecz wiedział, że winien go sobie zjednać.

- Jestem biskupem-diukiem i mnie się należy miejsce po prawicy - powiedział Wilhelm de Durfort.

- Biskupstwo w Beauvais zostało dawniej ustanowione niż w Langres - odparł Marigny.

Pod mitrami twarze jęły się czerwienić.

- Przewielebni, król decyduje - rzekł Filip.

I Durfort musiał stanąć po lewicy.

„Jeszcze jeden niezadowolony” - pomyślał Filip.

W tym porządku, wśród krzyży, świec i dymów kadzideł zeszli aż na ulicę, gdzie dwór z królową na czele już utworzyli orszak. Ruszyli ku katedrze.

Gromkie okrzyki rozlegały się wzdłuż drogi króla. Filip był blady i mrużył krótkowzroczne oczy. Ziemia w Reims nagle wydała mu się pod stopami dziwnie twarda; miał wrażenie, że stąpa po marmurze.

Przy głównym wejściu do katedry pochód zatrzymał się na nowe modły; następnie przy grzmocie organów Filip, idąc nawą, zbliżał się do ołtarza, do wielkiego podium, do tronu na którym nareszcie zasiadł. Pierwszym jego gestem było wskazanie królowej tronu po swej prawicy.

Kościół był przepelniony. Filip dostrzegał tylko morze koron, ramion w haftach, klejnotów, ornatów lśniących w blasku świec. U stóp jego ścielił się ludzki firmament.

Powiódł wzrokiem po najbliższych sąsiadach i obrócił głowę na prawo i lewo, aby zobaczyć zasiadających na podium. Był tu Karol de Valois, a także Mahaut d'Artois, kolosalna, opływająca w brokaty i aksamity. Przesłała mu uśmiech. Lecz Filip nie dostrzegł ani Karola de la Marche, ani też Filipa de Valois, którego zdał się szukać wzrokiem również własny ojciec.

Arcybiskup Reims, Robert de Courtenay w ciężkich kapłańskich ornatach powstał ze swego tronu, stojącego naprzeciw króla. Filip poszedł za jego przykładem i legł przed ołtarzem.

Przez cały czas, gdy śpiewano *Te Deum*, Filip rozważał: „Czy pozamykano dobrze drzwi? Czy moje rozkazy zostały wiernie wykonane? Mój brat nie jest kimś, kto by siedział w komnacie podczas mojej koronacji. I dlaczego nie ma Filipa de Valois? Co oni mi szykują? Powinienem być pozostawić na zewnątrz Galarda, żeby łatwiej mu było dowodzić kusznikami”.

Podczas gdy król tak się niepokoił, młodszy jego brat brodził w błocie.



Karol de la Marche, opuściwszy wściekły królewską komnatę, zaraz popędził do mieszkania hrabiów de Valois. Nie zastał stryja, który już wyjechał do katedry, lecz tylko Filipa szykującego się do wyjścia i bez tchu opowiedział mu o tym, co nazwał braterską „zdradą”.

Obaj kuzyni bardzo ze sobą zaprzyjaźnieni, gdyż mieli pokrewne upodobania i charaktery, wbijali sobie nawzajem Bóg wie co do głowy.

- Jeśli tak jest, ja także nie pójdę na koronację. Odjeżdżam z tobą - oświadczył Filip rad, że stwierdził swą niezależność wobec króla, dworu i własnego ojca.

Po czym zebrali świty i dumnie ruszyli ku bramie miasta. Pycha ich musiała ugiąć się przed zbrojnymi sierżantami.

- Nikt nie wejdzie ani wyjdzie. Rozkaz króla.

- Nawet księżęta królewskiego rodu?

- Nawet księżęta; rozkaz króla.

- Oto chce nas przymusić! - wykrzyknął Filip de Valois, który teraz zaczął działać na własną rękę. - My jednak wyjdziemy!

- W jaki sposób, skoro bramy zamknięto?

- Udajmy, że wracamy do mojego mieszkania. Pozwól mi działać.

Ciąg dalszy przypominał psoty nedorostków. Młody hrabia de Valois posłał giermków po drabiny, które szybko ustawili w głębi ślepego zaułka, gdzie mury zdawały się nie strzeżone. I oto obaj kuzyni, wypiąwszy pośladki, wdrapywali się na mury, nie przypuszczając, że po drugiej stronie ciągną się bagniska rzeczki Vesle. Spuścili się po sznurach do fosy. Karol de la Marche w lodowatym błocie stracił grunt pod nogami; byłby się utopił, gdyby go w czas nie wyłowili kuzyn, który miał sześć stóp wzrostu i krzepkie mięśnie. Po czym jak ślepcy weszli w grzęzawisko. Powrót nie przyszedł im na myśl. Posuwać się naprzód czy cofać oznaczało to samo. Narazili własne życie i groziło, że stracą dobre trzy godziny, by się wydobyć z tego bagna. Kilku giermków, którzy za nimi poszli, brodziło wokół i nie krępując się kłęło ich w głos.

- Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdziemy - krzyczał de la Marche, żeby dodać sobie odwagi - dobrze wiem, gdzie pójdę, wiem dobrze. Do Zamku Gaillard.

Filip de Valois, mimo chłodu ociekając potem, wychylił głowę nad gnijącego sitowia.

- Jeszcze ci zależy na Blance? - spytał.

- Wcale mi na niej nie zależy, ale tylko od niej dowiem się wielu rzeczy. Ona jedyna i ostatnia może nam powiedzieć, czy córka Ludwika jest bękartem i czy mój brat Filip został jak i ja rogiaczem! Na podstawie jej zeznań będę mógł zniesławić brata i oddać koronę córce Ludwika.

Głos dzwonów bijących z pełnym rozmachem dochodził aż do nich.

- Kiedy myślę, kiedy myślę, że to jemu dzwonią!... - mówił Karol de la Marche zanurzony do połowy ciała w błocie, wyciągając rękę ku miastu.

W katedrze szambelani właśnie zdjęli szaty z króla. Filip Długi stał przed ołtarzem jedynie w dwóch koszulach, jednej z cienkiego płótna i drugiej białej, jedwabnej, głęboko wyciętych na piersi i pod pachami. Zanim król otrzymał insygnia majestatu, stawał przed tłumem swych poddanych jako człowiek prawie nagi i drżący.

Wszystkie atrybuty koronacyjne spoczywały na ołtarzu pod pieczę opata z Saint-Denis, który je stamtąd przywiózł. Adam Heron wziął z rąk opata pludry, długie spodnie z jedwabiu haftowanego w kwiaty lilii, i pomógł królowi je wciągnąć, a także włożyć trzewiki również z haftowanej materii. Po czym Anzelm de Joinville, pod nieobecność diuka Burgundii, przywiązał do stóp króla złote ostrogi i wnet je zdjął. Arcybiskup pobłogosławił ogromny miecz - jak mówiono, własność Karola Wielkiego - i podnosząc za pendent<sup>38</sup> zawiesił u boku króla recytując:

- *Accipe hunc gladium cum Dei benedictione.*\*

- Panie konetablu, zbliżcie się - rzekł król.

Gaucher de Chatillon podszedł i Filip odparał pendent i wręczył mu miecz.

W całej historii koronacji nigdy konetabl bardziej nie zasłużył, aby dzierżyć w imieniu króla ten symbol wojskowej władzy. Gest był nie tylko dopełnieniem rytuału; wymienili długie spojrzenie. Symbol stapiał się z rzeczywistością.

Arcybiskup ostrzem złotej igły nabrał ze świętej ampuły - podanej mu przez opata z klasztoru Świętego Remigiusza - cząsteczkę owej oliwy wedle tradycji zesłanej z nieba i zmieszał ją palcem z olejami przygotowanymi na patenie. Po czym arcybiskup namaścił Filipa, dotykając wierzchołka głowy, piersi, między łopatkami i pod pachami. Adam Heron szepcił pierścienie i haczyki spinające tuniki. Koszula króla zostanie później spalona, ponieważ musnęło ją święte pomazanie.

Król wówczas został przyodziany w strój wzięty z ołtarza: najpierw w purpurową atlasową szatę haftowaną srebrną nicią, następnie w błękitną atlasową tunikę usianą złotymi kwiatami lilii i obrzeżoną perłami, w dalmatykę<sup>39</sup> z podobnej tkaniny, a na to wszystko nałożono monarszy wielki i szeroki płaszcz, spięty na ramieniu złotą agrafą. Filip czuł, jak stopniowo ciężar przygniata mu ramiona. Arcybiskup namaścił mu dłonie i wsunął na palec Filipa pierścień królewski. Włożył mu w prawą rękę złote berło, w lewą zaś Dłoń Sprawiedliwości. Przyklękawszy przed tabernakulum, prałat uniósł koronę, podczas gdy wielki szambelan począł wywoływać obecnych parów.

- Wspaniały i potężny pan hrabia...

W tej samej chwili wysoki, władczy głos rozległ się w głębi nawy:

- Powstrzymaj się, arcybiskupie! Nie koronuj tego uzurpatora. Rozkazuje ci córka Ludwika Świętego.

Tłum zakołysał się. Wszystkie głowy zwróciły się tam, skąd wzniósł się okrzyk. Obecni na podium oraz sprawujący obrządek wymienili zaleknione spojrzenia. Tłum się rozstał.

Otoczona kilku wielmożami, wysoka kobieta o jeszcze pięknej twarzy jędrnym podbródkiem, jasnych gniewnych oczach, w wąskim diademie włożonym na wdowi welon i bujne prawie białe włosy, szła w stronę chóru.

W przejściu szeptało:

- To diuszesa Agnieszka, to ona!

Ludzie wyciągali szyje, by ją zobaczyć. Dziwili się, że zachowała tak

---

\* Przyjmij ten miecz wraz z błogosławieństwem Bożym.

piękną postawę i tak pewny krok. Ponieważ była córką Ludwika Świętego, wyobrażali sobie, że należy do zamierzchłych czasów; myśleli, że jest staruszką, pochylonym cieniem w głębi burgundzkiego zamku. Nagle pojawiła się taką, jaką była w rzeczywistości, pięćdziesięcioletnią kobietą jeszcze pełną życia i majestatu.

- Powstrzymaj się, arcybiskupie - powtórzyła, gdy była ledwie o kilka kroków od ołtarza. - A wy wszyscy słuchajcie... Czytajcie, Mello! - rzuciła towarzyszącemu jej doradcy.

Wilhelm de Mello rozwinął pergamin i przeczytał:

- „My, wielce szlachetna Agnieszka Francuska, diuszesa Burgundii, córka Miłościwego Pana Ludwika Świętego, w imieniu własnym, a także syna naszego wielce szlachetnego i potężnego diuka Eudoksjusza, zwracamy się do was, baronowie i dostojnicy, obecni tu lub poza granicami królestwa, abyście wzbronili uznać królem hrabiego de Poitiers, który nie jest prawym dziedzicem tronu, i żądać, aby odłożono koronację potąd, aż zostaną uznane prawa Joanny, Pani Francji i Nawarry, córki i spadkobierczyni zmarłego króla i naszej córki”.

Lęk wzrastał na podium, a w głębi kościoła jęły się odzywać groźne pomruki. Tłum skupiał się.

Arcybiskup zdawał się zakłopotany koroną, nie wiedział, czy winien odłożyć ją na ołtarz, czy nadal sprawować obrzęd.

Filip stał nieruchomo, z obnażoną głową, bezsilny, obciążony czterdziestu funtami złota i brokatów, trzymając w bezradnych dłoniach symbole władzy i sprawiedliwości. Nigdy nie czuł się równie bezbronny, równie zagrożony, równie samotny. Uciskała go w dołku jakby żelazna rękawica. Był przerażająco spokojny. Wykonać jeden ruch, otworzyć w tej chwili usta, wszcząć dysputę oznaczało narazić się na tumult i bez wątpienia na klęskę. Zamarł w osłonie swych ornamentów, jakby u jego stóp toczyła się bitwa.

Dosłyszał szept parów duchownych:

- Co mamy czynić?

Prałat z Langres, który nie zapomniał obrazy, poniesionej przy ustawianiu się, uważał, iż należy przerwać ceremonię.

- Wycofajmy się i rozważmy - zaproponował któryś.

- Nie możemy, król już jest pomazańcem Bożym, jest królem, koronujcie go - sprzeciwił się biskup z Beauvais.

Hrabina Mahaut pochyliliła się ku córce Joannie i szepnęła:

- Łajdaczka! Zasługuje, by zdechła.

Konetabl żółwimi powiekami dał znak Adamowi Heronowi, aby podjął apel.

- Wspaniały i potężny pan, hrabia de Valois, par króla - wypowiedział szambelan.

Naonczas uwaga wszystkich skierowała się ku stryjowi króla. Jeśli odpowie na apel, Filip wygra, bo Valois stanowił rękojmię parów świeckich, wnosił rzeczywistą władzę. Jeśli odmówi, Filip przegra.

Valois nie okazywał pośpiechu i arcybiskup wyraźnie oczekiwał jego decyzji.

Wtedy Filip jednakże zdobył się na ruch, zwrócił ku stryjowi głowę;

spojrzenie, które nań skierował, było warte sto tysięcy liwrów. Burgundia nigdy tyle nie zapłaci.

Ekscesarz Konstantynopola ze skwaszoną miną powstał i stanął za bratankiem.

„Jakże dobrze zrobiłem, że się z nim nie targowałem!” - pomyślał Filip.

- Szlachetna i potężna Dama Mahaut, hrabina d'Artois, par króla - wywołał Adam Heron.

Arcybiskup podniósł ciężką, złotą obręcz, uwieńczoną z przodu krzyżem i wyrzekł nareszcie:

- *Coronet te Deus.*\*

Jeden z parów świeckich winien był natychmiast przejąć koronę, aby trzymać ją teraz ponad głową monarchy, a pozostali parowie mieli tylko przyłożyć symbolicznie palec. Już Valois wysunął ręce, lecz Filip powstrzymał go ruchem berła.

- Wy, moja matko, trzymajcie koronę - rzekł do Mahaut.

- Dziękuję, mój synu - szepnęła olbrzymka.

Tym publicznym uznaniem otrzymywała podziękowanie za dwukrotne królobójstwo. Zajmowała miejsce pierwszego w królestwie para i król potwierdził, w pełnym blasku, jej prawa do hrabstwa Artois.

- Burgundia nie pokłoni się! - zawołała diuszesa Agnieszka.

Zebrawszy swą świtę szła ku wyjściu, podczas gdy Mahaut i Valois powolnym krokiem prowadzili Filipa do tronu.

Kiedy na nim zasiadł, oparłszy stopy na jedwabnej poduszce, arcybiskup odłożył mitrę i pocałował króla w usta mówiąc:

- *Vivat rex in aeternum.*\*\*

Pozostali parowie duchowni i świeccy powtórzyli gest i słowa.

- *Vivat rex in aeternum.*

Filip czuł się znużony. Po siedmiu miesiącach nieustannych walk wygrał ostatnią swoją bitwę, aby objąć najwyższą władzę, której teraz nikt mu nie mógł zaprzeczyć.

Dzwony wstrząsały powietrzem, aby ogłosić jego triumf. Lud huczał przed katedrą życząc mu sławy i długiego życia, wszyscy przeciwnicy zostali pokonani. Miał syna - następcę tronu, szczęśliwą małżonkę, która miała z nim dzielić trudy i radości. Do niego należało królestwo Francji.

„Jaki jestem zmęczony, jakżem zmęczony!” - myślał Filip.

Chyba już nic nie brakowało temu dwudziestopięcioletniemu królowi, który upartą wolą narzucił swą władzę, wykorzystał dobrodziejstwa zbrodni i posiadał wszystkie cechy wielkiego monarchy.

Nadchodziły lata kary.



---

\* Niech cię Bóg ukoronuje.

\*\* Niech nam wiecznie żyje król.



## Noty historyczne do tomu 4



<sup>1</sup> Seneszał de Joinville w wieku około siedemdziesięciu pięciu lat zaczął pisać *Dzieje Ludwika Świętego*. Uczynił to na prośbę żony Filipa Pięknego, Joanny, królowej Nawarry, która chciała mieć księgę „świętych słów i dobrych uczynków” króla-krzyżowca.

Joinville pisał ją około dziesięciu lat. W międzyczasie zmarła królowa Joanna, autor przeto ofiarował księgę Ludwikowi Nawarry, przysłemu Ludwikowi X Kłótliwemu, z dedykacją: „Cnemu suzerenowi Ludwikowi, synowi króla Francji”, i dał mu ją osobiście, jak ukazują miniatury owego czasu.



<sup>2</sup> [Wśród dyscyplin naukowych średniowiecza alchemia odgrywała niepoślednią rolę. Interesowali się nią duchowni i świeccy, uczeni i szarlatani, mężczyźni i kobiety, arystokracja i pospólstwo.

Nauka ta przywędrowała do Europy ze Wschodu, głównie za pośrednictwem Arabów. Wedle tradycji pierwszym Europejczykiem, który się z nią zapoznał, był wielki uczone Gerbert, późniejszy papież Sylwester II (lata pontyfikatu 999-1003), choć jego zainteresowania kierowały się przede wszystkim ku teologii i matematyce. Dalsze swe rozprzestrzenienie się w Europie Zachodniej zawdzięcza alchemia wyprawom krzyżowym. Wśród uczonych i myślicieli owego czasu, którzy interesowali się tą nauką, spotykamy nazwiska tej miary, jak: Albert Wielki (1193-1280) lub Roger Bacon (1214-1294), a w późniejszych czasach w Polsce Michał Sędziwój (1566-1636). Najśłynniejszymi ośrodkami rozwoju alchemii były Paryż i Praga.

Sztuka transmutacji, czyli przemiany jednych metali w inne, opierała się na przekonaniu alchemików, że materia nieorganiczna posiada własny dynamizm, a jej doskonałą postacią jest złoto; można je wydobyć tak z materii organicznej jak mineralnej dzięki skomplikowanym procesom warzenia, destylacji, rozdzielania i łączenia w specjalnie na ten cel skonstruowanych piecach i retortach.

Złoto alchemiczne sporządzane było przez oddziaływanie „kamienia filozoficznego” na metale nieszlachetne. Ów kamień filozoficzny odpowiednio rozpuszczony nosił nazwę „eliksiru filozofów” i posiadał zdaniem alchemików nadzwyczajne właściwości; miał on przywracać starcom młodość, a chorym zdrowie. Nic więc dziwnego, że cieszyła się wielką popularnością nauka, która przyobiecowała ludziom bogactwo, młodość i zdrowie, a także nic dziwnego, iż do rzetelnych uczonych dołączali się wszelkiego pokroju szarlatani.

Uczeni zazdrośnie strzegli tajemnicy sporządzania złota, pisząc swe traktaty w zawiłej i symbolicznej formie, a nawet nie przekazywali jej własnym uczniom, jak to uczynił Seton, który nie zawierzył swych sekretów Sędziwojowi.

Władze kościelne spoglądały podejrzliwym okiem na metafizyczne teorie alchemików; inkwizycja wielu z nich spaliła na stosie, a sądy świeckie skazywały niejednokrotnie alchemika na powieszenie na ozłoconej szubienicy, jeśli zawiódł on nadzieje króla lub księcia.

Nauka współczesna zawdzięcza alchemikom wynalezienie wielu związków chemicznych, jak np. spirytus czy siarkowódór, oraz wykrycie pierwiastków, jak np. fosfor czy antymon.

W przeciwieństwie do doktorów ze średniowiecznych uniwersytetów, alchemicy nie wahali się „zbrukać rąk” fizyczną pracą; sami konstruowali swe piece, zaopatrywali laboratoria w niezbędne przyrządy, kładąc podwaliny pod naukę eksperymentalną. A czy ich przecucie możliwości przekształcania pierwiastków nie jest pokrewne współczesnym pracom z zakresu radioaktywności i energii atomowej?

Czy alchemicy istotnie sporządzali złoto? Zachowały się historyczne dowody transmutacji nieszlachetnych metali w złoto, jak np. eksperyment Helvetiusa, o którym współcześnie możemy przeczytać w liście Benedykta Spinozy do Jarriga Jellesa z dn. 25 marca 1667 r. (Bibl. Klasyków Filozofii, PWN 1961, s. 189, list XL)]



<sup>3</sup> Jakub Duèze (Jan XXII), wybrany papieżem w osobliwych, opisanych w ni-niejszym tomie okolicznościach - które ubraliśmy w formę powieściową, lecz nie wymyśliliśmy - w połowie swego pontyfikatu w wielu kazaniach i pismach podtrzymywał tezę o uszczęśliwiającym oglądaniu Boga.

[Warto dodać w tym miejscu, że Jan XXII na łożu śmierci został zmuszony przez doktorów Kościoła do odwołania swych tez o nieistnieniu piekła, a zaraz potem jego następca papież Benedykt XII na koncylium we Florencji w 1336 r. w encyklice „Benedictus Deus” sformułował pogląd w sprawie istnienia piekła w postaci po dziś dzień obowiązującej w Kościele.]



<sup>4</sup> Najbardziej rozpowszechnione jedwabne tkaniny, z których szyto w średniowieczu odzienia, były następujące: samit, przypominający nasz atlas; szemka i kamcha podobne do tafty [często z wzorem kwiatowym], tkaniny lite zwane złotogłowiem lub srebrnogłowiem oraz ciężkie brokaty o jedwabnej osnowie.

Wśród tkanin wełnianych cieszyły się popularnością marmurkowe sukna, tkane różnobarwną nicią, oraz sukna prążkowane, a także kamloty, sporządzane z wielbłądziej wełny lub kóz angorskich. Do tkanin wełnianych zaliczały się szkarłaty - najdroższe, najbardziej cenione sukna, w które strojono się na uroczyste okazje. Najwyższego gatunku szkarłaty pochodziły z Flandrii oraz Anglii. Barwnika dostarczał kermes - mały owad z Langwedocji, sprzedawano go w postaci suszu. Kilka było odcieni szkarłatów: malinowy, różowawy, fioletowy i krwisty.



<sup>5</sup> Większość autorów podaje liczbę dwudziestu trzech kardynałów, uczestników konklawe 1314-1316 roku. My doszukaliśmy się dwudziestu czterech nazwisk.

Do stronnictwa „rzymskiego” należało sześciu Włochów: Jakub Colonna, Piotr Colonna, Napoleon Orsini, Francesco Gaetani, Jakub Stefaneschi-Gaetani, Mikołaj Alberti (lub Albertini) da Prato; jeden Andegaweńczyk z Neapolu - Gwidon de Longis, a wreszcie Hiszpan, Łukasz de Flisco (niekiedy zwany Fieschi), krewniak króla Aragonii. Ci kardynałowie zostali mianowani jeszcze przed pontyfikatem Klemensa V i przed przeniesieniem papieżstwa do Awinionu; otrzymali swe kapelusze między 1278 a 1303 rokiem, za pontyfikatów: Mikołaja III, Mikołaja IV, Celestyna V, Bonifacego VIII i Benedykta XI.

Pozostałych kardynałów mianował już Klemens V. Do stronnictwa zwanego „prowansalskim” wchodził: Wilhelm de Mandagout, Béranger Frérol Starszy, Béranger Frérol Młodszy, z Cahors Jakub Duèze, a z Normandii: Mikołaj de Fréauville i Michał du Bec.

Wreszcie było dziesięciu Gaskończyków, a mianowicie: Arnold de Pélagrué, Arnold de Fougères, Arnold Nouvel, Arnold d’Auch, Rajmund Wilhelm de Farges, Bernard de Garves, Wilhelm Piotr Godin, Rajmund de Goth, Vital du Four i Wilhelm Teste.



<sup>6</sup> Aż do połowy XII wieku Lyonem władali hrabiowie de Forez i de Roannez pod czysto nominalnym zwierzchnictwem cesarza Niemiec.

W 1173 roku cesarz, uznawszy w arcybiskupie Lyonu prymasa Galii, nadał mu prawa udzielnego księcia; Lyon został wydzielony z hrabstwa Forez, a miastem rządziła władza kościelna z prawem wymiaru sprawiedliwości, bicia monety i poboru rekruta.

Ów zakres władzy nie podobał się gminie lyońskiej, złożonej wyłącznie z mieszczan i kupców, przeto przeszło wiek walczyli oni o swą autonomię. Po kilku nieudanych buntach wezwali Filipa Pięknego, który w 1292 roku przejął Lyon pod swą opiekę.

W dwadzieścia lat później, 10 kwietnia 1312 roku, na mocy traktatu zawartego między gminą, arcybiskupem i królem, Lyon został ostatecznie włączony do królestwa francuskiego.

Mimo usiłowań Jana de Marigny, arcybiskupa Sens, zwierzchnika paryskiej diecezji, arcybiskup Lyonu zdołał zachować tytuł prymasa Galii - jedyny przywilej, który mu pozostał.

Pod koniec średniowiecza Lyon zamieszkiwało: 24 oberżystów, 32 balwierzy, 48 tkaczy, 56 krawców, 44 handlarzy ryb, 36 rzeźników, kupców korzennych i masarzy, 57 „butorobów” (szewców), 36 zarządców piekarni łącznie z piekarzami, 25 hodowców brzoskwiń, 15 jubilerów czyli złotników, 20 sukienników i 87 „notariuszy”.

Miastem rządziła gmina złożona z kupców-mieszczan, którzy co roku, 21 grudnia, mianowali dwunastu konsulów z pochodzenia notablów, wybranych spośród bogatych rodzin. Ten zespół konsulów zwał się „syndykatem”.

Do najstarszych rodów konsularnych należała rodzina sukienników i maklerów: Varay. Trzydziestu jeden z nich nosiło tytuł konsula. Niektórzy byli wybierani kilkakrotnie, jeden zaś aż dziesięć razy. Spośród pięćdziesięciu obywateli wybranych przez lyończyków w 1285 r. można było naliczyć aż ośmiu Varayów; mieli oni walczyć z arcybiskupem i uzyskać przyłączenie Lyonu do Francji.



<sup>7</sup> [Seneskalia - okręg pod zarządkiem seneszala.]



<sup>8</sup> [Beneficjum - dobra kościelne oddawane w lenno.]



<sup>9</sup> Kościół rzymski wbrew temu, co często twierdzą jego przeciwnicy, nigdy nie handlował odpustami, lecz - a to stanowi wielką różnicę - kazał składać winowajcom opłatę za wydawane im bulle, potwierdzające, iż otrzymali rozgrzeszenie za popełnione winy.

Bulle takie były niezbędne, gdy przestępstwo lub zbrodnia zostały dokonane publicznie i należało dostarczyć dowodu, iż winowajca znów jest dopuszczony do przyjmowania sakramentów.

Taka sama zasada była stosowana w prawie cywilnym, gdy król na piśmie udzielał amnestii lub ułaskawiał; wpisanie do rejestrów wymagało uiszczenia opłaty. Zwyczaj ten sięgał czasów frankońskich, jeszcze sprzed okresu nawrócenia się ich na chrześcijaństwo.

Jakub Duèze (Jan XXII), zakładając instytucję Świętego Penitencjarium i wprowadzając rejestr opłat, skodyfikował i rozciągnął ten obyczaj na Kościół, uzdrawiając w ten sposób jego finanse.

Bulle obowiązywały nie tylko duchowieństwo, lecz także i świeckich. Opłata była skalkulowana w „grzywnach”, wartość jednej grzywny wynosiła sześć liwrow. [Należy odróżnić dwa znaczenia grzywny: grzywna - jednostka monetarna, i grzywna - synonim kary pieniężnej. W danym wypadku autor mówi o grzywnie-pieniądzu. Grzywna-jednostka monetarna wywodzi się z czasów frankońskich. Przykład ten wyjaśnia również rodowód polskiego terminu: grzywna - kara pieniężna]

Tak więc na świeckich przypadła taksa od pięciu do siedmiu grzywien: za ojcobójstwo, bratobójstwo albo zabójstwo krewniaka, tyleż za kazirodztwo, zgwałcenie dziewicy lub kradzież rzeczy poświęconych. Mąż, który spowodował poronienie lub pobił żonę, musiał wpłacić sześć grzywien, siedem zaś, jeśli przy tym powyrywał jej włosy. Najwyższa kara, bo dwadzieścia siedem grzywien, spadała na fałszerzy listów apostolskich, to jest za podrobienie podpisu samego papieża.

Równolegle do dewaluacji pieniądza opłaty odpowiednio zwyżkowały.

Ale raz jeszcze podkreślamy, że wcale nie chodziło tu o kupowanie rozgrzeszenia, lecz wyłącznie o prawne wniesienie do rejestrów celem otrzymania formalnego dowodu.

Począwszy od Reformacji, krążyły na ten temat niezliczone pamflety, mające na celu zdyskredytowanie Kościoła rzymskiego. Wszystkie one opierały się na świadomym pomieszaniu pojęć.



<sup>10</sup> Bracia kaznodzieje, czyli dominikanie, zwani byli również jakobitami od kościoła Świętego Jakuba, ofiarowanego im w Paryżu, a wokół którego rozwinęła się ich wspólnota zakonna.

Klasztor w Lyonie, gdzie w 1316 roku odbywało się konklawe, został zbudowany w roku 1236 na terenach tuż za siedzibą templariuszy. Całość zabudowań zakonnych rozciągała się pomiędzy dzisiejszym placem Jakobitów a placem Bellecour.



<sup>11</sup> [Pochodnicy - pachołkowie niosący pochodnie.]



<sup>12</sup> [Pinta = 0,93 litra]



<sup>13</sup> Na ogół zapomina się, że państwo Kapetyngów było pierwotnie monarchią elekcyjną, zanim się stało dziedziczną, względnie - że obie te formy rządów współistniały ze sobą przez pewien okres.

Po śmierci ostatniego z Karolingów, Ludwika V Leniwego, który w dwudziestym roku życia zginął podczas łowów po kilkumiesięcznym panowaniu, królem z wyboru został Hugon Kapet, diuk Francji, syn Hugona Wielkiego.

Hugon Kapet niezwłocznie powołał na tron swego syna Roberta II, kładąc go wybrać swym następcą i koronować jeszcze w tym samym roku. Podobnie działo się również za następnych rządów. Gdy tylko najstarszy syn króla został wyznaczony następcą tronu, parowie ratyfikowali wybór i był on koronowany za życia swego ojca. [Godność *par* - z łacińskiego *par*: równy - oznacza równy królowi sprzed czasu jego wyboru na monarchę.]

Dopiero Filip August poniechał zwyczaju elekcji za życia ojca, zabezpieczając dziedzictwo. Niezbyt cenił zdolności własnego syna i niewątpliwie nie pragnął, by z nim dzielił rządy. Syn jego Ludwik VIII odziedziczył koronę francuską 14 lipca 1223 r. po śmierci Filipa Augusta, podobnie jak się dziedziczyło lenno. 14 lipca owego roku Francja stała się tedy królestwem dziedzicznym.



<sup>14</sup> Genealogowie często nadają imię Ludwika synowi Filipa, urodzonemu w lipcu 1316. Natomiast w rachunkach Galfryda de Fleury, który rozpoczął prowadzenie swych ksiąg 12 lipca, dziecko figuruje pod imieniem: Filip.

Inni genealogowie wymieniają dwóch synów, z których jeden miał się urodzić w 1315 r., a więc zostałby rzekomo poczęty podczas pobytu Joanny Burgundzkiej w więzieniu Dourdan, co wydaje się całkiem niewiarygodne zważywszy, jakich starań musiała dokonać Mahaut, aby pogodzić córkę z zięciem. Dziecko, które uwięczyło zgodę, prawdopodobnie otrzymało, jak to było w ówczesnym zwyczaju, co najmniej dwa imiona zwykle noszone w rodzinie.



<sup>15</sup> [Prawdopodobnie Arnold de Villeneuve (1245-1313), alchemik i lekarz, przyjaciel Klemensa V, jeden ze współodkrywców spirytusu.]



<sup>16</sup> Objęcie władzy przez Blanę Kastylijską nie obeszło się bez trudności. Choć jej małżonek Ludwik VIII wyznaczył ją w swym testamencie na opiekunkę i regentkę, Blanka spotkała się z gwałtownym sprzeciwem wielkich wasali.

*„Zaprawdę Francja zbękarciła.  
Słyszycie, panowie baronowie,  
skoro niewieście ją wydano”*

piisał Hugo de la Ferte.

Ale Blanka Kastylijską była ulepiona z innej gliny niż Klemencja Węgierska. Poza tym była królową od dziesięciu lat i wydała na świat dwanaścioro dzieci.

Pokonała baronów dzięki poparciu Tybalda, hrabiego Szampanii, którego uważano za jej kochanka.





<sup>17</sup> Obłęd Roberta de Clermont uderzająco przypomina chorobę psychiczną Karola VI - po dwakroć jego prawnuka: w piątym pokoleniu w linii męskiej i w czwartym w linii żeńskiej.

W obu wypadkach przyczyną choroby był cios zadany buławą - z uszkodzeniem czaszki u Clermonta, bez uszkodzenia u Karola VI - i w obu wyzwolił niebezpieczny obłęd. Te same ataki szału, a po nich długie przerwy, gdy chory zachowywał się na pozór normalnie; to samo uparte zamiłowanie do turniejów, od których wydawania nie można ich było powstrzymać i gdzie pojawiali się, mimo że niekiedy byli nieprzytomni. Clermont, choć był niebezpiecznym furiatem, posiadał zezwolenie na polowanie we wszystkich dobrach królewskich. Stawił się nawet na jedną z wypraw zbrojnych Filipa Pięknego, na Flandrię, podobnie jak Karol VI, od dwudziestu lat obłąkany, brał udział w oblężeniu Bourges i w walkach z diukiem de Berry.



<sup>18</sup> Zawołanie oznaczające początek turnieju.



<sup>19</sup> Zabawki i gry dziecięce prawie się nie zmieniły od średniowiecza do czasów współczesnych. Były już wtedy baloniki i piłki ze skóry lub tkaniny, sersa, bąki, lalki, drewniane koniki i dyski. Dzieci bawiły się w ciuciubabkę, skoki przez drążek, w losy, kotka i myszkę, „salonowca”, chowanego, przeskakiwanki, w kukielki. Mali chłopcy z bogatych rodów także mieli zrobione na ich miarę zbroje, hełmy z lekkiej blachy, szaty naszywane metalowymi kółkami, tępe mieczyki, poprzedzające dzisiejsze uzbrojenie generałów lub kowbojów.



<sup>20</sup> Joanna, najmłodsza córka Agnieszki Burgundzkiej, żona Filipa de Valois, późniejszego króla Filipa VI, była kulawa, podobnie jak jej cioteczny brat Ludwik I de Bourbon, syn Ludwika de Clermont.

Ułomność ta zdarzała się również u Andegawenów, bocznej linii rodu Kapetyngów, gdyż Karol II, dziadek Klemencji Węgierskiej, miał przydomek Kulawy. Przekazy historyczne - wykorzystane zresztą przez Mistrala w *Złoty wyspach (Iles d'or)* - podają, że poseł króla Francji, a więc hrabia de Bouville, gdy przybył prosić o rękę Klemencji dla swego monarchy, zażądał, aby księżniczka rozebrała się przy nim, chciał bowiem przekonać się, czy ma ona normalne nogi.



<sup>21</sup> Pod szatę bojową wkładano kaftan, kurtę skórzaną, płócienną lub aksamitną, naszytą żelaznymi kółkami, która z biegiem czasu zastąpiła właściwą kolczugę. Na ten kaftan, by wzmocnić uzbrojenie, zaczęto nakładać płaskie płytki. Stąd powstała nazwa: zbroja pełna; składała się bowiem z części metalowych, dopasowanych do ciała i wykutych na kształt odwłoku raka.



<sup>22</sup> Mahaut sporządziła dokładny rejestr skradzionych przedmiotów i szkód poniesionych w zamku Hesdin. Rejestr ten obejmował sto dwadzieścia dziewięć punktów. Hrabina wytoczyła proces przed Parlamentem w Paryżu i otrzymała częściowe odszkodowanie wyrokiem z 9 maja 1321 roku.



<sup>23</sup> Mówiono „ślepy” zamiast „krótkowzroczny”. Filipa V zwano Długim, Wysokim lub Ślepym.



<sup>24</sup> [Obol - najniższa moneta w średniowiecznej Francji. Denar równał się dwóm obolom. Przy czym mennica nie wybijała tej monety, a po prostu denar przełamywano. Stąd w języku polskim powiedzenie „nie wart złamanego szeląga” lub „złamanego grosza”.]



<sup>25</sup> W rodzinach królewskich i książęcych panował zwyczaj, że dziecko miało kilka par rodziców chrzestnych, niekiedy aż osiem. Karol de Valois i Gaucher de Châtillon byli obaj ojcami chrzestnymi Karola de la Marche, trzeciego syna Filipa Pięknego. Mahaut była matką chrzestną tego księcia oraz wielu innych dzieci z królewskiej

rodziny. Nic więc dziwnego, że wybrano ją, aby trzymała do chrztu pogrobowca Ludwika X, pominięcie jej sprawiłoby bowiem wrażenie niełaski.



<sup>26</sup> [Kompleks zamkowy obejmował kilka dziedzińców, zwanych też podwórcami: przeddziedziniec w obrębie murów przed frontonem pałacu; dziedziniec honorowy - wewnątrz zabudowań zamkowych, oraz dziedzińce boczne o charakterze gospodarczym, zwane podwórcami.]



<sup>27</sup> W owej epoce udzielano chrztu nazajutrz po urodzeniu się dziecka. Zwyczaj obmycia z grzechu pierworodnego przez całkowite zanurzenie w zimnej wodzie obowiązywał aż do początków XIV wieku. Dopiero w 1313 r. synod w Rawennie orzekł po raz pierwszy, że wolno udzielać chrztu przez pokropienie, o ile brak jest święconej wody lub jeśli istnieje obawa, że całkowite zanurzenie może zaszkodzić zdrowiu dziecka. Ale zwyczaj całkowitego zanurzania naprawdę przestał istnieć dopiero w XV wieku.



<sup>28</sup> [W średniowieczu zakażenie połogowe zwano czwartaczką. Obecnie czwartaczką zowie się jedną z form malarii.]



<sup>29</sup> Kiedy niemowlę chorowało, przepisanych leków nie podawano dziecku, ale kobiecie karmiącej.



<sup>30</sup> „Rycerze przyboczni” - organizacja stworzona przez Filipa V na początku jego panowania - byli mianowani przez króla jako jego osobiści towarzysze i doradcy; obowiązani byli towarzyszyć mu we wszystkich podróżach, lecz nie wszyscy naraz.

Znajdowali się wśród nich bliscy krewni króla, jak hrabiowie de Valois, d'Evreux, de la Marche, de Clermont; możnowładcy, jak hrabiowie de Forez, de Boulogne, Sabaudii, de Saint-Pol, de Sully, d'Harcourt i de Comminges; dostojnicy koronni, jak konetabl, marszałkowie, dowódca kuszników oraz inne osobistości; członkowie Tajnej Rady lub „Rady Rządzącej”, legiści, zarządcy Skarbem, nobilitowani mieszczanie i osobiści przyjaciele króla. Wymienia się wśród nich nazwiska: Milesa de Noyers, Girauda Guette, Guy Florenta, Wilhelma Flotte'a, Wilhelma Courteheuse, Marcina des Essarts, Anzelma de Joinville.

Zespół ten poprzedzał późniejszych „pokojuwców”, funkcję ustanowioną przez Henryka III, a która przetrwała aż do czasów Karola X.



<sup>31</sup> Nagła rozrzutność Klemencji po jej tragicznym połogu wydaje się być objawem zaburzenia psychicznego, które z czasem stopniowo się nasilało. W maju następnego roku papież Jan XXII, który się zawsze opiekował Klemencją jako księżniczką Andegaweńską, zmuszony był upominać listownie młodą wdowę; zachęcał ją więc, aby żyła na uboczu w czystości i pokorze, zachowywała wstrzeźliwość przy stole, skromność w słowach i strojach i nie pokazywała się w towarzystwie wyłącznie młodych ludzi. Jednocześnie interweniował u Filipa V, aby wyznaczył Klemencji pensję wdowią, co nie obyło się bez trudności.

Papież jeszcze kilkakrotnie pisał do Klemencji upominając ją, aby powściągnęła swą rozrzutność i stanowczo prosząc o spłacenie długów, zwłaszcza Bardim z Florencji. Wreszcie w 1318 roku musiała ona przenieść się na kilka lat do klasztoru nazaretanek w pobliżu Aix-en-Provence. Zanim jednak tam się udała, została zmuszona złożyć do depozytu wszystkie swe klejnoty jako zabezpieczenie dla wierzycieli.



<sup>32</sup> Mieszkiem „chłopski zadek” zwano sakiewki o dwóch okrągłych woreczkach, zwężających się ku szyjce. Były one bogato zdobione i możni panowie nosili w nich często, oprócz pieniędzy, również własną pieczęć.



<sup>33</sup> [Fiolka przechowywana ongiś w opactwie Świętego Remigiusza w Reims. Zawierała oliwę, z której pobierano cząstkę celem przeniesienia błogosławieństwa na oleje służące do namaszczenia królów Francji w czasie koronacji.]

Członek Konwentu Ruhl uderzeniem młota strzaskał ją w 1793 r. na publicznym placu.]



<sup>34</sup> [Bahut - skrzynka o wypukłym wieku do przechowywania i przewożenia odzieży; zazwyczaj obita skórą i nabijana gwoździami.]



<sup>35</sup> Szatami, w znaczeniu wyprawy, zwano cały komplet odzieży - złożony z wielu sztuk - a zwany „przyodziewkiem”, uszyty z tej samej tkaniny. Uroczysta szata składała się z dwóch sukni: jednej całkowitej, drugiej rozciętej i rozchylonej, poza tym z okrycia, obuwia, kaptura i strojnego płaszcza.



<sup>36</sup> Po elekcji Hugona Kapeta wyznaczono sześciu najmożniejszych w królestwie parów, trzech diuków i trzech hrabiów, którzy mieli podczas koronacji wkładać koronę na głowę wybrańca. Byli to diukowie Burgundii, Normandii i Gujenny oraz hrabiowie Szampanii, Tuluzy i Flandrii. Byli oni uważani za parów króla, czyli mu równych. Obok nich było również sześciu parów duchownych, w tym: trzech diuków-biskupów i trzech hrabiów-biskupów.



<sup>37</sup> Po upływie pięciu wieków, 31 marca 1817 r., Chateaubriand, wygłaszając w Izbie Parów przemówienie dotyczące ustaw skarbowych, oparł się na tymże zarządzeniu Filipa Długiego, wydanym w 1318 roku, a głoszącym, że dobra koronne stanowią nierozłączną całość.



<sup>38</sup> [Pendent - komplet składający się z pasa na biodra i jednego lub dwóch rzemieni z haczykami, na których zawieszano miecz.]



<sup>39</sup> [Dalmatyka - wierzchnia szata liturgiczna, rozcięta po bokach, z nie zszytymi rękawami i wiązana na taśmy.]





## Noty biograficzne do tomu 4



### **ARTOIS Mahaut d', hrabina Burgundii, później Artois (?-27 XI 1329)**

Córka Roberta II d'Artois. Poślubiła w 1291 hrabiego-palatyna Burgundii, Ottona IV (zm.1303). Po arbitrażu królewskim w 1309 – par na Artois. Matka Joanny Burgundzkiej, małżonki Filipa de Poitiers, przyszłego Filipa V, oraz Blanki Burgundzkiej, małżonki Karola Francuskiego, przyszłego Karola IV.



### **ARTOIS Robert III d' (1287-1342)**

Syn Filipa d'Artois i wnuk Roberta II d'Artois, hrabia na Beaumont-le-Roger i pan na Conches od 1309. W 1318 poślubił Joannę de Valois, córkę Karola de Valois i Katarzyny de Courtenay. Od 1328, z tytułu nadania mu hrabstwa Beaumont-le-Roger, par Francji. Wygnany z Francji w 1332 schronił się na dworze króla Anglii Edwarda III. Śmiertelnie ranny pod Vannes. Pochowany w katedrze Św. Pawła w Londynie.



### **AUCH Arnold d' (?-1320)**

Biskup Poitiers od 1306 r. 24 XII 1312 mianowany przez papieża Klemensa V kardynałem biskupem w Albano. Zmarł w Awinionie.



### **AUNAY Filip d' (?-1314)**

Syn Gautiera d'Aunay, pana na Moucy-le-Neuf, Mesnil i Grand Moulin. Giermek hrabiego de Valois. Po udowodnieniu mu cudzołóstwa (sprawa wieży Nesle) z Małgorzatą Burgundzką, żoną Ludwika Nawarry, przyszłego Ludwika X Kłótliwego, został stracony w Pontoise wraz z bratem Gautierem, kochankiem Blanki Burgundzkiej.



### **BAGLIONI Guccio (ok.1295-1340)**

Bankier sienneński, syn Mina Baglioni, spokrewniony z rodziną Tolomei. W 1315 kierował filią banku w Neauphle-le-Vieux. Poślubił potajemnie Marię de Cressay i w 1316 miał z nią syna Giannina, zamienionego w kołysce z Janem Pogrobowcem. Zmarł w Kampanii.



### **BEATRYCZE Węgierska (ok.1294-?)**

Córka Karola Martela Andegaweńskiego. Siostra Karola Roberta, króla Węgier, i Klemencji, królowej Francji. Poślubiła delfina z Viennes, Jana II de la Tour du Pin. Matka Gigues'a VIII i Humberta II, ostatnich delfinów na Vienne.



### **BEAUMONT Jan de, zwany Oskubkiem (?-1318)**

Pan na Clichy i Courcelles la Garenne. W 1315 objął urząd marszałka Francji po Milesie de Noyers.



### **BEC-CRESPIN Michał de (?-1318)**

Ksiądz-dziekan w Saint-Quentin w okręgu Vermandois. 24 XIII 1312 mianowany kardynałem przez papieża Klemensa V.



### **BETHUNE Robert de, hrabia de Nevers i następnie Flandrii (?-1322)**

Syn Guy Dampierre'a, hrabiego Flandrii (zm.1305). Poślubił Jolantę Burgundzką, hrabinę de Nevers. Ojciec Ludwika de Nevers.



### **BOCCACCIO da Chellino**

Bankier florencki. Przedstawiciel kompanii Bardich. Miał z kochanką, Francuzką, nieślubnego syna (1313); był nim znakomity poeta Boccaccio, autor *Dekameronu*.



### **BONIFACY VIII (Benedykt Gaetani) (ok.1215-11 X 1303)**

Najpierw kanonik w Todi, adwokat przy konsystorzu i notariusz apostolski. W 1281

kardynał. Wybrany papieżem 24 grudnia 1293 po abdykacji Celestyna V. Padł ofiarą „zamachu” w Anagni i zmarł w miesiąc później w Rzymie.

✱

#### **BOURBON Ludwik, sire, następnie diuk de (1280- 1342)**

Najstarszy syn Roberta, hrabiego de Clermont (1256-1318), i Beatrycze Burgundzkiej, córki Jana, pana de Bourbon. Wnuk Ludwika Świętego. Od 1312 roku wielki pokojowiec Francji. Diuk i par Francji od roku 1327.

✱

#### **BOUVILLE Hugo III de, hrabia (?-1331)**

Syn Hugona II de Bouville i Marii de Chambly, szambelan Filipa Pięknego. W 1393 poślubił Małgorzatę des Barres, z którą miał syna Karola. Ten z kolei był szambelanem Karola V i zarządzał Delfinatem.

✱

#### **BURGUNDZKA Agnieszka, diuszesa (ok.1268-ok.1325)**

Najmłodsza z jedenaściorga dzieci Ludwika Świętego. Wydana za mąż w 1279 za Roberta II, diuka Burgundii. Matka diuków Burgundii: Hugona V i Eudoksjusza IV, Małgorzaty, żony Ludwika X Kłótlivego, króla Nawarry, a później Francji, oraz Joanny, zwanej Kulawą, żony Filipa VI de Valois.

✱

#### **BURGUNDZKA Blanka (ok.1296-1326)**

Młodsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii, i Mahaut d'Artois. W 1307 wydana za mąż za Karola Francuskiego, trzeciego syna Filipa Pięknego. Po skazaniu jej za cudzołóstwo w 1314 jednocześnie z Małgorzatą Burgundzką uwięziona w twierdzy Château-Gaillard, później w zamku Gournay, koło Coutances. Po unieważnieniu jej małżeństwa w 1322 roku złożyła śluby zakonne w opactwie Maubuisson.

✱

#### **BURGUNDZKI Eudoksjusz IV, diuk de (ok.1294-1350)**

Syn Roberta II, diuka Burgundii, i Agnieszki Francuskiej, córki Ludwika Świętego. Wstąpił na tron burgundzki w maju 1315 roku po śmierci swego brata Hugona V. Brat Małgorzaty, żony Ludwika X Kłótlivego, Joanny, żony Filipa de Valois, przyszłego króla Filipa VI, Marii, żony hrabiego de Bar, i Blanki, żony hrabiego Edwarda Sabaudzkiego. Poślubił 18 czerwca 1318 roku najstarszą córkę Filipa V, Joannę (zm.1347).

✱

#### **CHATILLON Gaucher V de, hrabia de Porcien (ok.1250-1329)**

Konetabl Szampanii (1284), a następnie Francji (1302), po bitwie pod Courtrai. Syn Gauchera IV i Izabeli de Villehardouin, zwanej Izabelą z Lizines. Odnosił zwycięstwo pod Mons-en-Pève. Kazał ukoronować Ludwika Kłótlivego na króla Nawarry w Pampelunie (1307). Kolejno wykonawca testamentu Ludwika X, Filipa V i Karola IV. Odnosił zwycięstwo pod Cassel (1328) i umarł w roku następnym. Zajmował stanowisko konetabla Francji za panowania pięciu królów. Poślubił Izabelę de Dreux, następnie Melizandę de Vergy, następnie Izabelę de Rumigny.

✱

#### **CLERMONT Robert de, hrabia (1256-1318)**

Najmłodszy syn Ludwika Świętego i Małgorzaty Prowansalskiej. Ok. 1279 poślubił Beatrycze, jedyną córkę i spadkobierczynię Jana, sire de Bourbon. W 1283 przyznano mu tytuł sire de Bourbon.

✱

#### **COLONNA Jakub (?-14 VIII 1318)**

Potomek sławnej rodziny rzymskiej Colonnów. Mianowany kardynałem w 1278 przez Mikołaja III. Główny doradca kurii rzymskiej za Mikołaja IV. W 1297 ekskomunikowany przez Bonifacego VIII, w 1306 przywrócony do godności kardynała.

✱

#### **COLONNA Piotr (?-1326)**

Bratanek kardynała Jakuba Colony. W 1288 mianowany kardynałem przez Mikołaja IV. W 1297 ekskomunikowany przez Bonifacego VIII, w 1306 przywrócony do godności kardynała.

✱

**CORBEIL Jan, de, zwany de Grez (?-1318)**

Pan na Grez w Brie i na Jalemain. Od 1308 marszałek Francji.

✱

**COURTENAY Robert de (?-1324)**

Arcybiskup Reims od 1299 do śmierci.

✱

**CRESSAY Eliabel de**

Kasztelanka na Cressay koło Neauphle-le-Vieux w okręgu Montfort-l'Amaury. Wdowa po Janie de Cressay, matka Jana, Piotra i Marii de Cressay.

✱

**CRESSAY Maria de (ok.1298-1345)**

Córka damy Eliabel i rycerza Jana de Cressay. W 1316 potajemnie poślubiła Guccia Baglioni; urodziła dziecko zamienione w kołysce z Janem I Pogrobowcem, którego była mamką. Pochowana w klasztorze augustianów koło Cressay.

✱

**CRESSAY Jan i Piotr**

Bracia wyżej wymienionej. Obaj pasowani na rycerzy przez Filipa VI po bitwie pod Crécy w 1346.

✱

**DUEZE Jakub → zobacz Jan XXII, papież**

✱

**DURFORT-DURAS Wilhelm de (?-1330)**

Biskup w Langres (1306), później od 1309 do śmierci w Rouen.

✱

**EDWARD II Plantagenet, król Anglii (1284-21 IX 1327)**

Urodzony w Caernarvon, syn Edwarda i Eleonory Kastylijskiej. Pierwszy książę Walii, diuk Akwitanii i hrabia na Ponthieu (1303). Pasowany na rycerza w Westminsterze w 1306. Wstąpił na tron w 1307, poślubił Izabelę Francuską 22 stycznia 1308 w Boulogne-sur-Mer. Koronowany w Westminsterze 25 lutego 1308. Zdeponowany w 1326 przez zbuntowanych baronów, na których czele stała jego żona. Uwięziony i zamordowany w zamku Berkeley.

✱

**EVRARD**

Dawny templariusz, kleryk w Bar-sur-Aube. W 1316 zamieszany w sprawę o czary; wspólnie z kardynałem Gaetanem miał rzucać urok na króla Francji.

✱

**EVREUX Ludwik Francuski d', hrabia (1276-1319)**

Syn Filipa III Śmiałego i Marii Brabanckiej. Przyrodni brat Filipa Pięknego i Karola de Valois. Od 1298 hrabia d'Evreux. Poślubił Małgorzatę d'Artois, siostrę Roberta d'Artois. Miał z nią dzieci: Joannę, trzecią żonę Karola de Valois, i Filipa, męża Joanny, królowej Nawarry.

✱

**FERIENNES Izabela de (?-1317)**

Czarownica. Świadek oskarżenia w procesie wytoczonym Mahaut po śmierci Ludwika X. Żywcem spalona razem z synem po uniewinnieniu Mahaut 9 X 1317 r.

✱

**FIENNES Jan de**

Baron na Ringry, pan na Ruminghen, kasztelan na Bourbourg. Wybrany wodzem przez zbuntowaną szlachtę z Artois, był jednym z ostatnich, którzy się poddali. Poślubił Izabelę, szóstą z kolei córkę Guy de Dampierre'a, hrabiego Flandrii.

✱

**FILIP IV, zwany Pięknym, król Francji (1268-29 XI 1314)**

Syn Filipa III Śmiałego i Izabeli Aragońskiej, urodzony w Fontainebleau. W 1284 poślubił Joannę z Szampanii, królową Nawarry. Ojciec królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV oraz Izabeli Francuskiej, królowej Anglii. Ogłoszony królem w Perpignan w 1285, koronowany w Reims 6 lutego 1286 roku, zmarł w Fontainebleau. Pochowany w opactwie Saint-Denis.

✱

**FILIP (V), hrabia de Poitiers, później król Francji, zwany Długim (1291-3 I 1322)**

Syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Ludwika X i Karola IV oraz Izabeli, królowej Anglii. W 1307 jako małżonek Joanny Burgundzkiej hrabia-palatyn Burgundii i pan na Salins. W 1311 hrabia-apanażysta na Poitiers. W 1315 par Francji. Regent po śmierci Ludwika X, zaś po śmierci bratanka, Jana I Pogrobowca, w listopadzie 1316, król Francji. Zmarł w Longchamp. Pochowany w opactwie Saint-Denis.

✱

**FILIP, hrabia de Valois, później Filip VI, król Francji (1293-22 VIII 1350)**

Najstarszy syn Karola de Valois i jego pierwszej żony Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich. Bratanek Filipa IV Pięknego i brat stryjeczny Ludwika X, Filipa V i Karola IV. Po śmierci Karola IV Pięknego regent królestwa, a następnie król Francji (IV 1328) po urodzeniu się córki pogrobowej poprzedniego monarchy. Koronowany w Reims 29 maja 1328 r. Jego wstąpienie na tron spotkało się ze sprzeciwem Anglii i było przyczyną drugiej wojny stuletniej. W 1313 poślubił Joannę Burgundzką, zwana Kulawą, siostrę Małgorzaty, a po jej śmierci w 1348 r. Blankę z Nawarry (1349), wnuczkę Ludwika X i Małgorzaty.

✱

**FLEURY Galfryd de**

12 lipca 1316 objął stanowisko skarbnika króla; był pierwszym dworskim urzędnikiem, który nosił ten tytuł. Nobilitowany w 1320 przez Filipa V.

✱

**FLISCO Łukasz (?-1336)**

Krewniak króla Jakuba II Aragońskiego. 2 marca 1300 mianowany kardynałem przez Bonifacego VIII.

✱

**FOREZ Jan I d'Albon hrabia de (?-przed 1333)**

Posel na dwór papieski Filipa Pięknego i Ludwika X. Strzegł konklawe w Lyonie w 1316 r. Poślubił (1295) Alix z Vienne, córkę Humberta de la Tour du Pin.

✱

**FOUGÈRES Arnold de (?-1317)**

Arcybiskup Arles (1308). 19 grudnia 1310 mianowany kardynałem przez Klemens V.

✱

**FRÉAUVILLE Mikołaj de (?-1323)**

Dominikanin. Spowiednik Filipa Pięknego. 15 grudnia 1305 mianowany kardynałem przez Klemensa V.

✱

**FRÉDOL Bérenger zwany Starszym lub Sędziwym (ok.1250-VI 1323)**

Biskup Béziers (1294). 15 grudnia 1305 mianowany kardynałem przez Klemensa V.

✱

**FRÉDOL Bérenger zwany Młodszym (?-1323)**

Bratanek wyżej wymienionego. Biskup Béziers (1309). 24 grudnia 1312 mianowany kardynałem przez Klemensa V.

✱

**GAETANI Francesco (?-III 1317)**

Bratanek papieża Bonifacego VIII, mianowany przez niego kardynałem w 1295. W 1316 zamieszany w sprawę rzucenia uroku na króla Francji. Zmarł w Awinionie.

✱

**GALARD Piotr de**

Od 1310 naczelny dowódca francuskich łuczniczków. W 1319 gubernator Flandrii.

✱

**GUIGUES, „delfinek” z Vienne, przyszły delfin Guigues VIII (1310-VI 1333)**

Syna Jana de la Tour du Pin, delfina na Vienne, i Beatrycze Węgierskiej. Siostrzeniec królowej Klemencji. W czerwcu 1316 zaręczony z Izabelą Francuską, trzecią córką Filipa V, poślubił ją w maju 1323. Zmarł bezpotomnie; po nim delfinem został jego brat.

✱

**HÉRON Adam**

Starszy giermek, później szambelan Filipa, hrabiego de Poitiers, przyszłego Filipa V.

✱

**HIRSON albo HIREÇON Thierry Larchier d' (ok.1270-17 XI 1328)**

Początkowo skryba u Roberta II d'Artois. Towarzyszył Nogaretowi podczas wyprawy do Anagni. Kilkakrotnie pełnił różne misje na zlecenie Filipa Pięknego. Od 1299 kanonik w Arras. Od 1303 kanclerz Mahaut d'Artois. Od kwietnia 1328 biskup Arras.

✱

**HIRSON albo HIREÇON Denis Larchier d'**

Brat poprzedniego. Skarbnik hrabiny Mahaut d'Artois.

✱

**HIRSON albo HIREÇON Thierry Beatrycze I Mahaut**

Brtanice wyżej wymienionych. Panny dworu hrabiny Mahaut d'Artois

✱

**IZABELA Francuska, królowa Anglii (1292-23 VIII 1358)**

Córka Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Siostra królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV. W 1308 poślubiła Edwarda II, króla Anglii. W 1325 razem z Rogerem Mortimerem stanęła na czele rewolty baronów, która doprowadziła do detronizacji jej męża. Zwana „wilczycą z Francji”. W latach 1326-1328 rządziła Anglią w imieniu syna Edwarda III. W 1330 wygnana z dworu królewskiego. Zmarła w zamku Hertford.

✱

**IZABELA Francuska (ok.1311-po 1345)**

Najmłodsza córka Filipa V i Joanny Burgundzkiej. W czerwcu 1316 zaręczona z Guiguesem, „delfinkiem” z Vienne, przyszłym Guiguesem VIII, wydana za mąż 17 maja 1323.

✱

**JAN XXII (Jakub Duèze), papież (1244-XII 1334)**

Syn mieszczanina z Cahors. Ukończył studia w Cahors i Montpellier. Proboszcz w kościele Św. Andrzeja w Cahors. Kanonik przy kościele Saint-Front w Périgueux i w Albi. Proboszcz w Sarlat. W 1289 r. wyjechał do Neapolu, gdzie niebawem pozyskał zaufanie Karola II Andegaweńskiego, który mianował go sekretarzem tajnych narad, a następnie kanclerzem. Od 1300 r. biskup we Frejus; następnie od 1310 r. w Awinionie. Sekretarz koncylium w Vienne (1311). Od 1312 r. kardynał-biskup Porto. Wybrany na papieża w sierpniu 1316 r. przybrał imię Jana XXII. Koronowany w Lyonie we wrześniu 1316. Zmarł w Awinionie.

✱

**JAN II de la Tour du Pin, delfin z Vienne (ok.1280-1319)**

Syn Humberta I de la Tour du Pin, delfina Vienne, po którym objął władzę w 1307. Poślubił Beatrycze Węgierską, z którą miał dwóch synów: Guiguesa i Humberta, ostatnich delfinów Vienne.

✱

**JOANNA Burgundzka, hrabina de Poitiers, później królowa Francji (ok.1293-21 I 1330)**

Starsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii, i Mahaut d'Artois. Siostra Blanki, żony Karola Francuskiego. W 1307 wydana za mąż za Filipa de Poitiers, drugiego syna Filipa Pięknego. W 1314 skazana za ułatwienie cudzołóstwa siostrze i szwagierce, uwięziona w Dourdan i w 1315 uwolniona. Miał trzy córki: Joannę, późniejszą żonę diuka Burgundii, Małgorzatę, wydaną za hrabiego Flandrii, oraz Izabelę, żonę delfina we Vienne. [Delfin – od 1130 tytuł oficjalny hrabiów na Vienne, od 1394 – tytuł następcy tronu francuskiego].

✱

**JOANNA Francuska, królowa Nawarry (ok.1311-8 X 1349)**

Córka Ludwika, króla Nawarry, późniejszego Ludwika X Kłótliwego, i Małgorzaty Burgundzkiej; podejrzana o nieślubne pochodzenie. Wydana za mąż za Filipa hrabiego d'Evreux. Matka Karola Złego, króla Nawarry, i Blanki, drugiej żony Filipa VI de Valois.



✱

**JOINVILLE Anzelm lub Anzel de**

Najstarszy syn Jana. Seneszał dziedziczny Szampanii. Członek Wielkiej Rady Filipa V i marszałek Francji.

✱

**JOINVILLE Jan de (1224-24 II 1317)**

Dziedziczny seneszał Szampanii. Brał udział w VII wyprawie krzyżowej u boku Ludwika IX i razem z nim był w niewoli. W osiemdziesiątym roku życia napisał *Historię Ludwika Świętego*, dzięki czemu został zaliczony w poczet wielkich kronikarzy.

✱

**KAROL Francuski, później KAROL IV, król Francji (1294-1 II 1328)**

Trzeci syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Od 1315 hrabia-apanażysta Marchii. W 1322 wstąpił na tron po Filipie V jako Karol IV. Poślubił kolejno: w 1307 – Blankę Burgundzką, w 1322 - Marię z Luksemburga, w 1325 - Joannę d'Evreux. Zmarł w Vincennes nie pozostawiając męskiego potomka. Ostatni król w linii prostej dynastii Kapetyngów.

✱

**KLEMENCJA Węgierska, królowa Francji (ok.1293-12 X 1328)**

Córka Karola Martela Andegaweńskiego, tytularnego króla Węgier, i Klemencji z Habsburgów. Bratanica Karola de Valois z linii jego pierwszej żony Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich. Siostra Karola Roberta lub Karoberta, króla Węgier, i Beatrycze, żony delfina Jana II. Poślubiła Ludwika X Kłótliwego, króla Francji i Nawarry (13 VIII 1315), koronowana wraz z nim w Reims. Owdowiała w czerwcu 1316 r., w listopadzie 1316 r. urodziła Jana I. Zmarła w Temple.

✱

**KLEMENS V, Bertrand de Got albo Goth, papież (?-20 IV 1314)**

Urodzony w Villandraut jako syn rycerza Arnolda Garsiasa de Got. W 1300 arcybiskup Bordeaux. W 1305 wybrany papieżem po Benedykcie XI. Koronowany w Lyonie. Pierwszy awinioński papież.

✱

**LA MADALAINÉ Wilhelm de**

Od 31 marca 1316 do końca sierpnia 1316 prewot Paryża.

✱

**LONGIS Gwido de, zwany Pergamońskim (?-IV 1319)**

Kanclerz Karola II Sycylijskiego. 18 września 1294 mianowany kardynałem przez Celestyna V. Zmarł w Awinionie.

✱

**LUDWIK X zwany Kłótliwym, król Francji i Nawarry (X 1289-5 VI 1316)**

Syn Filipa Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Filipa V i Karola IV, oraz Izabeli, królowej Anglii. Od 1307 król Nawarry, od 1314 król Francji. W 1305 poślubił Małgorzatę Burgundzką, z którą miał córkę Joannę, urodzoną około 1311. Po „skandalu wieży Nesle” i śmierci Małgorzaty ożenił się po raz drugi, z Klemencją Węgierską, i koronował w Reims w sierpniu 1315. Zmarł w Vincennes. Syn jego, Jan I Pogrobowiec, urodził się w pięć miesięcy później w listopadzie 1316.

✱

**MANDAGOUT Wilhelm de (?-VIII 1321)**

Biskup Embrun (1295), później Aix (1311). 24 grudnia 1312 mianowany kardynałem-biskupem Palestrine przez Klemensa V.

✱

**MAŁGORZATA Burgundzka, królowa Nawarry (ok.1293-1315)**

Córka Roberta II, diuka Burgundii, i Agnieszki Francuskiej. W 1305 poślubiła Ludwika, króla Nawarry, najstarszego syna Filipa Pięknego, późniejszego Ludwika X, z którym miała córkę Joannę. W 1314 skazana za cudzołóstwo (sprawa wieży Nesle), więziona w twierdzy Château-Gaillard, gdzie została zamordowana.

✱

**MARIGNY Enguerrand de, właściwie LE PORTIER (ok.1265-30 IV 1315)**

Urodzony w Lyons-le-Forêt. Po raz pierwszy ożeniony z Joanną de Saint-Martin, po raz

drugi z Alips z Mons. Najpierw giermek hrabiego de Bouville, następnie dworzanin Joanny, żony Filipa Pięknego, i kolejno: dowódca załogi w zamku Issoudun (1298), szambelan (1304), pasowany na rycerza i obdarzony hrabstwem Longueville, zarządzający finansami i budynkami królestwa, dowódca załogi w Luwrze, koadiutor króla i rektor królestwa w ostatnim okresie panowania Filipa Pięknego. Po śmierci tego ostatniego oskarżony o nadużycia finansowe, skazany i powieszony na Montfaucon. Rehabilitowany pośmiertnie przez Filipa V i pochowany w kościele Kartuzów, skąd później ciało jego przeniesiono do kolegiaty Ecouis, którą ufundował.

✱

#### **MARIGNY Jan de (?-1350)**

Najmłodszy z trzech braci Marigny, kanonik w katedrze Notre-Dame, później biskup Beauvais (1312), kanclerz (1329). Namiestnik króla w Gaskonii (1342). Arcybiskup Rouen (1347).

✱

#### **MELLO Wilhelm de (?-ok.1328)**

Pan na Epoises i Givry. Doradca diuka Burgundii.

✱

#### **NOUVEL Arnold (?-VIII 1317)**

Przeor w opactwie cystersów w Fontfroide (Aude). W 1310 mianowany kardynałem przez Klemensa V. Legat papieski w Anglii.

✱

#### **NOYERS Miles IV de, pan na Vandoeuvre (?-1350)**

Marszałek Francji (1303-1315). Z polecenia Ludwika X zawarł pokój z Ludwikiem de Nevers, hrabią Flandrii. Kolejno doradca Filipa V, Karola IV i Filipa VI. Odegrał wyjątkowo ważną rolę za panowania tych trzech królów. Wielki podczaszy Francji (1336).

✱

#### **ORSINI Napoleon (?-III 1342)**

16 maja 1288 mianowany kardynałem przez Mikołaja IV.

✱

#### **PÉLAGRUE Arnold de (?-VIII 1331)**

Arcydiakon (zastępca biskupa) w Chartres. 15 grudnia 1305 mianowany kardynałem przez Klemensa V.

✱

#### **PRATO Mikołaj Alberti da (?-IV 1321)**

Biskup Spoleto, później Ostii. 18 grudnia 1303 mianowany kardynałem przez Benedykta XI. Zmarł w Awinionie.

✱

#### **PRESLES albo PRAYERS Raul I de (?-1331)**

Pan na Lizy-sur-Ourcq. Adwokat. W 1311 sekretarz Filipa Pięknego, po śmierci którego został uwięziony; powrócił do łask pod koniec panowania Ludwika X. Strzegł konklawe w Lyonie w 1316. Nobilitowany przez Filipa V, był przybocznym rycerzem tego króla i wchodził w skład jego Rady. Założył kolegium w Presles.

✱

#### **SABAUDZKI Amadeusz V, zwany Wielkim, hrabia (1249-X 1323)**

Drugi syn Tomasza II Sabaudzkiego, hrabiego de Maurienne (zm.1259), i jego drugiej żony Beatrycze de Fiesque. Rządził Sabaudią po śmierci stryja Filipa. Poślubił Sybilę de Baugé (zm.1294), następnie Marię Brabancką (1304). Syn jego, Edward, ożenił się (1307) z Blanką Burgundzką, siostrą Małgorzaty i Eudoksjusza IV.

✱

#### **SABAUDZKI Piotr (?-1332)**

Od 1308 arcybiskup Lyonu. Wszczął walkę z Filipem Pięknym i w 1310 został przezeń wzięty do niewoli. W 1312 zgodził się na przyłączenie Lyonu do Francji i odzyskał tron arcybiskupi.

✱

#### **SAINT-POL, Guy de CHÂTILLON, hrabia de (?-IV 1317)**

Syn Guy IV i Mahaut Brabanckiej. W 1292 poślubił Marię Bretońską, córkę diuka Jana III i Beatrycze Angielskiej. Wielki podczaszy (1296). Wykonawca testamentu Ludwika

X i członek rady regencyjnej. Ojciec Mahaut, trzeciej żony Karola de Valois.

✱

**STEFANESCHI Jakub Gaetani (?-VI 1341)**

Mianowany kardynałem przez Bonifacego VIII 17 grudnia 1295.

✱

**SULLY Henryk de (?-ok.1336)**

Syn Henryka III, pana na Sully (zm.1285), i Małgorzaty de Beaumetz. Małżonek Joanny de Vendôme. Począwszy od 1317 r. wielki podczaszy Francji.

✱

**TOLOMEI Spinello**

Stał na czele kompanii sienneńskiej, którą założył we Francji w XIII wieku Tolomeo Tolomei. Kompania ta szybko wzbogaciła się prowadząc handel międzynarodowy i kontrolując kopalnie srebra w Toskanii. Do dziś istnieje w Sienie pałac Tolomei.

✱

**TRYE Mateusz de**

Pan na Fontenay i Plainville-en-Vexin. Wielki stolnik (1298), później szambelan Ludwika X.

✱

**VALOIS Karol de (12 III 1270-XII 1325)**

Syn Filip III Śmiałego i jego pierwszej żony Izabeli Aragońskiej. Brat Filipa IV Pięknego. Pasowany na rycerza w czternastym roku życia. W tymże roku legat papieski nadał mu prawa do korony aragońskiej, lecz Karol de Valois nigdy nie zdołał objąć tronu i w 1295 zrzekł się tytułu. Od 1285 hrabia-apanażysta na Valois i Alençon. Po ślubie z Małgorzatą z Andegawenów sycylijskich w marcu 1290 - hrabia na Andegawenii, Maine i Perche. Po zawarciu drugiego małżeństwa, w styczniu 1301, z Katarzyną de Courtenay – tytularny cesarz Konstantynopola. Bonifacy VIII nadał mu tytuł hrabiego Romanii. Po raz trzeci ożenił się z Mahaut de Châtillon-Saint-Pol. Z tych trzech małżeństw miał wiele dzieci. Jego najstarszy syn panował we Francji jako Filip VI i był pierwszym królem z dynastii Walezjuszów. W 1301 Karol de Valois dowodził wojskami w Italii jako stronnik papieża. Stał na czele dwóch wypraw do Akwitanii (1297 i 1324). Ubiegał się o cesarską koronę niemiecką. Zmarł w Nogent-le-Roi. Pochowany w kościele Jakobitów w Paryżu. [Jakobitami zwano w średniowieczu dominikanów, bowiem ich klasztor znajdował się w Paryżu przy ul. Św. Jakuba].



**KONIEC tomu 4**

**Księgozbiór DiGG**



**2010**